MAMY NOWEGO PAPIEŻA!
DOKĄD POPROWADZI KOŚCIÓŁ LEON XIV?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
20 (650) 2025
12–18 maja 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KAROL NAWROCKI

W SPECJALNYM WYWIADZIE

HEJT MNIE NIE ZŁAMIE

POLSKA ZWYCIĘŻY!

TA KAMPANIA JEST ZDERZENIEM POLSKI SUWERENNEJ Z POLSKĄ, KTÓRA STACZA SIĘ W BARDZO ZŁĄ STRONĘ – MÓWI NAM OBYWATELSKI KANDYDAT NA PREZYDENTA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 19 V 2025 r.

eprasa.pl 25fefa0eda

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz tylko **7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena detaliczna w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-25fefa0eda

Kto stoi za najbardziej brutalną kampanią prezydencką?

„Wszystkim wiedziałeś, Jarosławie" – tak zaczął swój internetowy wpis Donald Tusk 8 maja br. A dalej wyrzucił z siebie ciąg plugawych insynuacji pod adresem Karola Nawrockiego. Plugawych i całkowicie oszczerczych, bez cienia choćby związku z rzeczywistością. Nieważne, co w tym konkretnym momencie kierowało Tuskiem, aby chlusnąć szambem pomówień. Nieważne, co odreagowywał. Ważne jest to, że kolejny raz ukazał swoje prawdziwe polityczne oblicze. I prawdziwy kształt dzisiejszego liberalizmu, za który zresztą on sam odpowiada w ogromnym stopniu.

Zasadą polityki demokratycznej jest to, że w czasie kampanii wyborczej kandydaci i partie starają się przekonać obywateli swymi programami, hasłami i obietnicami. Kiedyś narzekaliśmy, że wiele obietnic było nierealnych, niemożliwych do zrealizowania. Ale zawsze był to przejaw oferty pozytywnej, rozbudzenia nadziei, że będzie możliwe lepsze życie dzięki zmianie polityki.

Ale w Polsce pojawił się Donald Tusk i jego partia. On nic nie obiecuje. Nie ma pozytywnego przekazu. A jeśli już – wiadomo, że to pozór, tak jak było z naprędce wymyślonym zestawem sloganów pod nazwą „100 konkretów na 100 dni". On inaczej zdobywa i utrzymuje władzę. Sposobem jest wielokrotnie już opisywana metoda rozbudzania najniższych instynktów i nienawiści jednych grup społecznych wobec pozostałych połączona ze stale powtarzanym kłamstwem, że to ci inni „dzielą Polaków".

Z kampanii na kampanię następuje zmiana jakościowa – oczywiście na gorsze, nie na lepsze. Kiedyś Tusk i jego obóz starali się udawać, że mają ofertę pozytywną. W swej narracji odwoływali się do reguł i wartości, które rzekomo oni lepiej przestrzegali. Oni sami i wspierające ich media co rusz ogłaszały, co w polityce jest godne, a co nie, co wypada robić, a czego nie. Zasady tej „gry" były tak określane, że Tusk i Platforma zawsze je wygrywali, a prawica przegrywała. Było to skuteczne w sytuacji hegemonii mediów starego typu. A także dlatego, że w społeczeństwie żywa była wiara w liberalną obietnicę, iż wkrótce wszyscy będą korzystać z dobrobytu oraz równych warunków awansu społecznego.

Wiara wygasła, bo obietnica była kłamstwem, a społeczeństwo dojrzało egoizm i niekompetencję liberalnych elit. Wprawdzie hegemonia kartelu medialnego nadal jest znacząca, ale została nadwerężona przez zmiany technologiczne w branży informacyjnej. Na dodatek się okazało, że to prawica dotrzymuje obietnic wyborczych, jest wrażliwa na głos społeczeństwa i w ogóle jest bardziej kompetentna. W efekcie społeczeństwo jest coraz mniej podatne na liberalną propagandę i szantaże moralne serwowane przez media głównego nurtu.

Właściwie społeczeństwa w liczbie mnogiej, bo to zjawisko nie dotyczy tylko Polski. W odpowiedzi, aby utrzymać władzę, liberalne elity coraz chętniej sięgają po gołą siłę. Bez szczególnych starań, aby przekonać społeczeństwa do swych racji. Widzieliśmy to przecież w Rumunii i we Francji. Donald Tusk jest częścią tego zjawiska, choć z własnego wyboru bardziej odrażającą ze względów etycznych i estetycznych.

Zatem to nie przypadek, że obecna kampania prezydencka jest najbardziej brudna i brutalna ze wszystkich po 1989 r. To konsekwencja degeneracji liberalizmu. Kandydat obozu liberalnego Rafał Trzaskowski jest przy tym tak niepewny swojej wygranej, że boi się konfrontacji z konkurentami i mediami. Jeśli uczestniczy w debacie, to tylko takiej, nad którą pełną kontrolę ma jego sztab wyborczy. A celem tej kontroli jest przecież stworzenie nierównych i nieuczciwych warunków dysputy. Trzaskowski boi się pójść na wywiad tam, gdzie ktoś może zadać mu trudniejsze pytania. Jeśli wywiad, to też tylko w kontrolowanych warunkach.

Główną bronią są zatem „kompromaty" i tak trzeba czytać wszystkie ataki na głównego konkurenta, czyli Karola Nawrockiego. Sytuacja rzeczywiście przypomina metody stosowane kiedyś na Białorusi, co podkreślają zwolennicy Nawrockiego. Mają rację. Za sprawą Tuska i jego partii dzisiejsza kampania wyborcza to dokładne odwzorowanie tego, jak zdobywano władzę w republikach postsowieckich. Polityka w Polsce w 2025 r. to powtórzenie metod Łukaszenki i Janukowycza. Donald Tusk i liberalna oligarchia przenieśli nas daleko na Wschód. Na bardzo dziki Wschód.

Piotr Gursztyn

Autopromocja

eprasa.pl 25fefa0eda

SIECI spis treści

30 Niestabilny jak Trzaskowski
Stanisław Janecki

35 Nie pozwólcie, by w Polsce stało się to, co we Francji!
Dorota Łosiewicz

Fot. st. szer. Denis Rubelt

50 Czy kupowanie broni w Europie da nam większe bezpieczeństwo?
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 KŁOCZ
Bronisław Wildstein

6 Z AMERYKI PRZEZ PERU DO RZYMU. TRUDNE WYZWANIA PRZED LEONEM XIV
Goran Andrijanić

8 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

10 TA OSTATNIA NIEDZIELA
Krzysztof Feusette

11 SUKCES MIERZONY KOTLETEM
Dorota Łosiewicz

12 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

14 MAPA UCIECZKI BEZ KOMPASU. BRUKSELA ZRYWA Z ROSJĄ… TEORETYCZNIE
Daniel Obajtek

15 DA SIĘ URATOWAĆ POLSKĘ
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 WALIZKA EMILII WIERZBICKI
Michał Korsun

18 TRZASK W POTRZASKU
Jan Pietrzak

18 KARTEL TUSKA SIĘ BOI
Arkadiusz Mularczyk

19 AMBASADOR BERLINA
Samuel Pereira

20 WYJŚĆ ZE SWEJ BAŃKI
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

22 Z KAROLEM NAWROCKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

30 NIESTABILNY JAK TRZASKOWSKI
Stanisław Janecki

32 KONCESJA NA BLOKADY
Konrad Kołodziejski

35 NIE POZWÓLCIE, BY W POLSCE STAŁO SIĘ TO, CO WE FRANCJI!
Dorota Łosiewicz

OPINIE

43 CZEKAMY NA RACJONALIZM W POLITYCE BERLINA
Jan Parys

ŚWIAT

47 TRUDNE WYZWANIA DLA NOWEGO PAPIEŻA
Grzegorz Górny

50 CZY KUPOWANIE BRONI W EUROPIE DA NAM WIĘKSZE BEZPIECZEŃSTWO?
Marek Budzisz

53 SIMON IDZIE PO PREZYDENTURĘ
Jan Rokita

56 BRYTYJSKI DUOPOL CHWIEJE SIĘ W POSADACH
Aleksandra Rybińska

58 POŁAMANA KANADA NIE BOI SIĘ TRUMPA
Dariusz Matuszak

HISTORIA

60 SPÓŹNIONA SPRAWIEDLIWOŚĆ – PORWANIE ADOLFA EICHMANNA
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

63 Z GAJĄ W BAZYLEI
Jolanta Gajda-Zadworna

65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

66 MIŁOŚĆ JEST GRAWITACJA
Robert Tekieli

GOSPODARKA

68 MIESZKANIA NA WAGĘ ZŁOTA
Stanisław Koczot

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: ELIZA I STACH
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

73 BARCA I MINISTER Z INNEJ PLANETY
Ryszard Czarnecki

74 NISZCZENIE DEMOKRACJI
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 25fefa0eda

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kłocz

Jan Andrzej Kłoczowski umarł 12.04. br. Dowiedziałem się o tym z opóźnieniem. Nasze drogi rozeszły się już dawno, tak dawno, że dopiero jego śmierć uzmysłowiła mi, że przez ostatnie dekady żył przecież ciągle, żyliśmy nie tak daleko od siebie, nie za bardzo pamiętając o swoim istnieniu. Jego śmierć przypomniała mi o jego życiu. A przecież był dla mnie postacią bardzo ważną, wychowawcą, tym który otworzył mi oczy na religię.

O. Jana Andrzeja Kłoczowskiego, czyli Kłocza, poznałem w 1976 r. Zaczynał się rozdział mojego intensywnego zaangażowania w antykomunistyczną opozycję. Na początku spotkałem jego wychowanków, z którymi błyskawicznie się zaprzyjaźniłem. Nie wiedziałem jeszcze, że sympatia do nich była również hołdem dla nauczyciela, który ich ukształtował.

W Krakowie niezależnie od siebie studencką opozycję tworzyły dwie grupy, które w tamtym właśnie momencie się spotkały. My byliśmy zbuntowanymi kontestatorami, „anarchistami", którzy uznali, że elementarna godność każe zaprotestować przeciw upokarzającemu nas podłemu światu komunizmu; oni byli katolikami, uczestnikami Duszpasterstwa Akademickiego, „Beczki", którym zawiadywał dominikanin, filozof, Andrzej Kłoczowski Kłocz. Sprzeciwiali się komunizmowi, który usiłował zniszczyć to, co tworzyło ich tożsamość.

Na pierwszy rzut oka dzieliło nas wszystko. Oni – twardo osadzeni w religijno-narodowej wspólnocie, my – poszukiwacze utopijnej wolności, która każe przełamywać wszelkie tabu. A przecież natychmiast odnaleźliśmy wspólny język i doceniliśmy się wzajemnie. Tak naprawdę to my zaczęliśmy doceniać ich świat, rozumieć go, a nasze perspektywy rozszerzyły się niepomiernie. W dużej mierze dzięki Kłoczowi, który ich uformował i zafascynował również nas.

Spotkaliśmy rówieśników, którzy nie ustępowali nam intelektualnie, byli tak samo witalni i mieli poczucie humoru wcale nie gorsze niż my. Ludzi w tym samym stopniu strzegących swojej wolności i racjonalności oraz identycznie nienawidzących kłamstwa. Stosunek do prawdy powinien dawać do myślenia. Jej istnienie mimo złożoności świata, i to tym bardziej, im bardziej rzeczywistość wokoło była jej zaprzeczeniem, zakładał i narzucał istnienie głębszego porządku.

„Nigdy z królami nie będziem w aliansach, nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, bo u Chrystusa my na ordynansach, słudzy Maryi" – śpiewali moi nowi przyjaciele „Pieśń Konfederatów Barskich" Słowackiego. Wstrząsnęła mną, choć zdawała się paradoksalna: z jednej strony była manifestacją najdalej posuniętej, dumnej wolności, z drugiej – deklaracją religijnego podporządkowania. Nie potrafiłem jeszcze przyznać, choć zaczynałem rozumieć, że być może jedno jest warunkiem drugiego.

My, „anarchiści", pragnęliśmy wbrew doświadczeniu i rozumowi wierzyć, że człowiek potrafi sam siebie zbawić i zbudować swoją wolność. Byliśmy zbyt niedojrzali, aby umieć samodzielnie wyciągać głębsze wnioski z rzeczywistości. Nasi świeżo poznani przyjaciele mieli Kłocza.

To on uczył ich myślenia i rozumienia świata. Odsłaniał zniewolenie Polski i jej mieszkańców przez komunistyczny totalitaryzm również w tym głębokim, duchowym wymiarze.

Andrzej nie uznawał kompromisów w myśleniu i moralności. Wbrew stereotypom współczesnym nie oznaczało to braku współczucia czy zrozumienia. Albowiem postawa taka nie powinna oznaczać zamazania różnicy między cnotą a ułomnością, dobrem a złem.

O. Kłoczowski był zaprzeczeniem stereotypów, które piastowaliśmy w swoich „wyzwolonych" głowach. Kapłan intelektualista, erudyta, był witalny i bezpośredni, nie przestając być księdzem wychowawcą. Nie tylko nie unikał trudnych pytań, które prowokuje religia. Tropił je, tak jak szukał wewnętrznych napięć w katolickiej nauce i doświadczeniu, aby poddać je racjonalnemu testowi. Kiedy poznałem go robił u dominikanów seminarium, w którym brał się za bary z Dostojewskim, a konkretnie jego „Legendą o inkwizytorze" z „Braci Karamazow".

Był nauczycielem przyjacielem, a więc wybrał jedyną rolę, w której mogliśmy wówczas zaakceptować wychowawcę. Pewnie głównie dzięki niemu zaczynałem odkrywać prawdziwy wymiar religii.

Upłynęło wiele czasu i przełomowych wydarzeń historycznych. Komunizm upadł. Skończyła się epoka, w której w uzasadniony sposób mogliśmy mówić o sobie: my. Kiedy spotykamy się już w wolnej Polsce, odżywają dawne sentymenty, ale szybko okazuje się, że coraz częściej omijać trzeba kolejne sprawy, aby móc cieszyć się swoją obecnością. Czy więc naprawdę cieszymy się nią, czy tylko usiłujemy to sobie wmówić, ożywić przeszłość, która chociaż podła i paskudna daje nam poczucie solidarności, czyni lepszymi?

Teraz najczęściej spotykamy się na swoich pogrzebach. To dobrze, że chociaż wtedy pamiętamy o tym, co w nas dobre.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 25fefa0eda

Z Ameryki przez Peru do Rzymu. Trudne wyzwania przed Leonem XIV

„Habemus papam! Mamy papieża" – usłyszeli katoliccy wierni zgromadzeni na pl. św. Piotra w Watykanie i na całym świecie w czwartkowy wieczór 8 maja 2025 r. Na 267. papieża w historii Kościoła katolickiego kardynałowie wybrali kard. Roberta Francisa Prevosta, który przyjął imię Leona XIV. To pierwszy Amerykanina na tronie Piotrowym.

Nowy papież jest augustianinem, zakonnikiem zakonu nazwanego na cześć św. Augustyna mającym charyzmat pracy z ubogimi i marginalizowanymi społecznie. Jest też oddanym misjonarzem, który sporą część swojego życia spędził w Peru (oprócz obywatelstwa amerykańskiego posiada też obywatelstwo tego kraju), a także doświadczonym członkiem watykańskiej kurii. W coraz bardziej podzielonym Kościele jest postrzegany jako człowiek środka: bliski poglądom społecznym swojego poprzednika, papieża Franciszka, lecz bardziej konserwatywny w kwestiach moralności.

Robert Prevost urodził się 14 września 1955 r. w Chicago w stanie Illinois, w rodzinie, która ma europejskie korzenie. Ojciec Louis Marius Prevost był pochodzenia francusko-włoskiego, a matka Mildred Martínez – hiszpańskiego.

Swoją formację zaczął w Niższym Seminarium Ojców Augustianów. Potem dostał się na Villanova University w stanie Pensylwania, gdzie studiował matematykę i filozofię. W tym samym 1977 r. rozpoczął nowicjat w zakonie augustianów w Saint Louis. Śluby wieczyste złożył 29 sierpnia 1981 r., a w następnym roku przyjął święcenia kapłańskie.

W 1988 r. udał się na misję do Peru – do miasta Trujillo, gdzie pełnił różne funkcje w zakonie i diecezji do 1999 r. 11 lat spędzonych w Ameryce Łacińskiej wywarły na niego głęboki wpływ. Po powrocie do USA został prowincjałem prowincji augustiańskiej Matki Dobrej Rady w Chicago, a następnie przeorem generalnym całego zakonu.

W 2014 r. papież Franciszek uczynił go administratorem apostolskim peruwiańskiej diecezji Chiclayo, mianując go biskupem, a w marcu 2018 r. został wybrany drugim wiceprzewodniczącym Konferencji Episkopatu Peru.

W Watykanie pojawił się w 2019 r., gdy papież mianował go członkiem Kongregacji ds. Duchowieństwa, a potem prefektem Dykasterii ds. Biskupów. Na konsystorzu 30 września 2023 r. został kreowany na kardynała.

„Niech pokój będzie z wami wszystkimi" – to były pierwsze słowa, które wypowiedział z Logii Błogosławieństw bazyliki watykańskiej. „Takie było pierwsze pozdrowienie Chrystusa zmartwychwstałego, Dobrego Pasterza, który oddał życie za Bożą owczarnię. Ja także chciałbym, by to pozdrowienie pokoju dotarło do naszych serc, dotarło do waszych rodzin, do wszystkich ludzi, gdziekolwiek się znajdują, do wszystkich ludów, do całej ziemi. Pokój wam!"

Goran Andrijanić

O wyzwaniach, które stoją przed nowym papieżem piszemy na str. 47–49

Fot. Alberto PIZZOLI/AFP

eprasa.pl 25fefa0eda

eprasa.pl 25fefa0eda

Sygnalista nadaje

Radość miesza się z żalem. Jaka szkoda, że zasłużeni bojownicy o demokrację walczącą i praworządność (właściwie rozumianą), tacy jak pułkownicy Lesiak i Miodowicz, nie doczekali tych pięknych dni. Tak samo pięknych jak wtedy, gdy płk Lesiak sięgał do swej szafy, płk Miodowicz przyprowadził Jarucką, a płk Bartłomiej podpalał budkę pod ruską ambasadą. Nie było lekko i nadal nie jest, ale zaufani towarzysze z resortu i zaprzyjaźnione media mocno walnęły po tym Nawrockim z Gdańska. Niestety nie zatonął od razu, ale walka trwa. Trzeba pomóc Rafałowi, bo innym sposobem nie wygra wyborów prezydenckich. A wtedy nic się nie domknie w naszym systemie.

Zostało popełnionych kilka błędów. Niestety wyszło na to, że opiekunka z Gdańska zbyt otwarcie i zbyt żywiołowo ujawniała wcześniej swoje sympatie polityczne, więc nie powiódł się plan, aby przedstawić ją jako autorytet moralny. Kogoś w stylu ***Jurasa Owsiaka***, mimo że źli ludzie mówią, iż była skazana za wyłudzanie mieszkań. My w to nie wierzymy, bo bardzo potrzebujemy nowych autorytetów moralnych! Udałoby się ją wylansować, gdyby wicepremier Gawkowski wreszcie zamknął te internety. A nie zamknął, więc mleko – a właściwie coś bardziej śmierdzącego – się rozlało. No i niestety nie było też dobrym pomysłem dotarcie do dzieci pana Jerzego. Intencje TVN były dobre, ale wyszło niedobrze.

Bardzo złą wiadomością było też to, że Nawrocki nie zamordował żadnego staruszka. A to akurat ładnie się zapowiadało i była nadzieja, że bokser zatonie jak Titanic. Kwiat polityki uśmiechniętej Polski – panowie Giertych, Szczerba, Arłukowicz i Joński – robili już odpowiednią atmosferę, lecz niestety okazało się, że pan Jerzy żyje. To znaczy przeżył, bo ten Nawrocki na pewno chciał go uśmiercić. Bądźmy cierpliwi. Z pewnością wkrótce ukażą się doniesienia o zamordowanych przez niego staruszkach, wiewiórkach i innych ofiarach budzących sympatię oraz współczucie.

Jeszcze jedno – ten Nawrocki to jakiś nędzarz i nieudacznik życiowy. Oprócz kawalerki, do której nie miał kluczy (28 m² – co za żenada!), to ma tylko mieszkanie o powierzchni 59 m², w którym gnieździ się w pięć osób. A ***Rafał Trzaskowski*** to jest gość – mieszkanko 135 m², drugie na żonę i jeszcze jakieś trzecie plus działka rekreacyjna. Tak trzeba żyć!

Łatwo wyliczyć, że u Nawrockiego wypada 11 m² na człowieka, a u Rafała co najmniej 35 m², nie licząc psa Bąbla i papugi, która i tak mieszka w ratuszu. A może by tak nasłać na Nawrockiego opiekę społeczną i odebrać mu prawa rodzicielskie z powodu złych warunków mieszkaniowych? W każdym razie powtórzmy: tu nie ma pomyłki, nie wypadło ani jedno zero. Mieszkanie ma naprawdę 28 m², a nie 280 m². Naprawdę żenada.

Bardzo za to fajnie, że ***Sławek Mentzen*** poparł uśmiechniętą Polskę i demokrację walczącą w takim właśnie trudnym momencie. Sławuś, Sławcio, Sławeczek. Dobrze dowalił

eprasa.pl 25fefa0eda

Nawrockiemu! Jakby od początku był w KOD i Silnych Razem. Ten sam ton, te same słowa. Mówił o Nawrockim identycznie jak Sławek Nitras, Misio Szczerba i mec. Giertych. Doceniamy i obiecujemy, że już nie będziemy nazywać go faszystą, homofobem, ruską onucą, ekstremistą, pasożytem i siewcą nienawiści. To znaczy nie będziemy tak mówić do 1 czerwca. A potem się zobaczy, może nawet trzeba go będzie zdelegalizować. Oczywiście najpierw PiS, a potem AfD, pardon, Konfederację.

Zamykając temat tego Nawrockiego i żenująco ciasnej 28-metrowej kawalerki, warto zauważyć, że nie dotarł do tego redaktor Czuchnowski z „Gazety Wyborczej". On dociera do akt śledztw w prokuraturze. Do dokumentów z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego docierają panowie z Onetu. To imponujące, że nie boją się tak docierać. A jeszcze bardziej imponuje podział obowiązków: Czuchnowski dociera do kwitów z prokuratury, a panowie z Onetu do kwitów z ABW.

Odnotujmy też groźbę amerykańskiego neokolonializmu, który zagraża naszemu uśmiechniętemu Ten Krajowi. Agentem kolonializmu okazał się być ten Nawrocki z Gdańska.

Po pierwsze, wtargnął na teren Białego Domu w Waszyngtonie. To miejsce jest za granicą, więc to tym bardziej przykre, że nie wiadomo, co o Polsce pomyślą ludzie na Zachodzie.

Po drugie, spotkał się z niejakim Trumpem, co po naszej demokratycznej stronie wywołało mieszane uczucia. Z jednej strony to kompromitacja, bo Trump jest okropny, ohydny, antyunijny i brzydko uczesany. Ale z drugiej strony fajnie by było, gdyby fotki z nim zrobiliby sobie Rafał, premier Donald, no i Radek Sikorski. A ciągle nie mogą zrobić, mimo ciężkiej pracy w tym kierunku pana ***Bogusia Klicha***, gwiazdy naszej dyplomacji.

W zastępstwie zrobią sobie fotki z Obamą. To taki starszy pan, który kiedyś był bardzo znany jako prezydent USA. A teraz ma pracę podobną do tej, którą ma u nas Lech Wałęsa i białe misie z Zakopanego. Czyli można zrobić sobie z nim fotografię. Cennik na stronie internetowej. Są zniżki dla dziatwy szkolnej, emerytów i żołnierzy służby czynnej.

Uwaga! Nasz apel kierujemy do policji, ABW, SKW i wszystkich innych organów ścigania, z warszawską Strażą Miejską na czele. Na wolności poruszają się źli ludzie, którzy atakują Rafała. Otóż rozpowiadają oni straszne rzeczy o kandydacie uśmiechniętej Polski. Mówią, że służby odmówiły Rafałowi Trzaskowskiemu dostępu do informacji niejawnych. Było to wtedy, gdy Rafał był wiceministrem, czyli za pierwszych rządów premiera Donalda Franciszka. Oszczercy rozpowiadają, że powodem odmowy dostępu było rekreacyjne używanie przez Rafała pewnych suplementów diety pochodzenia południowoamerykańskiego. Widzą teraz państwo, do jakich nieszczęść prowadzi kryminalizacja tych niewinnych używek. Sztab Rafała w postaci pani Wioli dał już odpór, pisząc, że Rafał ma teraz wszystkie poświadczenia. To pozytywna historia, którą warto nagłośnić, bowiem pokazuje ona, że można zerwać z nawet najgorszymi uzależnieniami. Ale oprócz tego prosimy o odpowiedź na pytanie: a jak to było z tymi odmowami w latach 2008–2015?

W ciągu ostatnich pięciu lat ubyło 700 tys. Polaków – informuje GUS. To pozytywna wiadomość, bo po pierwsze, dzięki temu planeta płonie trochę mniej, gdyż jest wiedzą powszechną, że jedyne, czym się zajmują Polacy oprócz robienia kup na wydmach, to grillowanie mięcha, palenie oponami w kominkach, a na dodatek nie chcą jeździć elektrycznymi samochodami ani zbiorkomem. A po drugie, większość Polaków nie dorosła do demokracji, co widać w sondażach oceny pracy rządu. Ale jest też zła wiadomość. Wszystko wskazuje na to, że poważnie zmniejszyła się liczba Unijczyków polskiego pochodzenia. Dzisiaj w ogóle nie widać błękitnych unijnych flag, a także rzadkością stał się widok flag tęczowych. Miejmy nadzieję, że to tylko mądrość etapu i flagi unijne oraz tęczowe powrócą ze zwiększoną siłą po 1 czerwca. Chciałoby się napisać, że po 18 maja, ale wygląda na to, że się nie da.

A tu kolejny dowód, że tzw. społeczeństwo nie dorosło do oferty, którą przedstawia obecny rząd. 70 proc. nauczycieli domaga się powrotu prac domowych w szkole. O zgrozo, domagają się tego też rodzice. Na szczęście uczniowie rozumieją dobrodziejstwa wprowadzane przez osobę ministerską ds. nieodrabiania lekcji Barbarę Nowacką. Uczniowie nie chcą, aby im cokolwiek zadawać. Zresztą wiadomo, że matura to bzdura, a wykształcenie i inteligencja są przereklamowane. Wystarczy przecież spojrzeć na skład obecnego rządu, aby to zrozumieć. Nie wierzycie? To popatrzcie na panią minister zdrowia Izę Leszczynę albo na Bogusia Klicha, który może kiedyś zostanie ambasadorem w Waszyngtonie. Czy oni znają się na tym, co robią? Po pierwsze, nie znają się, a po drugie, nic nie robią. I o to właśnie chodzi w 100 konkretach na 100 dni, a właściwie 500 dni, bo tyle czasu premier Tusk nie spełnia swoich obietnic wyborczych.

Fot. Tomasz Warszewski/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 25fefa0eda

Ta ostatnia niedziela

Krzysztof Feusette

Trzaskowski: To co z nim robimy?
Tusk: Z kim?
Trzaskowski: No wiesz...
Tusk: A co proponujesz?
Trzaskowski: Może powiedzmy, że jest nazistą?
Tusk: A co ty masz do nazistów? To znaczy, czemu akurat nazistą? Znowu zaczną gadać o reparacjach.
Trzaskowski: E tam, pośle się Wielińskiego z „Wyborczej" do Biedrzyckiej z „Superaka" i niech powie, że są zdjęcia, jak Nawrocki hajluje.
Tusk: Widzisz? Nareszcie dobrze kombinujesz. Ale to już było. Okazało się, że zdjęć nie ma. Bartosch, nomen omen przez „ch", musiał przepraszać.
Trzaskowski: To może zrobimy z niego ruska?
Tusk: Ale jak?
Trzaskowski: Weźmie się Wysocką-Schnepf z TVP, a ona jest megawiarygodna, bo teść mordował żołnierzy wyklętych w obławie augustowskiej. I ona np. powie, że Nawrocki to kandydat prorosyjski.
Tusk: Ale ona twierdzi, że Lech Kaczyński ponosi winę za Smoleńsk, więc jak by jej miał przeszkadzać prorosyjski kandydat?
Trzaskowski: Jej nic nie przeszkadza. Sikorskiemu robi łaskę, chociaż jej męża ma za prawdziwego „dupiarza". Ech, jak to dobrze, że nie zlikwidowaliśmy nic publicznego...
Tusk: Domu? A co Wysocka-Schnepf ma z tym wspólnego?
Trzaskowski: Chodzi mi o nadawcę.
Tusk: Z ruskimi nie przejdzie.
Trzaskowski: A jakby Radek ich poprosił?
Tusk: Musieliby go wykreślić z listy wrogów Rosji.
Trzaskowski: Radka?
Tusk: Tak, i Putina przy okazji. Jak ty niewiele ogarniasz...
Trzaskowski: Ja Radkowi nie zapomnę, że mnie poparł, chociaż twierdził, że się nie nadaję.
Tusk: Wy się obaj nadajecie. Na dilerów.
Trzaskowski: A jakbyś tak osobiście do Putina? Żeby poparli Nawrockiego. Tak jak nas Łukaszenko przed parlamentarnymi.
Tusk: Puknij się w pustostan. Trzeba z niego zrobić gangusa. Podobno napisał książkę pod pseudonimem.
Trzaskowski: Jak Prus?
Tusk: A co ty masz do Prusów? Gdyby nie Prusy, to byś nie miał za co zorganizować Obozu Polska.
Trzaskowski: O czym ta książka?
Tusk: O „Nikosiu".
Trzaskowski: Dyzmie? Aż tak nas rozpracował?
Tusk: W jakim sensie?
Trzaskowski: No, że my wszyscy jesteśmy takie trochę Dyzmy. Coś usłyszą, coś chlapną, ale szczebel po szczeblu...
Tusk: Rafale, widzę, że ciągle jesteś w szoku. Jeszcze się nie podniosłeś po tym Trumpie.
Trzaskowski: A był?
Tusk: Tak. W Gabinecie Owalnym z twoim konkurentem.
Trzaskowski: No i?
Tusk: No i trzeba wymyślić coś w odpowiedzi. Tylko konkretnego.
Trzaskowski: Może zaatakować rodzinę?
Tusk: Ale jak?
Trzaskowski: Np. powiemy, że żona go zdradza.
Tusk: Co?
Trzaskowski: Zdradza.
Tusk: Czyli?
Trzaskowski: Czyli sfabrykujemy zeznania żony, że to jest „dupek". I że myślała: „Co on ze mną robi?!". I że pojawił się taki...
Tusk: Rafale, pozwól, że ci przerwę. Nie wiem, kto ci to podsunął, ale pewnie ten sam, co debatę w Krowich...
Trzaskowski: W Końskich.
Tusk: W Końskich to byś wygrał. Tam miała prowadzić właśnie Wysocka-Schnepf, ale ją wymienili i było, jak było. A było tak, że w tych krowich pozostajemy do dziś.
Trzaskowski: To co robimy?
Tusk: My nic. Służba bezpieczeństwa wewnętrznego. Czy tam agencja, ale agencja to się może kojarzyć wiesz z czym. Więc ja wolę mówić „służba".
Trzaskowski: Jak „Bobas". „Suszba i poświensenie".
Tusk: Dokładnie. Teraz słuchaj, bo będzie najlepsze. Mają na niego haka, że pomagał staruszkowi.
Trzaskowski: Jak to?
Tusk: Tak to. Dziadka mieli wyrzucić z kawalerki, to się umówili, że Nawrocki mu pomoże. Będzie płacić rachunki, odkupi to mieszkanie, ale tamten będzie mieszkał u siebie do końca życia.
Trzaskowski: No i co?
Tusk: I tak zrobili. Ale rok temu facet trafił do MOPS. Czyli że Nawrocki się nie opiekował.
Trzaskowski: A miał się opiekować?
Tusk: Nie. Ale nie łap mnie za słówka. Ważne, że kawalerka to jest mieszkanie, więc nie ma jednego tylko dwa.
Trzaskowski: A mówił, że ma jedno?
Tusk: Nie. Ale powiedział na debacie, że reprezentuje zwyczajnych Polaków, którzy mają jedno mieszkanie.
Trzaskowski: Ja mam trzy, w tym jedno ma żona. Też na dożywocie.
Tusk: Głupia nazwa. Źle mi się kojarzy.
Trzaskowski: Na szczęście to już nie te czasy.
Tusk: Żeby co?
Trzaskowski: Żeby od razu dożywocie. Ale nawet dycha jest nieprzyjemna. A czy to jest pewne?
Tusk: Że go tym g...wnem obrzucimy? Rafale, żebyś wiedział, jak to jest pięknie rozpisane na głosy, to byś sobie uszył nowy garnitur. Nawet Mentzen się podłączy.
Trzaskowski: Za co?
Tusk: Za jajco! Po prostu Konfederację zdelegalizujmy w drugiej kolejności.
Trzaskowski: Okej. Ja na pewno nie będę tego wetować.
Tusk: Słucham?
Trzaskowski: Mówię, że tego nie zawetuję.
Tusk: Wetować to ty sobie możesz w domu na taborecie. Nie po to rzuciliśmy wszystkie siły z panem kanclerzem, żebyś ty miał coś wetować. Skup się na kampanii.
Trzaskowski: No przecież się skupiam.
Tusk: Widzę właśnie. Poczekaj, esemesa dostałem... Co?! O żesz w mordę... K...a.
Trzaskowski: Co się stało? Wściekłeś się? Na mnie? Sondaże przyszły?!
Tusk: K...a.
Trzaskowski: No powiedz coś!
Tusk: On... On... On... oddał te kawalerkę dla potrzebujących!
Trzaskowski: Aha. To co? Przejmujemy? Dzwonić do Hanki? I po co ona do tej Brukseli poleciała, jak tu się tyle dzieje...

eprasa.pl 25fefa0eda

Sukces mierzony kotletem

To jest książka kucharska na miarę naszych możliwości! Książka kucharska, którą marszałek Sejmu otwiera oczy niedowiarkom

W studiu telewizyjnym, przed kamerami Szymon Hołownia zawsze wypadał nieźle. To jego naturalne środowisko, które zna i lubi. Chyba że ktoś pozwoli marszałkowi mówić bez ograniczeń. Wtedy już jest trochę gorzej, a może być nawet katastrofalnie.

Tak było np. gdy drogę Hołowni zajechała śmieciarka. Scena miała miejsce podczas jednego ze słynnych live'ów, którymi raczył Polaków podczas kampanii parlamentarnej. Tak relacjonował ją publiczności lider Polski 2050: „Zza węgła wyjechała śmieciarka, której tu przed chwilą nie było. Nagle coś zaczęło piszczeć i pojawiła się śmieciarka. Niesamowite, muszę powiedzieć, co człowieka może spotkać na drodze, na której się zatrzymał. Przyjechała śmieciarka, której nie było. Są też panowie, którzy ogarniają, ale mam nadzieję, że nie będą mnie bić. Jest ściana i nagle zza ściany wyłania się śmieciarka. Musze powiedzieć, że to duże przeżycie". Śmieciarka przyjechała i odjechała. No, ale nikt nie skomentowałby tego z takim dramatyzmem. Wtedy się okazało, że Szymon Hołownia potrafi mówić zupełnie o niczym długo, pięknie i z pasją.

Marszałek Sejmu troskliwie ten dar pielęgnuje. Zapytany przez Krzysztofa Stanowskiego w Kanale Zero o sukcesy międzynarodowe długo i pięknie opowiadał o... książce kucharskiej. „Miałem okazję dzięki temu, co zrobiłem w Sejmie, rzeczywiście być nie tylko komentatorem [...], ale architektem sojuszy. Zbudowałem ten sojusz białostocki, szefów parlamentów, państw bałtyckich, Finlandii, Ukrainy, Polski. Spotykamy się co kilka miesięcy, wymieniamy informacjami. Mam tu ze sobą, jak pan będzie chciał, to zostawię, owoc tych relacji międzynarodowych, które zrobiłem przez te półtora roku. Książkę kucharską – chwalił się marszałek. – Tak, to jest książka kucharska, którą zrobiliśmy na WOŚP. 14 szefów parlamentów z całej Europy, których poprosiłem, do których zadzwoniłem, z którymi mam kontakt, przesłało mi przepisy swoje domowe. [...] 14 moich koleżanek i kolegów z całej Europy, każdy dał swój ulubiony przepis. Zebraliśmy, o ile dobrze pamiętam, ok. 400 tys. zł na tym foodbooku. Można go było ściągnąć w pdf za 5 zł. To pokazuje, że [...] jestem w stanie zebrać ludzi do wspólnej roboty" – cieszył się Hołownia.

Stanowski nie dowierzał, że miarą sukcesu jest książka kucharska. „Do książki kucharskiej dzisiaj. A do wspólnych formatów dotyczących bezpieczeństwa w przyszłości" – pękał z dumy Hołownia. I tłumaczył: „Myśli pan, że to nie jest ważne? Mieć relacje do tego stopnia z przywódcami światowymi, żeby być w stanie stworzyć z nimi projekt, który robi dobre rzeczy?" – pytał marszałek.

I to jest książka kucharska na miarę naszych możliwości! Książka kucharska, którą marszałek Sejmu otwiera oczy niedowiarkom. Od książki kucharskiej do współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa tylko jeden krok. Choć wydaje mi się, że ciężko będzie wgnieść Putina w ziemię tą książką kucharską. Złośliwi internauci sugerują, że od rotowania do gotowania tylko jeden krok i jak już wyborcy podziękują Hołowni za udział w polityce, będzie mógł wrócić do TVN i poprowadzić MasterChefa.

A ten powrót może nastąpić szybciej, niż nam się wydaje. Bo choć marszałek wciąż wierzy, że znajdzie się w drugiej turze wyborów, a nawet zostanie prezydentem, to w sondażach wypada coraz gorzej. W badaniu przeprowadzonym przez pracownię Opinia24 dla „Faktów" TVN na czwarte miejsce wysunęła się Magdalena Biejat (6 proc.). Tuż za nią z 5-proc. poparciem uplasowali się Szymon Hołownia oraz Adrian Zandberg. Dla lidera Polski 2050 taki wynik wyborczy byłby katastrofą i początkiem końca jego politycznego projektu.

Jednak dopóki ktoś nie zabroni marszałkowi paplać bez sensu, a jego sukcesów międzynarodowych ograniczać do kotletów, to spadku notowań nie da się zatrzymać.

Dorota Łosiewicz

Woda jako broń

Indie i Pakistan to mocarstwa atomowe. Ale Indie oprócz bomby nuklearnej mają jeszcze jedną broń, po którą postanowiły sięgnąć w trakcie obecnego starcia z Pakistanem. Chodzi o wodę.

W odpowiedzi na atak terrorystyczny w Kaszmirze, w którym zginęło 26 turystów, głównie pochodzenia indyjskiego, rząd w Delhi zapowiedział, że wycofa się z porozumienia z Pakistanem w sprawie korzystania z wód Indusu. Umowa zawarta jeszcze w latach 60. ub.w. reguluje nie tylko zasady wykorzystywania wód głównej rzeki, lecz także jej pięciu dopływów. Jeszcze nigdy nie była ona zawieszana i z tego powodu posunięcie Indii uważa się za krok porównywalny do ataku zbrojnego. Tak też potraktowały to władze Pakistanu, które w odpowiedzi jednostronnie zawiesiły tzw. porozumienie Simla z 1972 r., które wytyczało linię rozgraniczenia kończącą wojnę pakistańsko-indyjską z 1971 r.

Spośród sześciu dopływów Indusu, które obejmuje umowa, pięć znajduje się na lewym, indyjskim brzegu tej rzeki, a jedna (Kabul) przepływa przez Pakistan. Na każdym ze swoich dopływów Indie zbudowały zapory wodne, co oznacza, że mogą niemal natychmiast pozbawić wody dwie z czterech prowincji Pakistanu. Wprawdzie taka blokada nie może trwać długo, bo Indie nie mają zdolności do retencji dużych ilości wody, ale z pewnością wywoła duże problemy w Pakistanie. W opinii indyjskich ekspertów obecne możliwości blokady wód Indusu, szacowane na ok 20 proc., mogą zostać szybko zwiększone, co w przyszłości da Indiom jeszcze bardziej skuteczne narzędzie presji.

W średniookresowej perspektywie sytuacja Pakistanu może się znacząco pogorszyć przede wszystkim dlatego, że 80 proc. wody pitnej i wykorzystywanej w celach rolniczych czerpie się tam z rzek zasilanych przez Indus i jego dopływy. Skokowe obniżenie poziomu rzek – a takie będą następstwa decyzji Delhi o zamknięciu zapór – oznacza nie tylko problemy z wodą pitną, lecz także zapaść w rolnictwie będącym głównym źródłem utrzymania 200 mln obywateli Pakistanu. Dodatkowym obciążeniem będzie kryzys energetyczny, ponieważ 30 proc. energii elektrycznej konsumowanej przez Pakistan pochodzi z hydroelektrowni zlokalizowanych w dorzeczu Indusu.

Dla Pakistanu dostęp do wody jest więc kwestią przetrwania, co oznacza, że obecne starcia zbrojne mogą się przekształcić w czwartą jak dotąd pełnowymiarową wojnę między obydwoma państwami.

Marek Budzisz

Indie

Szkoła w cieniu półksiężyca

Austria

W szkołach podstawowych i średnich w Wiedniu dzieci i młodzież wyznania islamskiego stanowią obecnie większość uczniów. Jest ich aż 41,2 proc., podczas gdy katolików 17,5 proc., prawosławnych 14,5 proc., zaś osób niewyznających żadnej religii ok. 23 proc.

Różnica jest nie tylko ilościowa, lecz także jakościowa. Mahometanie nie wstydzą się bowiem swojej wiary i dają temu wyraz na każdym kroku, natomiast religijność chrześcijan cechuje się zazwyczaj letniością i bezobjawowością. Jak donosi dziennik „Kronen Zeitung", „młodzi muzułmanie w Wiedniu są nie tylko znacznie bardziej aktywni religijnie, lecz także częściej przyjmują dyskryminujące postawy, takie jak antysemityzm, wrogość wobec homoseksualistów oraz odrzucenie równości kobiet i mężczyzn". Na porządku dziennym są groźby pod adresem niemuzułmańskich rówieśników za „obrazę Mahometa", a także przypadki niszczenia krucyfiksów i Biblii. Coraz częściej zdarzają też sytuacje, że uczniowie z rodzin niereligijnych decydują się przejść na islam, aby uniknąć nękania ze strony swoich islamskich kolegów z klasy.

Miesiąc temu dziennik „Kronen" doniósł, że podczas lekcji religii katolickiej w szkole podstawowej w Salzburgu nauczycielka kazała śpiewać dzieciom muzułmańską pieśń głoszącą, że „ramadan to najwspanialszy okres w roku". Oburzyło to część rodziców, jednak miejscowe władze oświatowe stanęły po stronie katechetki, nie widząc w jej postępowaniu nic niewłaściwego.

Niektórzy politycy w Wiedniu zamierzają jednak interweniować w sprawie stopniowej islamizacji placówek oświatowych. Stołeczna radna Bettina Emmerling z liberalnej partii NEOS zaproponowała wprowadzenie nowego, obowiązkowego, międzywyznaniowego przedmiotu szkolnego dla wszystkich uczniów pod nazwą życie w demokracji. Jego celem miałoby być nauczenie dzieci szacunku do wartości, takich jak godność człowieka, równość czy pluralizm. Czy zdoła to jednak zrównoważyć wpływy islamu, którego źródłem pozostają rodziny oraz silne lokalne społeczności muzułmańskie?

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 25tefa0

Szwecja

Geje mile widziani

Szwedzki minister handlu Benjamin Dousa, polityk Umiarkowanej Partii Koalicyjnej (Moderaterna), chce wzmocnić wizerunek Szwecji jako „kraju kochającego wolność", który z otwartymi ramionami wita uzdolnionych obcokrajowców. Ta otwartość jest skierowana głównie do homoseksualistów, którzy, jak zaznaczył, są prześladowani w takich krajach jak Węgry.

W połowie marca węgierski parlament zagłosował za ustawą zakazującą organizacji i uczestnictwa w wydarzeniach naruszających prawo o ochronie dzieci, które obejmuje m.in. zakaz promocji homoseksualizmu wśród nieletnich. Jak zapowiedział premier Viktor Orbán, zakazana ma być również budapeszteńska Parada Równości.

Te doniesienia bardzo wzburzyły szwedzkiego ministra handlu. Podczas dyskusji na temat poprawy wizerunku kraju Dousa przekonywał, że Szwecja „byłaby gotowa przyjąć aż 40 tys. węgierskich gejów". „Jest kilka krajów, które zmierzają w kierunku bardziej autorytarnym. Podnoszą cła i zamykają się" – dodał, czyniąc aluzję do Stanów Zjednoczonych i polityki Donalda Trumpa. Według niego Szwecja byłaby otwarta także na amerykańskich gejów, choć dodał, że najlepiej by było, gdyby byli oni dobrze wykształconymi fachowcami z Silicon Valley.

Można zapytać: dlaczego akurat 40 tys.? Jak się okazuje, minister nawiązywał do żartu szwedzkiego komika Fredrika Lindströma, który podczas kampanii referendalnej w sprawie przystąpienia Szwecji do Unii w 1995 r. nękał polityków pytaniami, ilu niemieckich gejów przyjedzie w związku z tym do Szwecji.

Węgierskie media przypomniały Dousie, że podczas Parady Równości w Malmö w 2024 r. trzech jej uczestników zostało zaatakowanych za noszenie gwiazd Dawida. Napastnicy, których zidentyfikowano jako imigrantów, nazwali swoje ofiary „zasranymi pedałami" i kazali im „wyp...alać" ze Szwecji. W związku z tym węgierskie media sugerują, że może byłoby lepiej, gdyby węgierscy geje zostali w ojczyźnie. Może i nie będą mieli parady, ale chociaż będą bezpieczni.

Aleksandra Rybińska

Demokratyczna Rep. Konga

Pokój za surowce

Demokratyczna Republika Konga i Rwanda mają podpisać ze Stanami Zjednoczonymi umowy dotyczące wydobycia minerałów na wzór tej, którą Waszyngton zawarł niedawno z Kijowem. Oba państwa toczą ze sobą konflikt, który oprócz wojny na Ukrainie i Bliskim Wschodzie jest w tej chwili najkrwawszym starciem na świecie.

Walki toczą się we wschodnich prowincjach DRK, gdzie oddziały armii rządowej bronią się przed rebeliantami wspieranymi przez Rwandę. Konflikt, którego korzenie tkwią w ludobójstwie, do którego doszło w Rwandzie w 1994 r., do tej pory pochłonął ponad 6 mln ofiar. Jak dotąd w wojnie uczestniczyło aż 9 państw afrykańskich oraz 25 grup zbrojnych, a głównym polem bitwy stał się obszar wschodniego Konga. Region jest bogaty w surowce, takie jak kobalt, złoto i koltan, które są kluczowe dla światowego przemysłu. To bogactwo napędza niekończący się rozlew krwi. Obecne walki wybuchły w 2022 r., gdy rebeliantów z ruchu M23, wsparła armia sąsiedniej Rwandy. Oficjalnie rząd Rwandy twierdzi, że działa w samoobronie, jednak kluczowe są motywy ekonomiczne. Rwanda korzysta bowiem z zasobów surowcowych DRK. Na terenach kontrolowanych przez M23 wydobywa się cenne minerały, które według różnych doniesień są potem przesyłane do Rwandy, rafinowane i eksportowane na cały świat. Szczególnie cenny jest kobalt, używany w bateriach do telefonów i samochodów elektrycznych. Na terytorium DRK znajduje się 70 proc. światowych zasobów tego surowca. Wraz ze wzrostem globalnego popytu kontrola nad kopalniami jest więc warta miliardy dolarów.

W lutym prezydent DRK Félix Tshisekedi wysłał list do Donalda Trumpa, w którym zaoferował Amerykanom prawa do minerałów w zamian za pomoc wojskową. „Nasze partnerstwo zapewniłoby Stanom Zjednoczonym strategiczną przewagę poprzez zabezpieczenie kluczowych minerałów, takich jak kobalt, lit, miedź i tantal" – napisał.

Propozycja została przyjęta, a pośrednictwa miał się podjąć były szef grupy najemniczej Blackwater Erik Prince, który prowadzi „rozległe interesy" w Afryce i jest otwartym zwolennikiem Trumpa. Zakłada się, że jeśli uda się zakończyć wojnę, Stany Zjednoczone zapewnią sobie udziały w kongijskich złożach surowców oraz w rafineriach działających na terytorium Rwandy.

Administracja Trumpa chce, aby umowa mineralna została podpisana natychmiast po zawarciu porozumienia pokojowego między DRK i Rwandą. W tej chwili Amerykanie mediują między obiema stronami konfliktu i jest duża szansa na sfinalizowanie rozmów w tym miesiącu podczas spotkania w Waszyngtonie, któremu ma przewodniczyć sekretarz stanu Marco Rubio.

Konrad Kołodziejski

Fot. Raketir/Shutterstock.com

eprasa.pl 25fefa0eda

Mapa ucieczki bez kompasu. Bruksela zrywa z Rosją... teoretycznie

Zielona transformacja, która ma być remedium na uzależnienie energetyczne od Rosji, wpycha Europę w zależność od kolejnych „partnerów": Algierii, Kataru, Azerbejdżanu i Chin, które kontrolują większość łańcuchów dostaw dla przemysłu OZE

6 maja w Strasburgu Komisja Europejska zaprezentowała długo oczekiwany dokument, który w zamyśle miał być strategiczną mapą drogową uniezależnienia się od rosyjskich paliw kopalnych do 2027 r. W praktyce jest to bardziej mapa marzeń niż drogowa – deklaratywny manifest polityczno-ideologiczny ubrany w nowomowę zielonej rewolucji, pozbawiony za to rachunku ekonomicznego i technologicznego realizmu.

Zacznijmy od twardych faktów, których... nie ma. W dokumencie nie znajdziemy choćby cienia analizy kosztów zerwania długoterminowych kontraktów importowych z rosyjskimi dostawcami. Brak jakichkolwiek danych o potencjalnych karach, wpływie na rynek energii ani o tym, kto finalnie poniesie ciężar tej „suwerennej" decyzji. Najwyraźniej Bruksela uznaje, że rachunek zapłacą obywatele, ale nie wypada o tym mówić głośno. Polityka „odcinania się od Kremla" to slogan, który ma działać na emocje, a nie rozum.

Nie zrozumcie mnie źle – uzależnienie energetyczne Europy od Rosji to cywilizacyjna pomyłka, którą należało naprawić. Tyle że robienie tego na ślepo, bez liczenia kosztów, terminów i alternatyw nie jest aktem odwagi, lecz pokazem geopolitycznego infantylizmu. Kreml zaciera ręce – im bardziej chaotycznie działa Europa, tym wyższe ceny, tym więcej Moskwa zarabia na surowcach sprzedawanych przez pośredników.

Sztandarowym pomysłem „mapy" jest zastąpienie rosyjskiego gazu elektryfikacją bazującą na odnawialnych źródłach energii. To brzmi pięknie, dopóki nie zetkniemy się z rzeczywistością. Elektrownie wiatrowe i panele fotowoltaiczne mają jedną wspólną cechę: nie działają wtedy, gdy ich najbardziej potrzeba albo produkują za dużo i przeciążają system.

W kwietniu tego roku w Hiszpanii, której rząd z dumą dopiero co ogłosił 100 proc. zielonej energii w miksie, doszło do największego w historii blackoutu – przeciążony niestabilną zieloną energią system energetyczny powiedział „hasta la vista" i cały kraj praktycznie zgasł na 18 godzin.

Mimo to Komisja Europejska snuje wizję „powszechnej elektryfikacji ogrzewania, transportu i przemysłu" – wszystko to ma bazować na OZE, a jakże. Jakim cudem zapewnić stabilność systemu bez energetyki konwencjonalnej? Gdzie plan budowy źródeł elastycznych, niezbędnych do bilansowania mocy? Brak odpowiedzi. Bruksela z uporem godnym lepszej sprawy udaje, że nie istnieją prawa fizyki ani rachunek ekonomiczny.

Co więcej, zielona transformacja, która ma być remedium na uzależnienie energetyczne od Rosji, wpycha Europę w zależność od kolejnych „partnerów": Algierii, Kataru, Azerbejdżanu. Nie wspominając już o Chinach, które kontrolują większość łańcuchów dostaw dla przemysłu OZE. Jedną zależność zastępujemy inną – bardziej egzotyczną i wcale nie mniej toksyczną.

Najnowszy dokument Komisji to nie mapa drogowa, ale energetyczny horoskop: ogólny, optymistyczny i kompletnie nieprzydatny do podejmowania decyzji. Bruksela znowu udaje, że można „odłączyć Rosję" bezboleśnie i bezkosztowo, a potem się dziwi, że ceny energii szybują, przemysł ucieka do Stanów Zjednoczonych, a niezadowolenie społeczne rośnie.

Pozostaje pytanie: czy to jeszcze naiwność, czy już polityczna schizofrenia? Jedno jest pewne – Putin nie mógłby sobie wymarzyć lepszego przeciwnika niż Europa planująca wojenne manewry w rytm pieśni o zielonej przyszłości.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 25fefa0eda

Da się uratować Polskę

Marta Kaczyńska-Zielińska

Obowiązkowy system handlu emisjami CO_2, czyli ETS, w teorii ma się przyczynić do zmniejszenia emisji dwutlenku węgla w Unii Europejskiej poprzez wymuszenie transformacji energetycznej. Badania naukowe wskazują jednak, że działalność człowieka ma znikomy wpływ na zachodzące zmiany klimatu, a niezależnie od prawdziwości powyższej tezy siedmioprocentowy udział Europy w światowej produkcji CO_2 miałby niemal niezauważalny wpływ na temperaturę na Ziemi.

Warto wskazać na dane odnoszące się np. do chińskiego sektora energetyki. Jak wiemy, ChRL jest liderem w produkcji urządzeń do pozyskiwania energii z tzw. źródeł odnawialnych. Chińczycy doskonale zdają sobie jednak sprawę, że zeroemisyjność niezasilana subsydiami się nie opłaca i zagraża stabilności dostaw energii. O nieopłacalności m.in. wiatraków świadczą mające miejsce w niedalekiej przeszłości wyłączenia farm wiatrowych za naszą zachodnią granicą, które nastąpiły po tym, jak ograniczono ich dofinansowywanie. Pekin stawia na konwencjonalne źródła energii, czego odzwierciedleniem jest istnienie w Państwie Środka 1171 elektrowni węglowych, budowa kolejnych 204, a także funkcjonowanie 58 elektrowni jądrowych i inwestycja w następne 33.

Do przytoczonych statystyk trzeba dodać, że ChRL jest obecnie w trakcie budowy elektrowni węglowych w Afryce, który to kontynent z powodu swego położenia i doskonałego nasłonecznienia pozornie może się wydawać idealnym miejscem do zabudowy wyłącznie panelami fotowoltaicznymi. Azjaci, Afrykańczycy czy też w ostatnich miesiącach Amerykanie pod wodzą Donalda Trumpa stawiają na węgiel, bo nie kwestionują zasadniczej roli tego surowca jako paliwa zasilającego elektrownie, które bezdyskusyjnie pełnią rolę głównego stabilizatora systemu energetycznego. O tym, jak zawodne i kosztowne są OZE, przekonali się ostatnio Hiszpanie, Portugalczycy i Francuzi (z południa kraju), kiedy najprawdopodobniej wskutek zbyt dużego udziału OZE w miksie energetycznym przez kilkanaście godzin zabrakło prądu w tych krajach.

Zapotrzebowanie na energię elektryczną rośnie wraz z rozwojem elektromobilności, centrów przetwarzania danych czy budową pomp ciepła. Ogromnych ilości energii potrzebuje m.in. błyskawicznie rozwijająca się sztuczna inteligencja. Państwa, które nie będą miały wystarczających zasobów mocy i energii, nie będą w stanie konkurować z tymi, które są suwerenne energetycznie.

Zgodnie opracowanym przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne „Planem rozwoju w zakresie zaspakajania obecnego i przyszłego zapotrzebowania na energię elektryczną na lata 2025–2034" prawdopodobne deficyty mocy elektrycznej w 2030 r. wyniosą 279 godzin, w 2035 r. wzrosną do 1739 godzin, by 2040 r. przekroczyć 2814 godzin, tj. 117 dni. Zatrważające dane wskazują, że w ciągu najbliższych pięciu lat konieczne jest wybudowanie co najmniej drugiej elektrowni Bełchatów.

Tymczasem Komisja Europejska forsuje wdrażanie założeń Zielonego Ładu i zamierza przymuszać państwa członkowskie do inwestycji w OZE, wprowadzając kolejne opłaty w postaci ETS2, które podwyższą koszty węgla, gazu, paliwa i diesla wykorzystywanych w przedsiębiorstwach, gospodarstwach domowych oraz transporcie. W planach jest jeszcze tzw. Niebieski Ład, który uderzy także w rolnictwo. Dyrektywa budynkowa w imię oszczędności energetycznej zmusi nas do kosztownych modernizacji nieruchomości, dla wielu równoznacznych z wywłaszczeniem.

Narracja o konieczności dążenia do zeroemisyjności za pomocą drakońskich metod, które windując koszty energii, jeszcze bardziej obniżą poziom życia i zabiją nasz przemysł, nie wytrzymuje krytyki, pozostając w istocie jedynie maszynką do zarabiania pieniędzy dla wąskich elit powiązanych z przemysłem OZE czy handlem uprawnieniami ETS.

Bez silnego przemysłu bazującego na stabilnych źródłach energii nie ma mowy o suwerenności kraju. Zbliżające się wybory prezydenckie to ostatnia szansa na uratowanie Polski przed anihilacją przygotowywaną dla nas przez europejskie i niestety także polskie pseudoelity.

REKLAMA

32/0425/F

eprasa.pl 25fefa0eda

Walizka Emilii Wierzbicki

rzeczniczki kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego

Do kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego dołączyłam jeszcze w grudniu. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że będzie tak intensywnie, a tempo będzie aż tak zawrotne, ale skoro celem jest odwiedzenie mieszkańców 314 powiatów, a za sobą mamy już 280, to nie mogło wyglądać inaczej. Pół roku trasy po Polsce, a zwłaszcza możliwość osobistego spotykania ludzi i rozmawiania z nimi, jest niesamowitym doświadczeniem. Poprowadziłam kilkaset spotkań z kandydatem, widziałam, jakie są emocje społeczne i jak ogromne jest poparcie dla nas. To daje nam ogromną siłę w tym wyborczym maratonie, zwłaszcza Karolowi Nawrockiemu, który najciężej pracuje. Życzliwość naszych wyborców jest jak wysokooktanowe paliwo, które pozwoli nam przyspieszyć na ostatnich, najbardziej emocjonujących i najcięższych kilometrach. To wszystko jest możliwe dzięki wam, Polakom! Dodam tylko, że zjechanie Polski wszerz i wzdłuż pozwoliło mi się przekonać, jak bardzo piękny jest nasz kraj, i przeżyć podróż życia, która mam nadzieję, że zakończy się zwycięstwem Karola Nawrockiego

PORTRET RODZINNY

Na portrecie ja, mój mąż i dwie córeczki. Wykonany przez młodą artystkę w programie graficznym na podstawie zdjęcia. Konwencja dziecięcej kreski dodaje portretowi unikatowego klimatu, taki prezent na pewno ucieszy niejedną osobę.

„ULEGŁOŚĆ" MICHELA HOUELLEBECQA

Książka, do której niedawno wróciłam. Ukazuje wizję francuskiej sceny politycznej, na której do władzy dochodzi partia islamska, a prezydentem Francji zostaje przedstawiciel Bractwa Muzułmańskiego. Lektura bardzo ważna z punktu widzenia tego, co się teraz dzieje w Europie.

eprasa.pl 25fefa0eda

IKONA MATKI BOSKIEJ

To jest kampanijna ikona Matki Boskiej. Na rewersie ma podpis: Bieszczady, Ustrzyki Dolne, 30.03.2025 r. Dobrze pamiętam ten wyjazd, podczas którego w ciągu 4 dni odwiedziliśmy 22 powiaty. Ostatniego dnia na kampanijnej trasie byliśmy kompletnie zmęczeni. Na sam koniec spotkania z mieszkańcami Ustrzyk Dolnych do Karola Nawrockiego i do mnie podeszła bieszczadzka artystka, która sprezentowała nam ikony w podziękowaniu za ten trud. To był wzruszający moment dodający energii i sił, a także poczucia, że jest za kogo walczyć.

ALBUM TAMARY ŁEMPICKIEJ

Kupiłam go podczas wystawy w Warszawie, na otwarciu której była prawnuczka Tamary Łempickiej Marisa de Lempicka. Lubię się relaksować i odpoczywać od świata polityki, oglądając prace artystów formatu polskiej malarki.

KAFELEK

Pochodzi ze zbombardowanego i kompletnie zrujnowanego bloku w Charkowie, gdzie byłam krótko po wybuchu wojny, realizując film dokumentalny. Na kafelku wolontariusz z Azji namalował motyw ukraińskiego osieroconego chłopca. Artysta był niesamowity, bo w ciągu dnia pomagał mieszkańcom Charkowa, a po pracy malował graffiti na ścianach ruin. Prawie jak Banksy.

GARSONKA

Prezent od męża. Garsonka była wykorzystywana podczas wywiadów telewizyjnych. Prowadziłam w niej także „Spotkanie Ludzi Kultury z Karolem Nawrockim". Oczywiście po powrocie do domu natychmiast jest zabezpieczana w szafie, na przypadek, gdyby któraś z córek chciała ją przymierzyć.

SMARTWATCH

Ważna jest organizacja. Gdy wyjeżdżamy, przykładowo mamy po pięć spotkań dziennie i harmonogram naprawdę jest napięty. Trzeba bardzo dobrze pilnować czasu i komunikacji, a ponieważ smartwatch pełni rolę telefonu, nadaje się do tego idealnie.

SUKIENKA

Z ostatniej gali – konwencji wyborczej w Łodzi, którą prowadziłam.

OD ŚW. CHARBELA

Ludzie naprawdę nas wspierają. Pewna kobieta przyniosła obrazek z informacją, że została wykupiona msza w intencji mojej i moich bliskich. Dodatkowo otrzymałam pasek materiału będący fragmentem relikwii św. Charbela, która ma nas nieść prosto do zwycięstwa.

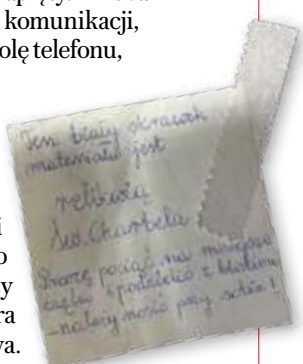

BUTY DO TAŃCA

Wiele lat tańczyłam: taniec towarzyski, latynoamerykański, a nawet hip-hop, gdy byłam nastolatką. Do tańca latynoamerykańskiego wróciłam podczas mojego wesela razem z koleżankami, z którymi opracowałam wspólny układ. To była niespodzianka dla mojego męża.

TORBA

Wykonana z ekologicznej skóry autorstwa kaletniczki prowadzącej swoją firmę od 20 lat. Otrzymałam ją po konwencji w Łodzi. Torba jest jedyna w swoim rodzaju, ponieważ są na niej nadrukowane zdjęcia z kampanijnego tournée Karola Nawrockiego.

„MADAME" ANTONIEGO LIBERY

Pozycja z mojej półki, miałam okazję rozmawiać z jej autorem. To było w ramach telewizyjnego wywiadu z pasma „Gwiazdy w Republice", dla którego wykonałam 160 rozmów z przedstawicielami kultury i sztuki.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, materiały prasowe sztabu wyborczego Karola Nawrockiego, Shutterstock

eprasa.pl 25fefa0eda

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Trzask w potrzasku

Jan Pietrzak

Pewien kandydat na posadę prezydenta znalazł się w potrzasku. Z jednej strony apetyczne, tęczowe koleżeństwo genderowe, z drugiej tysiącletnie piastowskie dziedzictwo, do którego odwołuje się jego oficer prowadzący, co samo w sobie jest komicznym dysonansem. Ma biedaczysko zgryz, ma ćwieka, jak się mówi potocznie lub kolokwialnie. Z jednej strony kuszące lotnisko w Berlinie, z drugiej niedokończone metro w Warszawie. Z jednej strony euforyczne wonie Champs Élysées, z drugiej szambo odbijające w Wiśle. Światowiec taki jak on, władający językami, musi się poniżać do poziomu plebsu na stadionach. W sumie demokracja jest bardzo niewygodnym ustrojem dla pieszczochów Brukseli.

On: bonjour, voules vous, pardon, merci, a stadionowi demokraci: „Trzasku matole, ciebie obalą kibole". Usługowy prof. Markowski ogłosił, że kibice „to ludzie, z którymi nie radzi sobie państwo, dawno powinni być poskromieni". Otóż powinno być inaczej: profesorowie typu Radosław M. najpierw powinni być skierowani do prac polowych w Rzeszy, a potem poskramiać Polaków. Nic tak nie uczy jak empiria.

Mój przyjaciel, profesor mniemanologii stosowanej Janek Stanisławski śpiewał w Kabarecie pod Egidą o podobnej sytuacji: „Z jednej strony śmiech szalony, z drugiej strony gorzka łza, z jednej strony pensja żony, z drugiej strony władza zła, z jednej strony praca zbrzydła, z drugiej – awans może przyjść, z jednej strony – wleźć bez mydła, z drugiej zaś na swoje wyjść!".

Na marginesie – kiedy Polska wreszcie odzyska niepodległość, w co nie wątpię, będę upraszał władze, by przypomniały w mediach niebanalny dorobek Kabaretu pod Egidą. Piosenki, szyderstwa, a także inicjatywę budowy Łuku Triumfalnego Bitwy Warszawskiej. Taki to był artystyczny ensemble, który w towarzyskiej atmosferze, w pogodnym nastroju opowiadał o najważniejszych polskich sprawach. Przypomnienie tamtej heroicznej bitwy ma obecnie szczególny sens, bowiem wieloletnie starania o to upamiętnienie były utrącane przez stołeczny ratusz. Prezydent Warszawy, kandydat na prezydenta Polski, nie życzył sobie żadnego pomnika zwycięstwa. Nie wiemy, czy z tchórzostwa, czy z głupoty. Według jego przełożonych tu, na polskiej ziemi, mają stać jedynie pomniki martyrologii i klęsk. Oczywiście są one absolutnie niezbędne, ale nie wyłącznie! Pomnik poległych stoczniowców w Gdańsku robi wielkie wrażenie, ale pomnika ZWYCIĘSKICH stoczniowców nie ma nigdzie. Nie ma już nawet samych stoczni! Zostały skasowane na polecenie okupantów. W tym przypadku związek zachodzący między symboliką a praktyką jest tak jaskrawy, że tylko redaktorzy niemieckich mediów go nie dostrzegają. Oraz ich faworyt wyborczy, który oto znalazł się w potrzasku. I niech tam zostanie na dłużej...

Kartel Tuska się boi

Nie miejmy złudzeń – mamy do czynienia z brutalnym atakiem polityczno-medialnego kartelu, którego głównym architektem jest Donald Tusk. Wtórują mu jego ludzie z Platformy Obywatelskiej wspierani przez media kontrolowane przez zagraniczny kapitał. Cel jest jeden: zniszczyć Karola Nawrockiego – człowieka uczciwego, odważnego i bezkompromisowego w służbie Polsce.

Z banalnego, ludzkiego odruchu – pomocy starszemu mężczyźnie – skonstruowano fałszywą aferę. Manipulacja, insynuacje, medialne szczucie – oto narzędzia Platformy. Gdy nie ma argumentów, wchodzi nagonka. Gdy nie ma prawdy, pojawia się reżyserowana histeria. To nie pierwszy raz, gdy zaprzyjaźnione służby, być może nie tylko nasze, uruchamiają aparat oszczerstw przeciwko ludziom, którzy są realnym zagrożeniem dla interesów elit III RP.

Nawrocki nie ma majątku, nie żyje z polityki, nie stoi za nim machina korporacyjna. A mimo to jego jeden gest, jego decyzja, uczciwa i bezinteresowna, ma większą wagę niż całe życiorysy niektórych członków „kamandy" Tuska trzymających po kilkanaście mieszkań i święcie przekonanych, że Polska to ich prywatny folwark.

To dlatego jest atakowany. Bo przypomina, że można inaczej. Że można żyć i działać dla wartości, a nie układów. A to dla kartelu jest nie do zniesienia.

Dziś Karol Nawrocki staje na froncie walki nie tylko o swoje dobre imię. Staje w obronie Polski, prawdy i naszej wspólnej godności. I się nie ugnie.

Musimy wierzyć, że prawda zwycięży. Bo zwycięży. Karol Nawrocki idzie po zwycięstwo. A my idziemy razem z nim.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl 25fefa0eda

Ambasador Berlina

Samuel Pereira

Zadziwiająca jest konsekwencja Donalda Tuska w jednym: lojalności wobec Berlina. Przy każdej okazji, gdy pojawia się temat niemieckich reparacji za II wojnę światową, premier Polski zamiast stawać po stronie własnych obywateli, wciela się w rzecznika interesów naszego zachodniego sąsiada. Tłumaczy, usprawiedliwia, zamiata temat pod dywan, mówiąc o „duchu porozumienia", „patrzeniu w przyszłość" i „braku sensu liczenia strat". Jakby mówił nie z Warszawy, ale z Bundestagu.

A przecież sprawa nie dotyczy tylko pieniędzy. Reparacje wojenne to również kwestia elementarnej sprawiedliwości, szacunku dla ofiar i podniesienia pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Tego nie da się przeliczyć na euro. Niemcy nigdy nie zadośćuczyniły Polsce za niewyobrażalne zniszczenia i miliony istnień. Oczekiwanie choćby symbolicznego uznania długu jest nie tylko słuszne – jest moralnym obowiązkiem każdego polskiego rządu. Tymczasem premier Tusk robi wszystko, by Berlin nie musiał się z tym zmierzyć. Dlaczego?

Wyraźnie widać, że interes Niemiec ma dla niego wyższy priorytet niż interes własnego narodu. Nie chodzi tu tylko o to, co mówi, lecz także o to, co robi – choćby błyskawiczne odwołanie zespołu zajmującego się dokumentowaniem strat wojennych. To nie są przypadkowe decyzje. To świadomy wybór linii politycznej: mniej Polski, więcej Niemiec.

Czy Polacy rzeczywiście chcą mieć szefa rządu, który bardziej rozumie potrzeby kanclerza Scholza czy Merza niż własnych obywateli? Który po cichu przyklepuje niemiecką wersję historii, choć w kampanii mówił coś zupełnie innego? Polityka Tuska nie tylko osłabia naszą pozycję – odbiera nam również godność. A tej nie da się odzyskać jednym gestem. Trzeba mieć charakter. I lojalność – wobec Polski, nie Berlina.

Bo jeśli polski premier zachowuje się tak, jakby był ambasadorem niemieckich interesów w Warszawie, to trudno oczekiwać, że ktoś na świecie potraktuje nas poważnie. Państwo, które nie potrafi upominać się o swoje, zostaje zredukowane do roli klienta, nawet jeśli formalnie nazywa się sojusznikiem.

Spotkaliśmy miłość i siebie

Z Urszulą Wojtecką i Stanisławem Kęsickim z 7. edycji programu „Sanatorium miłości" rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kto państwa zdaniem stworzył królewską parę 7. edycji „Sanatorium miłości"?

Urszula Wojtecka: My, bo choć oficjalny wynik głosowania jest inny [królową turnusu została „Ula z Poznania", królem – „Dzinio" (Zdzisław Obst) – przyp. red.] to my wygraliśmy najwięcej z tego, co można było wygrać w tym programie. Spotkaliśmy miłość i siebie.

Stanisław Kęsicki (Stanley): Cieszę się, że mam swoją królową i partnerkę. Nie potrzeba nam tytułów. Wystarczy nam nasza miłość.

Nagrania do programu skończyły się osiem miesięcy temu. Jak udało się utrzymywać wasz związek w tajemnicy?

Urszula: Nie było łatwo, spotykaliśmy się ukradkiem.

Stanley: I cierpliwie czekaliśmy na finał emisji. Teraz oboje pracujemy nad logistyką naszych wspólnych planów.

Przypomnijmy: pani jest z Poznania, pan z Mysłowic. Czy poza tą trasą odbyliście już albo macie w planie inne podróże?

Urszula: Na pierwszy wyjazd Stanley zaprosił mnie do Ustronia, gdzie powstało „Sanatorium miłości". Pokazał mi też swoje rodzinne strony. To było jeszcze przed emisją programu, ludzie nas nie rozpoznawali, mogliśmy spokojnie pobyć ze sobą.

Jak teraz radzicie sobie z popularnością?

Urszula: Cały czas spotykam się z pozytywnymi reakcjami, ludzie się uśmiechają, mówią, że kibicują naszej miłości. Właściwie po raz pierwszy odczułam negatywny odbiór, oglądając finał programu i słuchając komentarzy niektórych koleżanek.

Stanley: W czasie emisji dostawałem setki pytań o Ulę, teraz nie będę musiał niczego tłumaczyć.

Fot. Weronika Marczyk-Kiełbasa

eprasa.pl 25fefa0eda

Wyjść ze swej bańki

Jako Polak żywotnie zainteresowany błogostanem mojej ojczyzny bacznie śledzę otaczającą nas rzeczywistość. Staram się poznawać różne punkty widzenia, mające istotny wpływ na przyszłe losy kraju nad Wisłą. Rozrzut postaw jest ogromny: od frakcji bogoojczyźnianych tradycjonalistów przez *stricte* konsumenckie, neutralne centrum po skrajnie lewackich zwolenników anihilacji starego porządku świata. W tej najdłuższej (trzy wieki!) wojnie wyniszczającej nasz kraj od środka zwykle górę nad zdrowym rozsądkiem biorą emocje, a plemienny egoizm przysłania interes wspólnoty. I tylko powracające cyklicznie hekatomby dziejowe (powstania, rozbiory, wojny, okupacje) budzą chwilowe otrzeźwienie w nieszczęsnym, od zawsze zwaśnionym narodzie.

Szkoda tylko, że jedynym antidotum na to skłócenie jawi się niespodziewana apokalipsa, spadająca na wszystkich bez wyjątku. Mogłaby nią być np. inwazja krwiożerczych kosmitów na Polskę, bez możliwości poddania się i szans na kolaborację. Taka sytuacja wymusiłaby jedność narodową, bo albo wspólnie pokonamy wroga, albo wszyscy zginiemy.

W sierpniu 1939 r. mimo licznych sygnałów większość naszych rodaków nie zdawała sobie sprawy z nadciągającej totalnej zagłady. Dziś, gdy nad Europą znowu gromadzą się czarne chmury, uczymy się historii z niemieckich podręczników. A zegar tyka.

Medialni harcownicy odciągają naszą uwagę od najważniejszych spraw, np. kto wkrótce będzie tu rządził i czym to grozi. Być może gaśnica Brauna i kawalerka Nawrockiego zadecydują o domknięciu układu, z którego nie będzie już odwrotu. Polskę, w której Dekalog zastąpi darwinowska walka o byt, przejmą nielegalni migranci. Zdobędą ją maczetami i (jak prorokował Kaddafi) brzuchami swych kobiet. My nie mamy już ani szabel, ani dzieci, więc niepostrzeżenie na własne życzenie zniknemy z powierzchni ziemi.

PS 18 maja trzeba wyjść ze swej bańki, pomyśleć samodzielnie i zagłosować za Polską.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, GABRIEL BOUYS/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/RUBEN ADRIAN ROHTE, VLADIMIR VOLODIN

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl 25fefa0eda

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków

Nieznane strony historii Polski
10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamanych faktach | 106 stron

Powstanie Styczniowe 1863 r.
13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron

Gdzie diabeł nie mógł
25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron

Pupile historii
30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 7,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 25fefa0eda

Hejt mnie ni

Mojego zwycięstwa nie chcą Bruksela, Berlin, Moskwa, Kijów. Walczy ze mną Lewica, Platforma Obywatelska, również Konfederacja zaczęła strzelać, co mnie nie cieszy. Mówię o tej potężnej presji z wielu stron, by mocno wybrzmiało, że to naprawdę jest walka o polską suwerenność. Polacy też to wiedzą

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Karolem Nawrockim, obywatelskim kandydatem na prezydenta RP popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość

eprasa.pl 25fefa0eda

e złamie

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Czy wiedział pan, że zaatkują tak mocno, tak brutalnie? Że sięgną po aparat państwa, służby specjalne, manipulacje i zorkiestrowane medialne nagonki? Czy to jednak zaskoczenie?

Karol Nawrocki: Skłamałbym, gdybym powiedział, że tego nie wiedziałem. Od początku miałem świadomość, że użyją absolutnie wszystkiego. Oraz że będą malowali rzeczywistość, która rzeczywistością po prostu nie jest. Nie będę więc mówił, że jestem zaskoczony tym, co się dzieje. W konfrontacji z kandydatem, który jest zastępcą Donalda Tuska, a więc człowieka znanego z agresji w polityce, w boju o tak wielkiej stawce trzeba zakładać, że wydarzy się wszystko, nic nie zostanie nam oszczędzone.

A przecież do końca kampanii jeszcze daleko.

Jestem przygotowany na twardą walkę do ostatniego dnia, do ostatniej godziny. Jestem przygotowany na walkę z kłamstwami, fake newsami, pomówieniami. Wiem, o co walczę, wiem, kto i dlaczego atakuje.

Atak sprawą kawalerki w Gdańsku był tak mocny, bo pańska kampania złapała wiatr w żagle. Najpierw udana konwencja, najlepsza od wielu lat, później sukces w Białym Domu, spotkanie z czołówką amerykańskiej administracji i samym prezydentem Donaldem Trumpem. Mamy wrażenie, że odpalono operację, którą szykowano na później, może na drugą turę. Pan też ma takie wrażenie?

Nie wiem, kiedy planowano odpalenie tego ataku, ale wiem, że nad sprawą pracowano od dawna. Od wielu miesięcy dostawałem wiadomości, że moja teczka z postępowania w sprawie dostępu do informacji ściśle tajnych jest w obiegu, jest czytana przez osoby, które nigdy nie powinny mieć do niej dostępu. Wyciągnięto z niej sprawę, która została jednoznacznie wyjaśniona przez polskie służby w długim dochodzeniu już lata temu. Byłem przecież ściśle kontrolowany przez służby w ramach postępowań dotyczących klauzul dostępu już od 2009 r. W moim życiorysie nie ma sprawy, która nie zostałaby zbadana. Ta konkretna sprawa była zaś wyjaśniana wyjątkowo skrupulatnie.

Skąd pan o tym wie?

Wiem, że podejmowano działania operacyjne w tej sprawie. Sam w trakcie procesu uzyskiwania dostępu do ściśle tajnych dokumentów Unii Europejskiej odbyłem też wiele wielogodzinnych rozmów z funkcjonariuszami, a samo postępowanie trwało wiele miesięcy. Nie było do mnie żadnych uwag w tej sprawie. A jednak moi konkurenci postanowili ulepić z tego materiał do ataku. Jak widać, niczego realnego na mnie nie znaleźli, więc sięgnęli po pustą amunicję.

Tak po ludzku, nie od strony papierów, dokumentów – o co chodziło w tej historii z panem Jerzym?

eprasa.pl 25fefa0eda

To czar takich dzielnic jak gdańska dzielnica Sielce. Bardzo ją lubię, ma wiele wspaniałych stron, ale mieszka tam też wielu ludzi, którzy nie poradzili sobie z życiem, często borykają się z różnymi problemami, także uzależnieniami. To były osoby, które codziennie widziałem, mijałem, spotykałem w różnych miejsach. Niestety większość z nich już dziś nie żyje. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że wspierałem takie osoby, nie unikałem kontaktu z nimi. W takiej grupie osób był też pan Jerzy, który oczywiście też miał różne życiowe etapy – i lepsze, i gorsze. Nasze drogi życiowe jakoś się krzyżowały.

A skąd się w tym wzięło owo mieszkanie, a właściwie ta klitka o powierzchni 28 m²?

W pewnym momencie okazało się, że pan Jerzy ma mieszkanie, ale ma też problemy, nie ma energii elektrycznej, rosną jego długi. Moje działania związane z tym zmierzały do wyprostowania jego sytuacji, wynikały z założenia, że to mieszkanie jest podstawą, wokół której może odbudować stabilność swojego życia. Tylko z tego, nie miałem żadnych innych motywacji. Nie ukrywam – to szokujące, że wielu polityków opisywało tę historię w skrajnie zafałszowany sposób.

> Nie wiem, kiedy planowano odpalenie tego ataku, ale wiem, że nad sprawą pracowano od dawna. Od wielu miesięcy dostawałem wiadomości, że moja teczka z postępowania w sprawie dostępu do informacji ściśle tajnych jest w obiegu, jest czytana przez osoby, które nigdy nie powinny mieć do niej dostępu

Jak to mówią cynicy: nie ma takiego dobrego uczynku, który by nie został ukarany.

Tak, to chyba jest właśnie taki przypadek. Papierkiem lakmusowym moich intencji jest tu 2017 r., gdy formalnie zostaję właścicielem mieszkania, w którym mieszka człowiek, którego rzekomo chciałbym wykorzystać. I przez te osiem lat nie robię nic poza odwiedzaniem pana Jerzego w czasie świąt, poza dostarczaniem mu środków finansowych, gdy miał jakąś potrzebę, przeze mnie osobiście lub przez moich kolegów, współpracowników, gdy byłem poza granicami Polski. To były częste sytuacje. Reagowałem właściwie na każdą prośbę pana Jerzego. Nie było wówczas kamer, nie było innych chętnych do niesienia pomocy. Wątpliwości wokół tej sprawy mają dzisiaj ci, którzy wyraźnie nie potrafią zrozumieć, że w bezinteresowny sposób można pomagać

eprasa.pl 25fefa0eda

drugiemu człowiekowi, nie czerpiąc żadnych korzyści z takiej relacji. To m.in. ci, którzy są właścicielami kilkunastu mieszkań, a wywodzą się ze środowiska Rafała Trzaskowskiego. To czyściciele kamienic z Warszawy, miasta, którym rządzi Rafał Trzaskowski, to wreszcie patodeweloperzy, którzy wpłacają środki na kampanię Rafała Trzaskowskiego. Nie dziwię się tym osobom, że nie są w stanie zrozumieć tego, iż można pomagać drugiemu człowiekowi, nie czerpiąc z tego korzyści.

Podjął pan decyzję o przekazaniu mieszkania organizacji charytatywnej. Chodziło o pokazanie oszczercom, jak bardzo się mylą?

Tak, podjęliśmy z żoną taką decyzję, opierając się na przekonaniu, że zło trzeba zwyciężać dobrem. Mieszkanie trafi do jednej z organizacji charytatywnych, która nadal będzie wypełniała tę misję, którą ja wypełniałem wobec pana Jerzego. Mam nadzieję, że w kolejnych latach, dekadach to mieszkanie będzie służyło osobom starszym, wykluczonym. Oczywiście w umowie darowizny organizacji charytatywnej będzie jasny zapis, że pan Jerzy, któremu życzę długiego życia i zdrowia, będzie mógł korzystać z tego mieszkania do swojej śmierci. Jednocześnie apeluję do tych wszystkich, którzy przyglądają się tej całej hucpie i być może wątpią, czy należy pomagać drugiemu człowiekowi. Uważam, że pomimo tego, co się dzieje, pomimo fake newsów, kłamstw, walki instytucji państwa polskiego z jednym realnie obywatelskim kandydatem na urząd prezydenta państwa polskiego, warto pomagać drugiemu człowiekowi. Nie schodźcie ze ścieżki pomocy drugiemu człowiekowi, bo, powtarzam, dobro zawsze zwycięża zło. Tym razem też tak będzie.

Ma pan żal do swojego konkurenta z Platformy Obywatelskiej, że sięga po tak brudne metody walki politycznej? A sięga, bo nie daje rady, nie dźwiga ciężaru, a nawet w pewien sposób rozpada się na naszych oczach jako polityk.

Nie mam żalu do Rafała Trzaskowskiego, że swój brak umiejętności w kampanii wyborczej i swoją słabość stara się przykryć takimi działaniami. Będę dla niego litościwy – myślę, że inaczej nie umie. Mam natomiast w sobie wielki ból, że niszczy się w ten sposób instytucje państwa polskiego. Mam w sobie ból, gdy widzę, jak Najwyższa Izba Kontroli w celach politycznych dewastuje Instytut Pamięci Narodowej. Także gdy słyszę o policjantach przesłuchujących podwykonawców z Muzeum II Wojny Światowej w sprawie nieaktualnego katalogu i którzy ważą książki, by rzekomo coś sprawdzić. Boli mnie także, gdy widzę, że polskie służby dopuszczają do przecieków do polskojęzycznych mediów informacji z tajnego postępowania. Zastanawiam się, czy walka o najwyższe stanowisko w państwie polskim nie zniszczy trwale wielu instytucji naszego państwa. Czy moi konkurenci dla politycznego zysku nie niszczą tego, co powinno być szczególnie chronione. Tę troskę podziela wielu inspektorów NIK, prokuratorów, oficerów służb specjalnych, których spotykam, czasem przypadkowo. Oni też się martwią, co się stanie z instytucjami, które są zaganiane do bieżącej kampanii wyborczej. To jest mój żal. Ale mnie ten hejt nie złamie.

> Ja i Rafał Trzaskowski jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. On jest wytworem politycznego laboratorium, ja jestem człowiekiem z krwi i kości, który szedł przez życie własną, prawdziwą drogą

Świat, w którym w czasie kampanii fruwają informacje z procedury sprawdzającej w ramach dostępu do informacji niejawnych, będzie już inny. Kto teraz zaufa polskim służbom specjalnym?

Prestiż i zaufanie trzeba będzie odbudowywać przez wiele lat. Przecież tam pojawiają się informacje bardzo osobiste – o medykamentach, emocjach, wielu zależnościach. Co powiedzieć ludziom, ważnym urzędnikom państwa polskiego, którzy przystępują lub będą przystępowali do procedury sprawdzającej? Jest i będzie ich wielu. Teraz oni muszą żyć ze świadomością, że gdy postanowią ubiegać o się jakąś funkcję polityczną, może nawet radnego, posła, to wypłynie fakt, że mieli np. załamanie nerwowe albo ciężko przeżyli śmierć ojca czy matki. Stało się coś bardzo złego.

A stało się, bo, jak już mówiliśmy wcześniej, zbyt dobrze panu szło. Przyjęcie kandydata na prezydenta RP przez urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych to rzecz niemal bez precedensu. Wiemy, że Donald Trump powiedział: „You will win", czyli „wygrasz". To było jego życzenie? A może prognoza polityczna?

Chciał mi życzyć sukcesu, ale rzeczywiście, nie było tam żadnego znaku zapytania. Odebrałem to jako stwierdzenie, że Donald Trump życzy mi powodzenia. Widziałem, że prezydent Stanów Zjednoczonych wie, kto do niego przychodzi, dlaczego przychodzi i w jakiej sytuacji jest jego kraj. Ale proszę pamiętać, że spotkanie w Białym Domu odbyło się po całej serii spotkań z czołówką obecnej administracji, które trwały w sumie ponad siedem godzin. Rozmawiałem m.in. z przewodniczącym Izby Reprezentantów Mikiem Johnsonem, sekretarzem stanu Markiem Rubio, szefową gabinetu Donalda Trumpa Susie Wise, szefem komisji sprawiedliwości Izby Reprezentantów Jimem Jordanem, a także z sekretarzem zdrowia Robertem Kennedym i kongresmenami.

Jaki jest Donald Trump twarzą w twarz?

eprasa.pl 25fefa0eda

Jest taki, jak go widzimy w mediach. To człowiek mocny, zdecydowany, bardzo doświadczony, a także z pewnym dystansem do siebie.

Na drodze do prezydentury, i pierwszej, i drugiej, Trumpa też szalenie mocno atakowano, próbowano go także zabić. Ale on się nigdy nie poddał, zawsze jasno bronił interesów swojego narodu, zdrowego rozsądku. I wygrał. Widzi pan podobieństwa ze swoją drogą? Ta legendarna wytrwałość Trumpa jest dla pana inspiracją?

Cenię Donalda Trumpa za jego odporność, zdecydowanie, wytrwałość, także za to, że ustał w kampanii wyborczej mimo tak mocnych ciosów, które starano mu się zadać. Przeżył to wszystko, mając w sercu swoją ukochaną Amerykę. Myślę, że bardzo pomogła mu wiara. Widziałem to bezpośrednio, bo przecież w Białym Domu wziąłem udział w uroczystościach z okazji Narodowego Dnia Modlitwy. Polityka prezydenta Trumpa w tej sferze i w wielu innych jest całkowitym przeciwieństwem tego, co robi w Warszawie, a chce robić w całej Polsce Rafał Trzaskowski. Trump jest człowiekiem światowym, ale przede wszystkim jest Amerykaninem i pracuje przede wszystkim dla Ameryki. A czy wzoruję się na prezydencie USA? Nigdy nikogo nie kopiowałem, jestem i będę sobą, Karolem Nawrockim, ze swoją drogą życiową i swoimi wartościami. Rzecz jasna pewne analogie między moją kampanią a jego walką o prezydenturę są widoczne, lewica wszędzie na świecie walczy z patriotami w podobny sposób.

Czy poparcie ze strony Donalda Trumpa przełoży się na głosy w Polsce?

Nie pojechałem do Białego Domu z prośbą o poparcie w wyborach prezydenckich. Chciałem jak najszybciej zacząć budować dobre relacje polsko-amerykańskie, bo znajdujemy się na geopolitycznym zakręcie. Widzimy, że te relacje są podawane w wątpliwość przez obecny polski rząd i także przez zastępcę Donalda Tuska, mojego konkurenta. Spotykając prezydenta Trumpa, chciałem pokazać, że ścieżka, którą wytyczył i zbudował prezydent Andrzej Duda, powaga towarzysząca relacjom polsko-amerykańskim będzie kontynuowana. Zresztą w trakcie naszej rozmowy prezydent Trump wyraźnie odwołał się do prezydenta Dudy. Oczywiście Polska musi być obecna możliwie szeroko w architekturze światowego i europejskiego bezpieczeństwa, ale Stany Zjednoczone są naszym najważniejszym partnerem.

> Nie mam żalu do Rafała Trzaskowskiego, że swój brak umiejętności w kampanii wyborczej i swoją słabość stara się przykryć takimi działaniami. Będę dla niego litościwy – myślę, że inaczej nie umie. Mam natomiast w sobie wielki ból, że niszczy się w ten sposób instytucje państwa polskiego

Trump wygrał na fali poczucia wielu Amerykanów, że zagrożone są podstawy cywilizacyjne, narodowe i państwowe, całej wspólnoty. Przez imigrację, atak na własną historię i tradycję, rodzinę. Poprzez błędną, chwilami szaloną politykę ekonomiczną. W Polsce też mamy podobną diagnozę wśród wielu grup społecznych. Wielu ludzi widzi w pańskiej kampanii nie tylko walkę o prezydenturę, o najwyższy urząd w państwie, lecz także wręcz walkę o przetrwanie niepodległego państwa polskiego. Czy ma pan świadomość tej stawki?

Tak, to jest istota tych wyborów prezydenckich. Moja osobista ambicja zostania prezydentem jest elementem wręcz trzeciorzędnym. Ta kampania jest zderzeniem Polski suwerennej z Polską, która stacza się w wielu obszarach w kierunku wykonawcy woli Brukseli czy Berlina. Czuję tę nadzieję, którą niosę w imieniu wielu Polaków. Codziennie przekonuję się o tym w czasie spotkań z rodakami. Ta różnica wybrzmiewa tak mocno również dlatego, że ja i Rafał Trzaskowski jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. On jest wytworem politycznego laboratorium, ja jestem człowiekiem z krwi i kości, który szedł przez życie własną, prawdziwą drogą.

Po lekturze jego książki pt. „Rafał" nie wahamy się stwierdzić, oczywiście nieco żartobliwie, że już w przedszkolu zgłaszał ambicję pełnienia najwyższych urzędów w państwie.

Ja nie chodziłem do przedszkola, ale nawet gdybym chodził, na pewno nie miałbym takich myśli. Mojego zwycięstwa nie chcą Bruksela, Berlin, Moskwa, Kijów. Walczy ze mną lewica, Platforma Obywatelska, również i Konfederacja zaczęła strzelać, co mnie nie cieszy. Mówię o tej potężnej presji z wielu stron, by mocno wybrzmiało, że to naprawdę jest walka o polską suwerenność. Polacy też to wiedzą. Bo dziś Polacy bardzo się martwią o Polskę.

Władza pragnie zastraszyć Polaków, nie chce, by manifestowali swoje opozycyjne czy po prostu patriotyczne poglądy. Te brutalne wejścia do instytucji państwowych, aresztowania, także posłów, najścia służb specjalnych, upolitycznienie prokuratury, otwarte łamanie prawa – to ma złamać opozycję, a także wepchnąć Polaków w prywatność. Czy pańskim zdaniem to się udało?

Wiem, że wielu uczestników moich spotkań ma świadomość, iż ryzykują nieprzyjemności, czasem utratę pracy, mimo to przyzwoitość i umiłowanie Polski nakazują tym ludziom przychodzić na moje spotkania, wyrażać swoje poparcie. Ludzie potrafią stać godzinami, czekając tylko na to, by

Fot. #Nawrocki2025/x.com

eprasa.pl 25fefa0eda

uścisnąć im dłoń. Bardzo ich szanuję. Głęboko wierzę, że Polacy ostatecznie nie dadzą się zastraszyć.

Można się tylko dziwić, że władzy, której część przedstawicieli wyrosła z „Solidarności", która wymachiwała za rządów PiS konstytucją i prawami człowieka, nie jest wstyd, że buduje nad Wisłą mutację modelu białoruskiego.

Tak, to wstyd, że dziś żyjemy w takiej Polsce. Tak, to wstyd, że dzień po mojej wizycie w zakładzie przetwórstwa spożywczego o godz. 6:00 pojawia się sanepid. To wstyd, że ekipy prokuratorskie, o czym już wspominałem, wchodzą jednocześnie do czterech miejsc związanych z podwykonawcą Muzeum II Wojny Światowej i grzebią mu w apteczce, żeby wykazać, że kiedyś był bokserem, choć nigdy nie miał nic wspólnego z boksem. To wstyd, że NIK przez siedem godzin przesłuchuje dyrektora biura wydarzeń kulturalnych IPN.

A mediom, które nie grają w orkiestrze władzy, w tym telewizji wPolsce24, pani sędzia z uśmiechem odbiera koncesję na nadawanie naziemne.

To są sprawy nie do pomyślenia w demokracji. Do tego dochodzi niewpuszczanie wolnych mediów na konferencje Rafała Trzaskowskiego. Ja z kolei codziennie odpowiadam na pytania i TVN, i telewizji rządowej, która chyba nie poświęciła minuty na pokazanie prawdziwego Karola Nawrockiego. Pokazują tylko ulepioną przez siebie karykaturę. Warunki są bardzo trudne, ale to nas nie zatrzyma. Prawda zwycięży, dobro zwycięży, Polska zwycięży.

> Nie pojechałem do Białego Domu z prośbą o poparcie w wyborach prezydenckich. Chciałem jak najszybciej zacząć budować dobre relacje polsko-amerykańskie, bo widzimy, że są one podawane w wątpliwość przez obecny polski rząd i także przez mojego konkurenta

Jakim prezydentem pan będzie? Czy będzie się pan wzorował na Andrzeju Dudzie? A może ma już pan swoją własną wizję?

Prezydent poza tym, że dysponuje prawem weta, inicjatywą ustawodawczą i prawem zwoływania Rady Gabinetowej, ma też prawo zabierania głosu w imieniu Polaków. Zawsze byłem i jestem aktywnym człowiekiem. To będzie i musi być aktywna prezydentura. Idę do pałacu prezydenckiego, by być głosem tych wszystkich, którzy martwią się o Polskę, także tych, którzy nie czują się dziś w Polsce u siebie.

Chce pan słuchać, ale w czasie konwencji powiedział pan, że poprowadzi Polaków ku przyszłości, a nie puści ich przodem, jak to proponuje Rafał Trzaskowski. To ważne zdanie, bo prezydent ma być przywódcą, mieć wizję, którą proponuje.

Mam taką wizję, mówię o niej jasno. Ale chcę też podkreślić, że moja propozycja jest skierowana do wszystkich Polaków, także tych, którzy głosują na moich rywali. Kierując IPN, nabrałem przekonania, że można wykrzesać dobro z ludzi z różnych stron sceny politycznej.

eprasa.pl 25fefa0eda

Będzie pan chciał łączyć Polaków?

Tak, opierając się na fundamencie tego, co dla Polaków najważniejsze, odwołując się do suwerenności, wolności, naszego dziedzictwa. To jest podstawa, na której powinniśmy zbudować porozumienie niezależnie od emocji politycznych. Głęboko w to wierzę. Tę wiarę wzmacnia moja droga do prezesury IPN. Zostałem wybrany głosami PiS, a także PSL, Konfederacji i również jednego senatora PO, który powiedział: „Nie godzę się, by prezesem IPN nie został ktoś, kto będzie dobrym prezesem tylko dlatego, że tak każe mi dyscyplina partyjna". Mam więc w sobie tę wiarę, że mogę reprezentować ludzi dokonujących dziś innych wyborów. Jako prezydent będę też oczywiście strażnikiem konstytucji i najważniejszych zasad życia społecznego. Prawo weta to jednak bardzo silne narzędzie. Będę intensywnie i mocno motywował rząd do pracy, realizacji tego, co obiecali w wyborach. Będę bronił tych wszystkich, którzy złapali oddech w związku z polityką społeczną Zjednoczonej Prawicy, a którzy dziś słusznie niepokoją się o swój los, swoją przyszłość. Będę bronił Polski, będę bronił polskiej przyszłości.

Która z polskich tradycji ideowych, historycznych jest panu najbliższa?

Cenię wiele polskich tradycji, ale najważniejsze jest, byśmy nie musieli realizować pięknej polskiej tradycji insurekcyjnej. Dziś potrzebujemy pracy organicznej, pozytywistycznej, budowania silnej wspólnoty. To jest nasz moment dziejowy. Jesteśmy wolnym narodem, ale ta wolność nakłada na nas także wielką odpowiedzialność. Musimy myśleć o tych, którzy przyjdą po nas, o kolejnych pokoleniach. Nie możemy zepsuć tego, co dostaliśmy. A obecna władza niestety psuje naszą ojczyznę. Nie zajmuje się tym, co ważne, rozwojem, troską o bezpieczeństwo, ale skupia swoją energię na ściganiu oponentów i kandydata na urząd prezydenta. Zamiast troski o finanse publiczne mamy polityczną agresję. Zamiast dobrej władzy – maskaradę i realizację interesów jednego środowiska politycznego. I to trzeba pilnie zmienić.

Czy jednak nie mówimy za mało w tej kampanii o sprawie najważniejszej, o tym, że po prostu wymieramy jako naród? Po tysiącu lat po prostu umieramy, skazując się albo na skarlenie, albo zalew imigrantów. To już nie kryzys, to katastrofa. Dotyka ona całego zachodniego świata, ale to marne pocieszenie.

W każdym aspekcie polityki państwa polskiego muszą być uwzględnione kwestie demograficzne. Uwzględnia to mój kontrakt podatkowy z Polakami. Powinny zostać wszystkie świadczenia i ulgi, będę ich bronił. Państwo powinno zachęcać do zakładania rodzin, oczywiście szanując, że różnie układają się ludzkie losy. Musimy promować cywilizację życia, a nie cywilizację śmierci. Musimy zadbać o małe i średnie miasta, które kurczą się w zastraszającym tempie. Trzeba dbać o dobrą komunikację wewnątrz kraju, tak by mieszkanie poza wielkim ośrodkiem nie oznaczało wykluczenia w którejkolwiek ze sfer życia. Będę też zabiegał o to, by Polacy wracali z emigracji, by to oni do nas przyjeżdżali, a nie obcy kulturowo imigranci.

> Jestem przygotowany na twardą walkę do ostatniego dnia, do ostatniej godziny. Jestem przygotowany na walkę z kłamstwami, fake newsami, pomówieniami. Wiem, o co walczę, wiem, kto i dlaczego atakuje

Czy Polska może być wielka, ambitna?

Powtarzam: tego właśnie dotyczą te wybory. To wybór pomiędzy Polską, która wierzy w siebie, widząc, ile osiągnęła w ostatnich latach i dekadach, która wie, że jest w stanie stać się liderem regionu, a także liderem w Unii Europejskiej, a Polską, która uważa, że maksimum jej ambicji jest gorliwe wykonywanie cudzych poleceń. Wiemy o sobie sporo i mamy świadomość, że na przestrzeni dziejów Polska i Polacy nie są w stanie funkcjonować jako wspólnota narodowa bez pięknych planów, marzeń, aspiracji. I także ze względu na nasze położenie bez silnej armii. Tak zdecydował Bóg: bez ambicji nie ma Polski.

Przejdzie pan do drugiej tury, będzie to zasadnicze zderzenie z Rafałem Trzaskowskim. I trzeba będzie znaleźć siłę, słowa, sposoby, by dotrzeć do tych wyborców, którzy są pod wpływem tych wielkich strumieni kłamstwa i manipulacji, które leją się z obozu władzy. Co im pan powie? Jak przekona, że to jednak Karol Nawrocki powinien zostać prezydentem?

Mówię do nich już teraz, już dziś. W Polsce, której będę prezydentem, będzie miejsce dla wszystkich, którzy kochają nasz kraj, chcą go rozwijać, żyć i pracować dla niego. Wierzę też, że ci, którzy nie przychodzą na moje spotkania, którzy nie czytają tygodnika „Sieci", widzą tę samą Polskę, którą widzimy my, i nie da się ich oszukać, iż sprawy idą w dobrą stronę. Bo nie idą. I żadna zmiana w koszyku Głównego Urzędu Statystycznego poprzedzona zmianą prezesa GUS tu nie pomoże. Żadna propaganda nie zmieni faktu, że zatrzymano budowę całego systemu komunikacyjnego CPK. Nawet wyborcy partii tworzących dziś rząd czują, że zastępca Donalda Tuska nie będzie gwarantem ich dobrobytu i bezpieczeństwa. Trzeba stanąć w prawdzie. Trzeba się odwołać do fundamentów, do tego, kim jesteśmy, skąd przychodzimy i zacząć znów rozwijać Polskę. Dokonajmy wyboru dla Polski, dla siebie, a nie dla partii politycznych. Pamiętajmy: po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy.

Autopromocja

eprasa.pl 25fefa0eda

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Niestabilny jak Trzaskowski

Kandydat Donalda Tuska na prezydenta Polski jest niebezpieczny z powodu nieprzewidywalnych i gwałtownych skoków nastroju. Można to było zobaczyć podczas jego spotkań wyborczych

STANISŁAW JANECKI

Wpadanie w emocjonalne skrajności, wybuchy niekontrolowanego gniewu lub zaskakującej wesołkowatości, zachowania wyglądające na histeryczne, gwałtowne skoki nastroju, zmiany sposobu mówienia mogące wskazywać na niestabilność i brak kontroli nad przekazem – to typowe zachowania Rafała Trzaskowskiego podczas spotkań z wyborcami w kampanii 2025 r. I jest to nowość, bowiem kandydat Koalicji Obywatelskiej nie zachowywał się tak podczas kampanii prezydenckiej w 2020 r. oraz w dwóch kampaniach samorządowych, gdy w pierwszej turze został wybrany włodarzem Warszawy. W tym sensie mamy więc niejako „nowego Trzaskowskiego".

Obserwatorzy obecnej kampanii prezydenckiej zwracają uwagę także na zmiany widoczne w mimice i ruchach kandydata Koalicji Obywatelskiej, np. wybuchy śmiechu, tzw. dzikie oczy, podnoszenie głosu i jego piskliwość. Mogłoby to świadczyć o przyjmowaniu jakichś leków lub środków wpływających na nastrój, choć takie zachowania wcale nie muszą się z tym wiązać.

Uczestnicy i obserwatorzy wyborczych spotkań Trzaskowskiego w mediach społecznościowych, szczególnie na platformie X, zwracali uwagę, że prezydent Warszawy podczas wieców wyborczych zachowywał się w sposób nadmiernie emocjonalny, np. „piszczał", „wrzeszczał" lub „skandował". Zwracano uwagę na jego „opryskliwe" zachowanie w czasie poprzedzającym debaty kandydatów. Jednocześnie unikał spontanicznych interakcji z uczestnikami wieców, a gdy wchodził w nie z dziennikarzami, był wyjątkowo nerwowy, zaczepny, kpił z zadających pytania (np. słowa „żeby pana zmylić" na pytanie dziennikarza telewizji wPolsce24 o powody nieujawniania miejsc kolejnych spotkań). Wielokrotnie było widać, że Trzaskowski nie radzi sobie z presją, „strzela focha" w odpowiedzi na niewygodne pytania.

Wprawdzie kampania prezydencka to dla każdego kandydata okres wzmożonej presji, ale to nie jest wytłumaczenie bardzo nietypowych zachowań. Nawet sprzyjający Trzaskowskiemu „Newsweek" sugerował, że z prezentowaną przez kandydata energią i formą przekazu coś bywa nie tak. To jest właśnie ten „nowy Trzaskowski".

NIETYPOWE ZACHOWANIA

W przeszłości Rafałowi Trzaskowskiemu zarzucano korzystanie z substancji psychoaktywnych. Takie oskarżenia wypowiadał np. Michał Dzięba, były działacz Platformy Obywatelskiej, asystent ministra skarbu Aleksandra Grada. W 2018 r. publicznie twierdził, że Trzaskowski zażywał kokainę w okresie pracy w Parlamencie Europejskim (2004–2007). W wywiadzie dla Telewizji Republika powiedział, że wspólnie z Trzaskowskim sporadycznie zażywał narkotyki, podkreślając, że dostęp do kokainy w Brukseli był łatwy, a takie zachowanie miało stanowić część tamtejszej „kultury". Trzaskowski stanowczo zaprzeczył zarzutom, określając je jako „stek bzdur" i „kłamstwa". Początkowo nie podjął kroków prawnych, wskazując na problemy zdrowotne Dzięby (m.in. załamanie psychiczne), ale ostatecznie w marcu 2018 r. złożył pozew przeciwko niemu. Sprawa zakończyła się ugodą w grudniu 2020 r.: Dzięba wycofał się z zarzutów i przeprosił Trzaskowskiego.

W trakcie kampanii prezydenckiej 2025 r. temat rzekomego zażywania substancji psychoaktywnych powrócił, głównie za sprawą mediów społecznościowych. Na platformie X pojawiły się wpisy sugerujące, że Trzaskowski jest „pobudzony" lub „nafaszerowany chemią". Miałoby o tym świadczyć „dziwne" zachowanie podczas wieców, a szczególnie „mętny wzrok". W kwietniu 2025 r. po wiecu w Białej Podlaskiej Justyna Wróblewska, dziennikarka telewizji wPolsce24, zapytała Trzaskowskiego, czy poddałby się testowi na obecność narkotyków. Ten nie odpowiedział, a towarzyszące mu osoby starały się zagłuszy pytanie.

Żaden szanujący się lekarz nie diagnozuje „nietypowych" zachowań na odległość, szczególnie gdy dotyczy to polityków, ale można uzyskać ogólne wskazówki, co uznać za zachowania nietypowe. Gdyby w takich kategoriach opisywać to, co w ostatnich miesiącach publicznie demonstrował Rafał Trzaskowski, dostrzegalne i powtarzalne są wahania nastroju: od euforii do przygnębienia. W wersji euforycznej zauważalna jest nadmiarowa energia, ekscytacja, nadaktywność, duża pewność siebie. Do tego stopnia, że kandydat KO budował taką narrację, iż jest w stanie rozwiązać problemy Polski i świata. Z kolei podczas spadku nastroju i energii pojawiało się przekonanie o prześladowaniu, oczernianiu, śledzeniu. Trudno uznać za typowe epizody nadmiernego poczucia radości (wesołkowatość, nadpobudliwość ruchowa), a wręcz szczęścia, zupełnie nieprzystające do sytuacji. Podobnie jak coś, co można nazwać nastrojem ekspansywnym, kiedy widoczna jest skłonność do dominacji. A gdy są trudności w narzuceniu własnej woli, pojawia się frustracja oraz coś, co nazywa się „nastrojem gniewliwym". Polega to na agresji słownej, przyspieszeniu mowy, chaosie i wielości podejmowanych wątków, niereagowaniu na próby przerwania wypowiedzi. W stanie euforii często występuje też poczucie wyostrzenia zmysłów (stąd np. efekt „dzikich oczu") dające odczucie bardzo intensywnego doświadczania wrażeń zmysłowych. Mamy także do czynienia z czymś, co można nazwać przyśpieszeniem myśli, co nie sprzyja logiczności i spójności przekazu.

TAŃCZĄCY Z SOROSAMI

Niestabilność Rafała Trzaskowskiego nie jest tylko jego problemem, lecz stała się niejako problemem państwowym. Polityk tak niestabilny pozostaje nieprzewidywalny, a jeśli piastuje wysokie funkcje państwowe – zwyczajnie niebezpieczny. W stanie euforii może podejmować niekontrolowane działania, także takie, które są niezgodne z wcześniej demonstrowanymi oraz wyznawanym systemem wartości. To oznacza, że jest się nieprzewidywalnym, a w polityce najczęściej nie ma odwrotu, czyli decyzji podjętych w stanie euforii czy zobowiązań nie można cofnąć. Z tego powodu nie wiadomo, jak np. Rafał Trzaskowski zachowałby się w sytuacjach krytycznych, np. gróźb czy agresji ze strony Rosji. Nie wiadomo, czy w ogóle byłby w stanie kierować tym obszarem, za który formalnie by odpowiadał. Nie wiadomo, czy w krytycznej sytuacji nie odizolowałby się, przestając robić cokolwiek sensownego i odpowiedniego do zagrożeń. W takich okolicznościach może dochodzić do podejmowania różnego rodzaju zobowiązań, także bardzo ryzykownych, których nie jest się w stanie zrealizować. Głównie dlatego, że ma się nadmierne poczucie własnej wartości, nieadekwatnie lub nadmiernie zawyżoną samoocenę, zbyt optymistycznie ocenia się teraźniejszość i najbliższą przyszłość. Mogą się nawet pojawić tzw. objawy wytwórcze, np. urojenia wielkościowe, rażąco niezgodne z rzeczywistością, głębokie i niepoddające się korekcji poczucie własnej wyjątkowości, wszechmocy, bycia bardzo ważną osobą czy przekonanie o wysokiej pozycji społecznej, posłannictwie, misji. W zderzeniu takich stanów z rzeczywistością pojawia się drażliwość czy wspomniany już „nastrój gniewliwy". Ma to też swoje fizjologiczne skutki, gdyż jeśli trwa dłużej, może dojść do spadku masy ciała, odwodnienia, wyczerpania organizmu.

Osoby takie jak Rafał Trzaskowski często są akceptowane przez otoczenie, gdyż wydają się atrakcyjne towarzysko: można liczyć, że zorganizują jakieś imprezy, eventy, a przy tym bagatelizują trudności, zarażają optymizmem. Tak właśnie Trzaskowski przedstawia się w książce „Rafał" – jako osoba atrakcyjna towarzysko, i to w bardzo różnych środowiskach. Np. w środowisku filmowym, gdy jako dzieciak „wpadł w oko twórcom filmu „Akademia pana Kleksa" i miał zagrać główną rolę (Adasia Niezgódki), ale mu się nie chciało. Chciało mu się za to być częścią legendy Piwnicy pod Baranami. Wprawdzie miał dopiero 16 lat, ale Piotr Skrzynecki już „zapraszał go na wódkę albo rozmawiał na serio o Polsce". Kłania się „głębokie i niepoddające się korekcji poczucie własnej wyjątkowości, wszechmocy".

Problemem jest to, że polityk tak niestabilny jak Rafał Trzaskowski mimo poczucia wielkości i wyjątkowości całkiem łatwo może być odpowiednio stymulowany, np. przez osoby z jego otoczenia „przekręcone" przez obce służby albo choćby przez grupy interesów. Tu warto wskazać na powiązania Trzaskowskiego z Georgem i Alexandrem Sorosami. W 1995 r. otrzymał on stypendium Fundacji Sorosa na Uniwersytecie Oksfordzkim, a jako prezydent Warszawy spotykał się z Alexandrem Sorosem, przewodniczącym Fundacji Społeczeństwa Otwartego. Niektórzy wprost nazywają Trzaskowskiego „wychowankiem Sorosa". Ktoś taki byłby najgorszym prezydentem dla Polski, gdyby został wybrany.

Fot. Filip Naumienko/REPORTER

eprasa.pl 25fefa0eda

Koncesja na blokady

Rafał Trzaskowski, który kokietował fanatyków swoimi dramatycznymi okrzykami, że „planeta płonie", nie podejmie żadnych kroków, które mogłyby poważnie zaszkodzić jakiejkolwiek organizacji „walczącej o klimat". Zapewne z tego rodzaju ludźmi łączy go wielu wspólnych znajomych. Być może jest wśród nich nawet Alex Soros

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Pierwszy dzień tegorocznych matur w Warszawie był bardzo nerwowy. Nie tylko ze względu na stres, który zdarza się każdego roku, lecz także z powodu ryzyka, że wielu maturzystów nie dojedzie na egzamin. Tego dnia swoją akcję protestacyjną zapowiedziało bowiem Ostatnie Pokolenie, grupa aktywistów ekologicznych jakoby walczących ze zmianami klimatu.

Jak zapowiedzieli, tak zrobili i zablokowali po kolei trzy mosty w Warszawie. Wykazali się przy tym wielką łaskawością wobec maturzystów, bo rozpoczęli swoje protesty tuż po rozpoczęciu egzaminów. Byli za to znacznie mniej wyrozumiali dla setek kierowców, którzy utknęli w gigantycznych korkach.

W normalnych okolicznościach powinna interweniować policja, dla której zdjęcie z jezdni niewielkiej grupki ludzi i udrożnienie ruchu nie jest przecież żadnym problemem. Jednak policjanci stali bezczynnie, pilnując, aby któryś z kierowców nie wziął sprawy we własne ręce i nie zechciał samodzielnie usuwać demonstrantów. Dopiero po pewnym czasie mundurowi przystąpili do odklejania aktywistów z jezdni. Odklejania w sensie dosłownym, bo niektórzy z nich – jak już bywało wcześniej – przylepili się klejem do asfaltu.

To jednak nie koniec kłopotów. „W maju szykują się naprawdę długie blokady" – zapowiedziało Ostatnie Pokolenie.

eprasa.pl 25fefa0eda

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Za każdym razem, gdy dochodzi do blokady dróg przez Ostatnie Pokolenie, pojawia się pytanie: dlaczego władze Warszawy są bierne? Każdy taki protest niesie przecież ze sobą spore ryzyko tragedii. I nie chodzi wyłącznie o to, że komuś puszczą nerwy i pobije demonstrantów lub ich – nie daj Boże – rozjedzie, ale o to, że w korku utknie karetka z poważnie chorym pacjentem, któremu z powodu blokady nie uda się udzielić pomocy. To nie są tylko hipotezy, w Austrii był już taki przypadek.

Fot. Dawid Wolski/East News

Stołeczny ratusz przymyka jednak oko na to wszystko. Zupełnie inaczej niż w przypadku Marszu Niepodległości czy uzasadnionych protestów rolniczych lub związkowych, gdy miasto wykazuje się dla odmiany nadmierną „troską o bezpieczeństwo", co kończy się niekiedy pałowaniem demonstrantów bez opamiętania. Delikatność Rafała Trzaskowskiego wobec aktywistów ekologicznych nie jest więc objawem bezradności, ale całkowicie świadomą decyzją wynikającą zapewne z pobudek ideologicznych. Po prostu „swoim" należy się zrozumienie i ochrona, nawet jeśli trochę przesadzają. A że plebs może przy okazji ucierpieć – to już nie ma większego znaczenia. Trzaskowski tak jak i cała Platforma nie zajmuje się przecież pospólstwem.

> Delikatność Trzaskowskiego wobec aktywistów nie jest objawem bezradności, ale świadomą decyzją. Po prostu „swoim" należy się zrozumienie, nawet jeśli trochę przesadzają

Popatrzmy na to przez chwilę z perspektywy tegoż „plebsu". Wyobraźmy sobie, że grupa zwykłych obywateli z jakiegoś powodu wchodzi na środek ulicy i zaczyna tamować ruch. Zapewne skończyłoby się to bijatyką z kierowcami i natychmiastową interwencją policji, po której blokujący jezdnię wylądowaliby w areszcie ze sprawami w sądzie i wysokimi grzywnami. W przypadku Ostatniego Pokolenia, które przecież działa dokładnie według opisanego wyżej schematu, nic takiego się nie dzieje, jeśli nie liczyć kilku symbolicznych wyroków, które zapadły m.in. po blokadzie warszawskiego mostu Poniatowskiego w kwietniu 2024 r. Skutek tej pobłażliwości jest taki, że aktywiści mogą bez uprzedzenia zatrzymać ruch, przyklejać się do asfaltu, a policja będzie ich jeszcze *de facto* chronić. To kolejny dowód na to, że w Polsce Platformy zawsze istnieją równi i równiejsi wobec prawa.

Taka polityka rujnuje poczucie elementarnej sprawiedliwości i autorytet państwa wśród obywateli, co akurat w czasach Tuska, który od półtora roku stosuje prawo „tak, jak je rozumie", nie powinno nikogo dziwić. Skutki tej polityki będą jednak opłakane. Zaufanie do instytucji publicznych, które chronią wyłącznie „swoich", za to potrafią być bezwzględne wobec całej reszty, będzie coraz niższe. A przeciętny Polak w konfrontacji z władzą na wszelki wypadek położy uszy po sobie.

Efekty indoktrynacji są widoczne już dziś. Mało kogo cieszy widok imigrantów wpychanych do Polski z Niemiec, łapiemy się za portfele, gdy w ramach „transformacji klimatycznej" przychodzi nam płacić wyższe rachunki za energię i żywność, a już wkrótce zapłacimy więcej za mieszkania. I co? I nic.

Tak samo jest z blokadami dróg przez Ostatnie Pokolenie. Kierowcy nawrzucają soczystych przekleństw pod adresem aktywistów, inni złapią się za głowę, dostrzegając absurd tej formy protestu, jeszcze inni postukają się w czoło, słysząc o konieczności walki o klimat, ale zaraz potem każdy rozłoży bezradnie ręce. Bo przecież nikt go nie wesprze, nikt nie ochroni. A na pewno nie zrobi tego jego własne państwo, które po raz kolejny zawiodło swoich obywateli. To jest właśnie Polska Platformy w pigułce.

POD PŁASZCZYKIEM EKOLOGII

Inną cechą, która zawsze charakteryzuje rządy Tuska, jest terroryzowanie większości przez mniejszość. Widzimy to każdego dnia w codziennej polityce, ale widać to również na tym szczególnym przykładzie, którym jest działalność aktywistów ekologicznych.

Ich siła nie wynika z jakiegokolwiek mandatu społecznego, powszechnego poparcia ich postulatów, lecz z politycznych i ideologicznych afiliacji. Są po prostu po „właściwej" stronie i obficie korzystają z przywilejów, które daje im kolaboracja z liberalną oligarchią. Niekiedy są to zwykli konformiści, którzy zawsze ustawiają się z wiatrem.

eprasa.pl 25fefa0eda

Jeśli chodzi o Ostatnie Pokolenie (niem. Letzte Generation), jest to organizacja wywodząca się z Niemiec. Odkąd powstała w 2021 r., zasłynęła już – w negatywnym tego słowa znaczeniu – setkami różnych akcji, z których większość stanowiły blokady drogowe. Aktywiści Ostatniego Pokolenia siali również spustoszenie na imprezach sportowych, lotniskach oraz w muzeach i galeriach sztuki. W listopadzie 2023 r. próbowali przerwać zawody o puchar świata w narciarstwie alpejskim rozgrywane w austriackim Gurgl. Blokowali tam linię mety i bazgrali sprayem po lodzie. Rok wcześniej wtargnęli do wiedeńskiego Muzeum Leopoldów, oblewając farbą obraz Gustava Klimta „Śmierć i życie". Z kolei w Warszawie w 2024 r. dwie aktywistki spaskudziły farbą zabytkowy pomnik Syrenki przy Wisłostradzie, a wcześniej dwie inne wdarły się do budynku Filharmonii Narodowej, przerywając koncert. Podobne akcje, tyle że na większą skalę, organizowano również w Niemczech. Nic dziwnego, że tego rodzaju „walka o planetę" nie porwała za sobą tłumów, a ekologiczni fanatycy wzbudzali powszechną irytację.

W maju 2024 r., gdy Ostatnie Pokolenie chciało doprowadzić do wielkiego chaosu komunikacyjnego w Austrii i równocześnie zablokować kilka węzłów drogowych, tamtejsi kierowcy nie wytrzymali nerwowo. Jednak rząd w Wiedniu twardo stanął po stronie zwykłych obywateli i wykończył aktywistów finansowo, nakładając na nich tak wysokie grzywny, że ostatecznie zaprzestali działalności w Austrii. W Niemczech, gdzie Ostatnie Pokolenie jest bardziej rozbudowane, uderzono inaczej, stawiając pięciu aktywistom zarzut utworzenia organizacji przestępczej.

Oficjalnie Ostatnie Pokolenie utrzymuje się ze zrzutek i darowizn. Co ciekawe, w Niemczech już w pierwszym roku swojej działalności organizacja otrzymała tą drogą blisko 2 mln euro. Oczywiście kto chce, ten niech wierzy, że na ekologicznych fanatyków płacą kilkuletnie dziewczynki, które kochają ptaszki i kwiatki. Należy jednak przypuszczać, a przynajmniej brać pod uwagę taką ewentualność, że organizacja, której członkowie zajmują się dezorganizacją życia w kilku krajach Europy, może być atrakcyjnym narzędziem również dla innych sponsorów.

Rzecz jasna młodzi ludzie uczestniczący w blokadach nie muszą być tego świadomi. Niektórzy dali się sfanatyzować manipulatorom, inni robią to być może dla draki, dla jeszcze innych jest to – z braku lepszych pomysłów na życie – dość kaleki sposób na funkcjonowanie w grupie lub, czego też nie da się wykluczyć, na zarabianie pieniędzy.

Bardziej niepokojące jest co innego – że polskie służby państwowe sprawiają wrażenie niezainteresowanych działalnością aktywistów oraz ich ewentualnymi koneksjami. Zamiast tego wolą ścigać „faszystów" i pisowców. Nie jest to bynajmniej objaw głupoty. To decyzja polityczna obecnej władzy.

> Za zasłoną walki o klimat unijna oligarchia betonuje swoją władzę, a bogaci rentierzy przetrzepują nam portfele. A grupa dzieciaków blokuje mosty, myśląc, że walczy o słuszną sprawę

MIŁOSNA GRA REŻIMU

Maturalnej blokadzie Ostatniego Pokolenia w Warszawie towarzyszyły postulaty walki z wykluczeniem transportowym. Aktywiści domagali się przeniesienia środków zaplanowanych na rozbudowę autostrad i dróg ekspresowych na transport publiczny oraz wprowadzenia biletu miesięcznego za 50 zł na komunikację regionalną i lokalną. Żądali też od Trzaskowskiego, aby ten zorganizował im spotkanie z Donaldem Tuskiem.

Gdy przyjrzymy się działalności Ostatniego Pokolenia z dystansu, łatwiej zauważymy, że w istocie – zapewne wbrew intencjom młodych, niespecjalnie wyrafinowanych uczestników blokad – ta organizacja robi wszystko, aby skompromitować swoje własne postulaty. Bo nawet jeśli uznamy walkę z wykluczeniem komunikacyjnym za słuszny postulat, to forma, w jakiej broni go Ostatnie Pokolenie, jest absolutnie nie do przyjęcia.

Nie można wykluczyć, że jest to na rękę obecnej władzy, która przecież nie ma zamiaru inwestować w transport publiczny i w ogóle całą prowincję ma w głębokim poważaniu. Przy czym nie twierdzę tutaj, że mamy do czynienia ze zmową aktywistów z reżimem Tuska. Bardziej prawdopodobny wariant jest taki, że są oni po prostu wygodnym narzędziem w ręku tej władzy.

Inna rzecz, że obecny reżim od dawna prowadzi miłosną grę z ekologami. Aktywiści różnej maści, najczęściej powiązani z zagranicznymi, zwykle niemieckimi, stowarzyszeniami, zawsze wspierali Platformę i Tuska. Na tym tle nie powinna nas chyba dziwić lista priorytetów organizacji ekologicznych działających w Polsce, które za czasów PiS protestowały głównie przeciwko sztandarowym programom ówczesnego rządu. Nie podobał im się np. pomysł regulacji rzek, gwałtownie zwalczały przekop Mierzei Wiślanej, agitowały przeciwko energetyce jądrowej i broniły korników w Puszczy Białowieskiej. Milczały za to jak zaklęte, gdy doszło do awarii warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka, a po objęciu władzy przez obecny reżim zapomniały o losie śniętych ryb w Odrze. Nie słychać też było protestów przeciwko zaplanowanej przez rząd Tuska walce z bobrami, które jakoby miały być sprawcami ostatniej powodzi na Dolnym Śląsku.

Nic więc dziwnego, że Rafał Trzaskowski, który kokietował fanatyków swoimi dramatycznymi okrzykami, że „planeta płonie", nie podejmie teraz żadnych kroków, które mogłyby poważnie zaszkodzić Ostatniemu Pokoleniu czy jakiejkolwiek innej organizacji „walczącej o klimat". Zapewne z tego rodzaju ludźmi łączy go – tak jak na Facebooku – wielu wspólnych znajomych. Być może jest wśród nich nawet Alex Soros.

Za „walką o klimat" stoją bowiem wielkie pieniądze. To tylko zasłona dymna, za którą unijna oligarchia betonuje swoją władzę, a bogaci rentierzy bezkarnie przetrzepują nasze portfele. A grupa ogłupionych dzieciaków blokuje mosty i utrudnia życie wszystkim dookoła, myśląc, że walczy o słuszną sprawę. Jeśli zawczasu nie zmądrzeją, to naprawdę staną się ostatnim pokoleniem.

eprasa.pl 25fefa0eda

Nie pozwólcie, by w Polsce stało się to, co we Francji!

Fot. godongphoto/Shutterstock.com

Polska to ostatni bastion bezpieczeństwa w Europie, a może nawet na świecie. Wszyscy, którzy twierdzą, że przymusowa relokacja migrantów obcych kulturowo to żaden problem, nie wiedzą, co mówią. Nie rozumieją, z czym mają do czynienia. To jest bomba z opóźnionym zapłonem – mówi mi Jaqueline, która z Francji uciekła do Polski

DOROTA ŁOSIEWICZ

Spotykam się z Jaqueline (pełne dane bohaterki materiału do wiadomości redakcji) w jej warszawskim mieszkaniu. Kobieta urodziła się na północy Francji. Jej rodzice są Polakami.

– Wychowywałam się otoczona społecznością muzułmańską. To nie była jednak specyfika mojego miejsca zamieszkania. Ta społeczność jest po prostu bardzo liczna w całej Francji. Jako dziecko chłonęłam język arabski, bawiłam się na podwórku z muzułmańskimi dziećmi, nawet brałam udział w ich modlitwach – opowiada Jaqueline.

eprasa.pl 25fefa0eda

Kluczowym elementem życia muzułmanina jest obowiązkowa rytualna modlitwa wykonywana pięciokrotnie w ciągu doby: przed wschodem słońca, w południe, po południu, po zachodzie słońca i w nocy. Modlitwa ta ma stanowić bezpośredni łącznik pomiędzy osobą modlącą się i Bogiem.

– Gdy wracałam ze szkoły czy z podwórka, mówiłam do mamy po arabsku. Poznałam tę kulturę od środka. Bardzo dobrze. Mimo to, rosnąc, czułam zagrożenie. Mojej przyjaciółce muzułmanie odcięli ucho, bo była biała. Wokół były narkotyki, przestępczość. Gdy dorastałam, myślałam, że ta wszechobecna atmosfera strachu jest normalna. Teraz wiem, że to nie jest normalne – opowiada kobieta.

Jaqueline zaczęła studia w Belgii, ale ostatecznie ze względu na poziom nauki zdecydowała się na studia w stolicy Francji. Na Uniwersytecie Paryskim studiowała nauki ścisłe. Była też na stażu naukowym w Szkocji. Dużo podróżowała też po całym świecie: USA, Azja i Australia. Z ciekawości innych kultur i świata.

– Całe życie obracałam się w wielokulturowym środowisku. To mnie fascynowało. Fascynowali mnie inni ludzie, ich zwyczaje. Wcześniej powiedziałam, że kulturę muzułmańską dobrze poznałam od środka. To ma wielkie znaczenie, bo pozwala naprawdę rozumieć motywacje, którymi kierują się ci ludzie. Zrozumiałam, że jest duża rozbieżność pomiędzy tym, co publicznie mówią, a tym, co naprawdę myślą. To, co mówili przy mnie między sobą, różniło się od tego, co pokazywali na zewnątrz. Zobaczyłam, że oni naprawdę nienawidzą białych i mają głębokie przekonanie, że muszą im narzucić swoją kulturę i wartości. Do tego np. Algierczycy i Marokańczycy nosili w sobie jeszcze zadrę związaną z kolonializmem – opowiada moja bohaterka.

Po studiach Jaqueline podjęła pracę w dyplomacji. Głównie z powodu ciągłego zainteresowania innymi ludźmi i kulturami.

– Proszę sobie wyobrazić, że gdy jechaliśmy windą, ludzie mówili w dziesięciu językach. Uwielbiałam to. Choć było to o tyle trudne, że w takim gronie trzeba bardzo uważać, by nie wykonać jakiegoś gestu, który mógłby urazić kogoś z innej kultury. Wyrobiłam w sobie taką czujność kulturową – opowiada kobieta.

NA POCZĄTKU BYLI BARDZO MILI

Oczywiście także w pracy Jaqueline wciąż obracała się w muzułmańskim środowisku.

– Szanowano mnie, ponieważ potrafiłam stworzyć dystans dzięki głębokiej znajomości ich kultury. Ale widziałam, jak źle są traktowane przez muzułmanów inne białe kobiety, które z nami pracowały. One były po prostu traktowane jak rzeczy. Kiedyś jedna dyplomatka muzułmanka, która wyszła za Francuza, wytłumaczyła mi, że dzieje się tak dlatego, że w kulturze muzułmańskiej chłopcy od najmłodszych lat są uczeni, że dziewczynki, a potem kobiety, mają im służyć. Pewnego dnia, będąc w pracy, w bibliotece wzięłam do ręki książkę. Zobaczyłam, że to Koran. Otworzyłam losowo i przeczytałam wezwanie do zabijania niewiernych. To mną wstrząsnęło – opowiada Jaqueline.

Koran zawiera co najmniej 109 wersów wzywających muzułmanów do prowadzenia wojny z niewiernymi w celu narzucenia światu rządów bazujących na zasadach islamu. Oto jeden z takich fragmentów: „I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili – Al Fitnah [niewiara] jest gorsza niż zabicie. [...] Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! – Taka jest odpłata niewiernym! Ale jeśli oni się powstrzymają... – zaprawdę, Allah jest przebaczający, litościwy! I zwalczajcie ich, aż ustanie Fitnah i religia będzie należeć do Allaha. A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości, oprócz wrogości przeciw niesprawiedliwym!" (Sura 2, 191–193).

– Nagminnie widywałam muzułmanki w tradycyjnych strojach. Nigdy mnie to nie dziwiło, wiedziałam, że kultura nakazuje ich noszenie. Pamiętam jednak, gdy kiedyś w sklepie obserwowałam kobietę w burce, która próbowała odczytać składniki jakiegoś produktu zza tej siatki. Było jej bardzo trudno odcyfrować małe literki z powodu przesłoniętej twarzy. To mnie wtedy uderzyło. Ale to jej wybór, jej kultura, jej prawo. Dotarło do mnie, że na ulicach częściej widuję kobiety w burkach niż w europejskich strojach. Zrozumiałam, że muzułmanie chcą nam narzucić swoje prawo, swoje zasady. Oni chcą nam narzucić, jak mamy żyć. Chcą, żeby prawo szariatu obowiązywało wszędzie. Do tego dążą we Francji. Mówię o Francji, bo tam żyłam, ale tak jest wszędzie, gdzie istnieje duża społeczność muzułmańska – odpowiada kobieta.

> Pierwotnie w każdym francuskim miasteczku znajdowało się niewielu muzułmanów. Na początku byli bardzo mili, wręcz zbyt mili. Potem weszło w życie prawo, które zabraniało rozdzielania rodzin. Zaczęli więc sprowadzać ciotki, wujków, kuzynów. Każdy miał po pięć żon, a każda urodziła minimum pięcioro dzieci

Jaqueline przywołuje z pamięci obrazy incydentów, których doświadczyła ze strony muzułmanów. – A to ktoś szarpał mnie za sukienkę, a to ktoś wyzwał na ulicy od najgorszych z powodu stroju. Tej agresji w życiu codziennym było coraz więcej i wraz z kolejnymi falami migracji niebezpieczeństwo rosło.

eprasa.pl 25fefa0eda

Fot. Walencienne/Shutterstock.com

Przejmowane były kolejne części miast. Pierwotnie w każdym francuskim miasteczku znajdowało się niewielu muzułmanów. Na początku byli bardzo mili, wręcz zbyt mili. Potem weszło w życie nowe prawo, które zabraniało rozdzielania rodzin. Zaczęli więc sprowadzać ciotki, wujków, kuzynów i kuzynki. Każdy miał po pięć żon, a każda urodziła minimum pięcioro dzieci. Wszyscy byli na francuskim socjalu. Z czasem w tych miasteczkach zrobiło się ich więcej niż samych Francuzów. Wtedy zaczęło się wyraźne poczucie braku bezpieczeństwa. To znaczy: kiedy było ich mało, byli uprzejmi. Ale gdy społeczność się rozrastała, zaczynali narzucać swoją kulturę i sposób życia. Teraz Francuzi nie mają nic do powiedzenia ze strachu. Doszło do tego, że w niektóre miejsca po prostu strach było chodzić. Policja również nie interweniuje ze strachu. W Paryżu w metrze zaczęłam się rozglądać w poczuciu zagrożenia. Pamiętam moment, jak do wagonu wsiadło dwóch mężczyzn z długimi brodami, a wszyscy pasażerowie aż podskoczyli ze strachu. Zrozumiałam, że to jest strach kolektywny – relacjonuje kobieta.

> Wyszłam ze sklepu. Był ciepły dzień. Miałam na sobie spodnie i koszulkę z krótkim rękawem. I wtedy rzucił się na mnie muzułmanin z nożem. Przyłożył mi ten nóż do gardła, krzyczał, że jestem kur...ą, że nie przestrzegam szariatu

NÓŻ DO GARDŁA

W końcu Jaqueline przeżyła prawdziwy dramat.

– Wyszłam ze sklepu. Był ciepły dzień. Miałam na sobie spodnie i koszulkę z krótkim rękawem. I wtedy rzucił się na mnie muzułmanin z nożem. Przyłożył mi ten nóż do gardła, wrzeszczał, że jestem kur...ą, że nie przestrzegam szariatu, krzyczał: „Allahu Akbar". Miałam w kieszeni telefon – małą nokię. Zaczęłam tak poruszać mięśniami nogi, żeby ten telefon wypadł z kieszeni. Tak się stało. Telefon upadł na ziemię. Dla napastnika to była chwila nieuwagi. Zaczęłam wtedy uciekać, jakby mnie goniło stado wilków. Przebiegłam dwie stacje metra najszybciej, jak umiałam. Tyle dzieliło mnie od domu. Wpadłam do mieszkania, zamknęłam się i nie wyszłam przez 15 dni. Tak bardzo się bałam. Czułam się sterroryzowana – opowiada Jaqueline.

Po tym czasie Jaqueline wraz ze swoją przyjaciółką, polską dziennikarką, poszły do Stowarzyszenia Janusza Korczaka w Paryżu. Ta postać zawsze ją fascynowała. Jaqueline zawsze chciała zajrzeć do Stowarzyszenia, ale nie było okazji. Pojawiła się akurat wtedy. Francuzka dostała wtedy propozycję napisania artykułu z okazji Międzynarodowego Festiwalu Teatru dla Dzieci i Młodzieży im. Janusza Korczaka. Z tego powodu przyjechała do Warszawy. To był 2014 r.

– W Warszawie przeżyłam prawdziwy szok. Zobaczyłam, że kobiety ubierają się, jak chcą i nikt ich nie zaczepia z tego powodu, nie ubliża im. Poczułam lekkość i bezpieczeństwo, wolność, radość. Chyba pierwszy raz w życiu poczułam, że oddycham pełną piersią. To było tak inne od atmosfery ciągłego strachu, w której żyłam we Francji. Postanowiłam zostać w Polsce – relacjonuje kobieta.

Do Francji przyjechała jeszcze na chwilę po swoje rzeczy. W Polsce Jaqueline znalazła pracę. Rok po przeprowadzce pojawiła się możliwość wyjazdu na konferencję polityczno-naukową, która odbywała się na Uniwersytecie Paryskim. Jaqueline chętnie skorzystała z okazji. To był listopad 2015 r. Konferencja trwała trzy dni. Na ten czas kobieta zatrzymała się u mamy.

– Konferencja była bardzo udana, byłam zadowolona z jej wyniku. Miałam bardzo dobry humor. Wsiadłam do podmiejskiego pociągu, żeby wrócić do mamy. Potem przesiadłam się do autobusu. Usiadłam przy oknie. To był ciepły, przyjemny dzień jak na listopad.

eprasa.pl 25fefa0eda

W kawiarnianych ogródkach siedziało mnóstwo ludzi. Gdy przejeżdżaliśmy obok katedry Notre Dame, przemknęła mi przez głowę taka myśl: tego by jeszcze brakowało, żeby doszło do zamachu. Potem pomyślałam, że wysiądę i nim wrócę do mamy, odwiedzę jeszcze przyjaciół w Bataclanie. To sala koncertowo-teatralna i kawiarnia. Kiedyś często organizowałam tam koncerty muzyki bałkańskiej. Chciałam jeszcze odwiedzić sklep, który był blisko i który bardzo lubiłam. Wcisnęłam przycisk na żądanie, drzwi autobusu się otworzyły, a ja nie mogłam wysiąść. Moje nogi były jak z ołowiu. Po prostu nie mogłam się poruszyć. Dziś myślę, że to był cud. Drzwi autobusu się zamknęły i pojechał dalej. Pomyślałam: „No trudno, jadę do mamy" – opowiada Jaqueline.

Gdy wreszcie dotarła do celu, była tak zmęczona, że po prostu postanowiła się położyć spać. Było ok. godz. 20.00. Tego dnia, czyli 13 listopada 2015 r., w Paryżu i Saint-Denis doszło do serii ataków terrorystycznych. Zginęło wówczas 130 osób (w tym 7 z 8 sprawców). Ataki rozpoczęły się o godz. 21.15. W krótkim odstępie czasu doszło do trzech eksplozji i sześciu strzelanin. Eksplozje miały miejsce przy Stade de France w północnej części Saint-Denis. Najkrwawszy atak miał miejsce w teatrze Bataclan. Zamachowcy wzięli zakładników i starli się z policją. Ta przypuściła szturm teatru, który zakończył się 14 listopada 2015 r. o godz. 0.58 Zabito siedmiu sprawców. Zginęło 130 osób, w tym 87 w Bataclanie. Ponad 300 zostało rannych, z czego 99 osób było w stanie ciężkim.

W odpowiedzi na ataki ówczesny prezydent Francji François Hollande ogłosił w orędziu telewizyjnym stan wyjątkowy oraz tymczasowe zamknięcie granic Francji. 14 listopada Hollande powiedział też, że napaści zostały zorganizowane poza granicami państwa przez tzw. Państwo Islamskie wspierane wewnątrz kraju. Były to najkrwawsze ataki we Francji od czasu II wojny światowej i doprowadziły do pierwszego stanu wyjątkowego na terenie całego kraju od czasu wojny algierskiej w 1961 r. Wprowadzono też pierwszą godzinę policyjną od 1944 r., nakazując paryżanom pozostanie w domach. Przed atakiem Francja była w stanie gotowości po zamachach w Paryżu ze stycznia 2015 r., gdy zginęło 17 osób. 14 listopada Państwo Islamskie potwierdziło swój udział w atakach. Prezydent Hollande nazwał je „aktem wojny".

NASZA ŚMIERĆ, ICH RADOŚĆ

– Kolejnego dnia Francja była w szoku. Ulice były puste jak podczas pandemii. Moja mama mieszkała wtedy w normalnej dzielnicy, w normalnym bloku. Wokół mieszkało wielu muzułmanów, ale nie radykalnych ekstremistów, tylko uważanych za „normalnych". Proszę sobie wyobrazić, że oni radośnie wyszli na ulice ubrani w te swoje stroje. Byli dumni z tego, co się stało. Jak mówiłam wcześniej, oni wszyscy myślą tak samo i chcą tego samego – dominacji nad naszą kulturą. Wkrótce potem wróciłam do Polski. Mieszkam tu już ponad 10 lat. Od tamtego czasu wydaje mi się, że Francja żyje w ciągłym lęku. Społeczeństwo się rozpada, zapanowała anomia. Ludzie wolą siedzieć przed telewizorami, niż gdzieś wyjść – wzdycha kobieta.

> Jeśli masowa migracja stanie się faktem, w Polsce skończy się bezpieczeństwo. Kolejne pokolenia wam nie wybaczą, jeśli do tego dopuścicie!

We francuskich szkołach wprowadzono specjalny program nauczania dzieci, jak powinny reagować w razie ataku terrorystycznego. Plan przewiduje m.in. wielokrotne przeprowadzanie ćwiczeń bezpieczeństwa w szkołach i specjalne szkolenia dostosowane do wieku uczniów. Dzieci mają być instruowane, jak się schować lub uciec w zależności od sytuacji i miejsca, w którym się znajdują. Młodzież w wieku 13–14 lat ma przechodzić m.in. podstawowy kurs udzielania pierwszej pomocy.

– Rozmawiałam niedawno z przyjaciółką z Francji. Ona ma dwójkę małych dzieci w wieku 5 i 9 lat. Skarżyła mi się, że nie śpią po nocach lub budzą się z krzykiem, a to z powodu szkoleń, które są obowiązkowe w szkołach. „Mówili, jak mamy się zachować, jak wejdzie pan z nożem" – relacjonowała jej córka. Dzieci mają traumę, są przerażone. Uczyły się, jak się chować pod stołem lub którędy uciekać. Co wyrośnie z dzieci chowanych w takim lęku? – pyta Jaqueline.

Bardzo ubolewa także nad tym, jak dziś wygląda Paryż i w ogóle Francja.

– To wspaniałe, piękne miasto. Sztuka i zabytki są na każdym kroku. Jednak dziś zamieniono je w śmietnisko. Boli mnie serce, jak pomyślę, co stało się z dziedzictwem Europy. Co nam po tych pięknych murach, skoro strach wyjść na ulicę? Podstawową potrzebą każdego człowieka jest bezpieczeństwo. Bez tego człowiek nie może się rozwijać. Nigdy nie byłam rasistką i nie przemawiają przeze mnie uprzedzenia rasowe. Możesz być do bólu tolerancyjny, ale oni nie są tolerancyjni. Oni chcą panować. Czy naprawdę chcecie tego w Polsce? Myślę, że ci wszyscy, którzy twierdzą, że przymusowa relokacja migrantów obcych kulturowo to żaden problem, nie wiedzą co mówią. Nie rozumieją, z czym mają do czynienia. Widziałam to na własne oczy i czułam na własnej skórze. To jest bomba z opóźnionym zapłonem, która musi wybuchnąć. Coś, co nie sprawdziło się nigdzie na świecie, nie sprawdzi się także w Polsce. Trzeba to zatrzymać. Proszę sobie wyobrazić, że zaprasza pani do domu gościa. On na początku jest grzeczny i miły, ale potem zaprasza swoją rodzinę. Oni wszyscy przyjeżdżają i żądają, żeby we własnym domu postępowała pani zgodnie z ich zasadami. I już nie czuje się pani jak u siebie. Tak będzie w Polsce. Polska jest ostatnim bastionem bezpieczeństwa w Europie, a może na świecie. Znam różnych Europejczyków, którzy uciekli ze swoich krajów do Polski. Jeśli masowa migracja stanie się faktem, skończy się bezpieczeństwo. Kolejne pokolenia wam nie wybaczą, jeśli do tego dopuścicie!

eprasa.pl 25fefa0eda

Papież, który dał nam wolność

PARTNER DODATKU INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Nie byłoby wolności bez „Solidarności" – powtarzamy często. Ale równie trudno wyobrazić też sobie polski Sierpień'80 bez świętego Jana Pawła II

Głos dzwonu Zygmunta na Wawelu sugerował, że wydarzyło się coś niezwykłego. I rzeczywiście – w dalekim Watykanie metropolita krakowski Karol Wojtyła został właśnie wybrany na papieża. Był wieczór 16 października 1978 r. Miliony Polaków czuło radość i dumę.

Powodów do zadowolenia nie miały tylko władze komunistyczne. „Nie byliśmy wolni od obaw" – przyznał później dyplomatycznie Stanisław Kania, ówczesny sekretarz KC PZPR, odpowiedzialny m.in. za politykę wobec Kościoła. „Radzę wam, nie przyjmujcie go, bo będziecie z tego mieli wielkie kłopoty" – miał wręcz przekonywać Edwarda Gierka, osobę numer jeden w hierarchii władz PRL, sowiecki przywódca Leonid Breżniew.

A jednak w czerwcu 1979 r. Janowi Pawłowi II dane było pierwszy raz w nowej roli przybyć do ojczyzny. Pracownicy reżimowej telewizji dwoili się i troili, by nie pokazywać wiwatujących tłumów. Te wysiłki były daremne. Papieża zobaczył na żywo co trzeci Polak. Nasi rodacy zdołali się policzyć i przekonali się, że to komuniści są w mniejszości. „My wtedy podnieśliśmy się z kolan" – wspominała legendarna Anna Walentynowicz, w tamtym czasie działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. „Pierwsza podróż Jana Pawła II do ojczystego kraju była wielkim triumfem Kościoła katolickiego. Niewątpliwie dodała ona sił i otuchy polskiej opozycji" – potwierdził po latach nawet Witalij Pawłow, ówczesny rezydent KGB przy MSW PRL.

Gdy na placu Zwycięstwa w Warszawie papież wznosił błaganie o to, by Duch Święty odnowił oblicze „tej ziemi", chyba jednak nikt nie przypuszczał, jak szybko to wołanie zostanie wysłuchane. Tymczasem w sierpniu 1980 r. na Wybrzeżu i w całej Polsce wybuchły strajki, które dały początek pokojowej rewolucji „Solidarności". Władza była w odwrocie, ale raz jeszcze pokazała siłę. Gdy w grudniu 1981 r. Wojciech Jaruzelski wyprowadził na ulice czołgi, mogło się wydawać, że polski sen o wolności nie ziści się przez długie lata.

Tym nastrojom zwątpienia – zrozumiałym w nocy stanu wojennego – przeciwstawił się Jan Paweł II, gdy ponownie odwiedził Polskę w czerwcu 1983 r. Na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie mówił o wezwaniu, „ażeby nie poddawać się klęsce, ale szukać dróg do zwycięstwa". Na spotkaniu w Belwederze apelował zaś do rządzących o odnowę „według zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980". Znamienne, że stojącemu obok Jaruzelskiemu drżały łydki. „Druga wizyta Jana Pawła II była [...] przekonywającą demonstracją siły Kościoła katolickiego i jego wpływów w polskim narodzie" – musiał znów przyznać Pawłow.

Nie mniej ważna okazała się trzecia papieska pielgrzymka do Polski w czerwcu 1987 r. Jan Paweł II mógł wreszcie odwiedzić Gdańsk – kolebkę „Solidarności". Ożywił mit tego wielkiego ruchu społecznego i na nowo przebudził ducha narodu. Wiosną i latem 1988 r. przez Polskę przeszły dwie duże fale strajków. Komuniści poczuli się zmuszeni do ustępstw. Efektem były ponowna legalizacja „Solidarności" i wybory czerwcowe 1989 r., sromotnie przegrane przez PZPR. Krok po kroku Polska odzyskała wolność. Wkrótce rozpadł się Związek Sowiecki, w czym Jan Paweł II – upominający się o wolność sumienia i prawa człowieka na Wschodzie – także miał udział.

Ile dywizji ma papież? – pytał kiedyś lekceważąco sowiecki dyktator Józef Stalin. Jan Paweł II bez choćby jednej dywizji rzucił na kolana „imperium zła" wraz z jego satelitami.

dr hab. Karol Polejowski
zastępca prezesa
Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl 25fefa0eda

Papież wolności i jedności Europy

Gdy wstępował na Stolicę Piotrową, był szerzej nieznanym hierarchą z zza żelaznej kurtyny. Gdy umierał, świat żegnał papieża „wielkiego" i „świętego", który zmienił oblicze Kościoła i przyczynił się do upadku komunizmu w Europie

W październiku 1978 r. mało kto się spodziewał, że pontyfikat papieża Polaka będzie tak doniosły w historii Kościoła, Europy i świata. Jednak od początku towarzyszyła mu nadzieja na poprawę sytuacji Kościoła w ojczyźnie. Prymas kard. Stefan Wyszyński zapisał po konklawe: „Nie będę musiał długo tłumaczyć sytuacji Kościoła w Polsce, gdyż tak dobrze ją zna nowy Papież". Dalej dodał proroczo: „Jakież znaczenie będzie miał ten wybór dla Kościoła w centralnej i wschodniej Europie".

Człowiek – prawda – wolność

Na czele Kościoła stanął doświadczony duszpasterz, wybitny intelektualista, człowiek dialogu obdarzony siłą i wyczuciem politycznym, obrońca godności i praw człowieka, który stał się autorytetem nie tylko dla ludzi wierzących. W centrum jego nauczania – papieża, który doświadczył dwóch zbrodniczych totalitaryzmów – był człowiek, ludzka godność i wolność. Pierwszą encyklikę „Redemptor hominis" („Odkupiciel człowieka") wydaną w marcu 1979 r. poświecił godności człowieka w perspektywie Chrystusa. Pisał, że „człowiek jest pierwszą drogą, po której powinien kroczyć Kościół w wypełnianiu swojego posłannictwa".

Jan Paweł II zmieniał świat postawą oraz uniwersalną prawdą i nauką zakorzenioną w Ewangelii. Głosił, że wolność religijna jest fundamentem i gwarancją wszelkich innych wolności, a warunkiem prawdziwej wolności jest rzetelny stosunku do prawdy. Za św. Janem Ewangelistą powtarzał: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli". Uczył, że można osiągnąć prawdziwą wolność „choćby nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia". Jednocześnie podkreślał, że wolność została człowiekowi „dana" i „zadana", że „nie można stwarzać fikcji wolności, która rzekomo człowieka wyzwala, a właściwie go zniewala i znieprawia".

Zaczęło się w Polsce

W powszechnej opinii papież Polak przyczynił się do rozpadu bloku sowieckiego i upadku komunizmu. Wspierał rodaków (moralnie, materialnie, dyplomatycznie) i był orędownikiem sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Fundamentalne znaczenie w tym procesie odegrały pielgrzymki do ojczyzny, swoiste narodowe rekolekcje, powiew prawdy i wolności. Pierwsza, w czerwcu 1979 r., miała wpływ na powstanie „Solidarności", druga, cztery lata później, odbywała się podczas stanu wojennego i powszechnych represji wobec działaczy zdelegalizowanej „Solidarności", trzecia, w 1987 r., po raz kolejny umocniła naród duchowo.

Niemiecki dziennikarz Jan Ross trafnie ocenił: „Cudem pierwszej podróży do Polski było przebudzenie. Cudem drugiej przemiana – przemiana politycznej klęski w moralne zwycięstwo, wyrzeczenie się zemsty i ryzykownych marzeń o radykalnym przewrocie, ale bez cofania się nawet o centymetr w bezkrwawym oporze dzięki wierności sumieniu [...]. Papieska podróż z 1987 roku pokazała po raz kolejny, jak słabe było poparcie dla rządzących w polskim społeczeństwie". Rok później w obliczu narastającego kryzysu gospodarczego wybuchła fala nowych strajków, która doprowadziła do upadku komunizmu w Polsce.

Artykuł sponsorowany | 31/0425/F

eprasa.pl 25fefa0eda

PARTNER DODATKU
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Europa dwóch płuc

Wydarzenia znad Wisły rezonowały w państwach bloku sowieckiego, niwecząc żelazną kurtynę, oddzielającą Europę Wschodnią od Zachodu. 1 grudnia 1989 r., niespełna miesiąc po upadku muru berlińskiego, Jan Paweł II przyjął w Watykanie przywódcę Związku Sowieckiego Michaiła Gorbaczowa. To spotkanie stanowiło znamienny symbol wkładu papieża Polaka w upadek czerwonego totalitaryzmu, w podwaliny pod suwerenność postsowieckich krajów oraz zjednoczenie Niemiec i Europy.

Papież Słowianin zabiegał o jedność Europy nie tylko w wymiarze politycznym. Jego troską była jedność Kościołów Wschodu (prawosławnego) i Zachodu (rzymskokatolickiego), przyrównywanych obrazowo do dwóch płuc jednego Kościoła. Niestety to pragnienie nie ziściło się. W optyce prawosławnej zasadniczą przeszkodę stanowił prozelityzm, bowiem tak postrzegano Kościoły greckokatolickie, których istnienie i odrodzenie wspierał Jan Paweł II.

Chrześcijański korzeń

U progu pontyfikatu papież Polak apelował do słuchających go na całym świecie, aby nie lękali się otworzyć Chrystusowi drzwi swojego życia, „granic państw, systemów ekonomicznych, systemów politycznych, kierunków cywilizacyjnych". Jego pontyfikat był naznaczony wołaniem o duchową jedność Europy, powrót do chrześcijańskich źródeł kultury i cywilizacji. W 1985 r. pytał zlaicyzowane państwo zachodnioeuropejskie: „Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?". Podkreślał, że umacnianie Europy nie polega jedynie na współpracy ekonomicznej, lecz także kulturalnej i duchowej.

Obserwując sytuację po upadku komunizmu, apelował: „Nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha. Ten najgłębszy fundament jedności przyniosło Europie i przez wieki go umacniało chrześcijaństwo ze swoją Ewangelią, ze swoim rozumieniem człowieka i wkładem w rozwój dziejów ludów i narodów". Na koniec pierwszej pielgrzymki do ojczyzny wypowiedział słowa, które stały się częścią jego duchowego testamentu, a dziś brzmią szczególnie wymownie: „Zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska, raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością, [...] abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy".

dr hab. Łucja Marek
Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Krakowie

Zamach, który miał zmienić losy świata

13 maja 1981 r. na placu św. Piotra zamachowcy usiłowali zamordować Jana Pawła II. Dramatyczne wydarzenie sprzed 44 lat do dzisiaj skrywa tajemnice

Pod koniec lat 70. mogło się wydawać, że komunizm wciąż rozprzestrzenia się na świecie i nie da się zatrzymać jego marszu. Jednak początek lat 80. zweryfikował ten pogląd. Sowieci z wolna popadali w coraz głębszy kryzys gospodarczy, który częściowo wynikał z przeinwestowania – finansowego i militarnego – w eksport rewolucji komunistycznej poza ZSRS, częściowo z obciążeń związanych z wyścigiem zbrojeń, a częściowo z immanentnej niewydolności gospodarki centralnie planowanej. Świat wydawał się zmieniać, a przewaga Zachodu była coraz bardziej widoczna. Nie pomagała nieudana inwazja na Afganistan, która pochłaniała pieniądze i życie sowieckich żołnierzy.

Sowieci bacznie obserwowali sytuację międzynarodową. Jednym z ważkich elementów poddawanych analizie był papież Polak, który zmienił podejście do watykańskiej polityki wschodniej. Podkreślając znaczenie godności i praw człowieka, Jan Paweł II w naturalny sposób stawiał się w opozycji do komunistycznego totalitaryzmu. Wspierał – jawnie i innymi drogami – Kościół rzymsko i greckokatolicki w ZSRS, podkreślał prawa narodów do samostanowienia. Jednocześnie był punktem odniesienia dla Polaków, którzy latem 1980 r. masowo zbuntowali się przeciw komunizmowi, co doprowadziło do powstania „Solidarności".

eprasa.pl 25fefa0eda

W ten sposób w sercu sowieckiego imperium zewnętrznego powstał niezależny ruch społeczny liczący ponad 9 mln osób wspierany przez papieża Polaka.

Na początku lat 80. sytuacja geopolityczna była daleka od stabilności, a Kreml był zainteresowany wygaszeniem części zagrożeń.

Zamach

Po 44 latach od próby zabójstwa Jana Pawła II wiemy na pewno, że 13 maja 1981 r. po godzinie 17:00 na pl. św. Piotra strzelał do niego Mehmet Ali Ağca. Trafił papieża dwiema kulami – jedna przeszła przez brzuch, druga raniła go w dłoń i prawdopodobnie po rykoszecie w ramię. Zamachowiec, zbiegły z więzienia turecki terrorysta, został pochwycony przez wiernych, ujęty i osądzony. Jednak w czasie śledztwa wielokrotnie zmieniał zeznania, kluczył, odwoływał to, co już powiedział, wprowadzał do historii nowe wątki i osoby. W polskim śledztwie dotyczącym zamachu liczącą wiele tysięcy stron dokumentację wykorzystał prokurator Michał Skwara z Oddziału IPN w Katowicach. Wspólnie z dr. Andrzejem Grajewskim wydał dwie publikacje, które przybliżają historię zamachu. Nigdy nie wyjaśnimy niektórych kwestii, jednak zebrany materiał pozwala na odtworzenie logiki zdarzeń i wskazanie głównych osób dramatu sprzed niemal pół wieku.

Istotna w tym kontekście jest przeszłość Ağcy, który w młodości działał w Ruchu Wyzwolenia Narodu Tureckiego – organizacji mającej powiązania z bezpieką bułgarską i sowiecką. W Turcji został skazany za udział w zamachu na Abdiego İpekçiego – redaktora naczelnego tureckiego dziennika „Milliyet". Zbiegł jednak z więzienia i udał się do ogarniętego rewolucją Iranu, gdzie m.in. nawiązał kontakt z sowiecką rezydenturą wywiadu. Stamtąd dotarł do Sofii, gdzie skontaktował się z zalegendowanym jako pracownik ambasady, funkcjonariuszem sowieckiego wywiadu. Wiedziała o tym bułgarska bezpieka. Wszystko wskazuje na to, że właśnie w Sofii Ağca dowiedział się, że został wytypowany do przeprowadzenia zamachu na Jana Pawła II.

Rekonstrukcja zdarzeń

Braki źródłowe i zmieniane przez Ağcę zeznania nie pozwalają na pełne odtworzenie wydarzeń. Jednak z analizy dr. Grajewskiego i prok. Skwary wyłania się obraz, zgodnie z którym za zamachem stały trzy siły: służby bułgarskie (których zaangażowanie było decydujące), turecka mafia oraz prawicowa organizacja terrorystyczna Szare Wilki. Można domniemywać, że Bułgarzy nie działali z własnej inicjatywy, ale zostali wyznaczeni do tego zadania przez Moskwę, chociaż nie ma na to twardych źródłowych dowodów.

Nie ulega wątpliwości, że w Rzymie Ağcę wspierało w różnym zakresie czterech Bułgarów. Pierwszym był Todor Stojanow Ajwazow (znany Ağcy pod nazwiskiem operacyjnym Sotir Kolew), formalnie kasjer ambasady bułgarskiej w Rzymie. Drugim – Żelju Kolew Wasilew (znany Ağcy jako Petrow), zastępca attaché wojskowego. Trzecim – Siergiej Iwanow Antonow (znany Ağcy jako Bajramik), zastępca dyrektora bułgarskich linii lotniczych Balkan Air w Rzymie. Czwartym – Iwan Donczew (znany Ağcy jako Tomow), trzeci sekretarz ambasady, faktycznie prawdopodobnie kierownik rezydentury bułgarskiego wywiadu w Rzymie, a więc zwierzchnik wymienionych poprzednio „dyplomatów" i Antonowa.

PARTNER DODATKU INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

To Bułgarzy mieli zapewnić logistykę zamachu. Oni zaopatrzyli zamachowców w broń – poza Ağcą, który skorzystał z własnych źródeł. Uczestniczyli też w wizjach lokalnych placu i typowaniu miejsca, z którego najlepiej byłoby oddać strzał. Oni mieli zapewnić drogę ucieczki z Włoch.

Ostatecznie ustalono, że na pl. św. Piotra znajdzie się czterech Turków: Ağca, Oral Çelik (przyjaciel Ağcy, współuczestnik zamachu na İpekçiego, uczestnik akcji uwolnienia Ağcy z więzienia, blisko związany z Szarymi Wilkami), Sedat Sirri Kadem (znany Ağcy jeszcze z czasów licealnych, związany z tureckimi lewicowymi organizacjami terrorystycznymi, szkolony z Ağcą w Syrii) oraz Omer Ay (związany z tureckimi prawicowymi organizacjami terrorystycznymi). Strzelać miał Ağca, a gdyby nie było to możliwe – Çelik. Jak bowiem podkreślał Ağca, „nasze uzgodnienia były takie, że w każdym przypadku papież musiał zginąć".

Śmierć Jana Pawła II niewątpliwie zmieniłaby losy świata, mogła spowolnić rozpoczynający się proces dekompozycji sowieckiego imperium. Czy był ktoś bardziej zainteresowany tym niż Moskwa? Czy Bułgarzy mogli działać z własnej inicjatywy?

dr hab. Filip Musiał
dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie

Artykuł sponsorowany | 31/0425/F

eprasa.pl 25fefa0eda

Czekamy na racjonalizm w polityce Berlina

Nowy rząd w Berlinie to okazja do przypomnienia, że w Niemczech potrzebna jest nie tylko nowa polityka wewnętrzna. Konieczna jest także nowa polityka wobec Polski i wobec Unii Europejskiej. To, z czym mieliśmy do czynienia za czasów kanclerzy Merkel i Scholza, było po prostu katastrofą. Niemcy nie mogą wobec sąsiedniego kraju, z którym są tak bardzo powiązani gospodarczo, prowadzić wyłącznie wrogiej polityki. To jest całkowicie nieracjonalne

Polska chce traktować Niemcy jak sojusznika, ale muszą być do tego podstawy. Niemiecka polityka wobec Polski nie może być wypadkową niemieckiej polityki wobec Rosji. Integracja Europy nie nastąpi, jeżeli jedynym celem Unii Europejskiej będzie realizacja egoistycznych interesów Niemiec. Nie może być tak, że każda samodzielna inicjatywa RP jest traktowana jako przeszkoda w niemieckiej dominacji w UE. Nie może być tak, że dialog z Polską polega na tym, iż rozmawia się

JAN PARYS

jedynie z niemieckimi agentami wpływu w naszym kraju. Rozmowy z fikcyjnymi partnerami nie rozwiążą żadnego problemu między naszymi krajami.

* * *

Rachunek za ostatnie lata nie wygląda zbyt dobrze. Trudno zapomnieć, z jaką furią przyjęto w Niemczech zwycięstwo ugrupowań konserwatywnych w Polsce w 2015 r. Trudno również zapomnieć, że z niemieckich środków publicznych i na zlecenie urzędu kanclerskiego uruchomiono wówczas nagonkę polityczną w mediach na nasz kraj. W ciągu dwóch lat, tj. 2016 i 2017, skutkowało to ponad tysiącem fałszywych publikacji prasowych o Polsce. Trudno także zapomnieć, że kanclerz Angela Merkel przeforsowała polityka z Polski na szefa Rady Europejskiej bez uzgodnienia tego z demokratycznie wybranym polskim rządem. Trudno o większą pogardę dla demokratycznych procedur w naszym kraju i traktatu o wzajemnej współpracy.

Trudno też zapomnieć, że w 2021 r., gdy ataki polityczne na Polskę okazały się mało skuteczne, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen postawiła ultimatum polskiemu parlamentowi i rządowi. Dała dwa miesiące na publiczną akceptację wyższości prawa europejskiego nad polską konstytucją. W Polsce uznano to za naruszenie traktatu o Unii Europejskiej i *de facto* próbę pozbawienia naszego państwa suwerenności. Uznano, że jest to największy atak na nasz kraj od wojny w 1939 r.

Nic zatem dziwnego, że ówczesny lider rządzącego ugrupowania Jarosław Kaczyński po paru dniach powiedział krótko: „Dosyć tego". Polska potraktowała żądanie von der Leyen jako frontalny niemiecki atak na nią. Trybunał Konstytucyjny przypomniał, że konstytucja RP jest w naszym kraju najwyższym prawem. Prawo UE obowiązuje jedynie w tych dziedzinach, które na mocy podpisanego przez Polskę traktatu zostały przekazane do kompetencji władz unijnych.

Orzeczenie polskiego sądu było podobne do stanowiska, jakie w tej kwestii zajmowały trybunały w innych państwach Unii. Mimo to Komisja Europejska i TSUE nie przyjęły argumentacji prawnej polskiego TK. W całkowicie pozamerytoryczny sposób i bez żadnych podstaw prawnych

eprasa.pl 25fefa0eda

w Brukseli podjęto decyzję polityczną, iż polski Trybunał Konstytucyjny nie jest legalny, jego orzeczenia nie są zatem obowiązujące w Polsce i poza nią.

Mamy więc pierwszy przypadek na świecie, który jest kuriozum w dziedzinie prawa międzynarodowego. Organizacja, którą utworzyły suwerenne państwa, walczy ze swymi założycielami i delegalizuje ich organy konstytucyjne. Ta decyzja władz UE przejdzie do historii prawa jako przykład ignorancji, hańby, korupcji i hipokryzji.

* * *

Rząd Rzeczypospolitej nie mógł pozostać bierny wobec tak bezprzykładnego ataku na suwerenność naszego państwa. Parlament i gabinet użyli środków politycznych, jakich nigdy dotychczas nie stosowano. Na polecenie rządu został opracowany, opublikowany i upowszechniony na świecie raport o niemieckich zbrodniach w Polsce w czasie II wojny światowej wraz z wyliczeniem roszczeń związanych ze stratami, które nasz kraj poniósł w wyniku niemieckiej agresji.

Z winy niemieckich polityków, którzy systematycznie używają unijnej administracji jako swego narzędzia, stosunki między Polską a Niemcami znalazły się na dnie. Żadne słowa nie wymarzą już opisu strat ludzkich i materialnych, jakie Polska poniosła z winy narodu niemieckiego. Straty opisane w raporcie już na zawsze będą dzielić nasze państwa. W ten sposób został publicznie zakwestionowany wizerunek Niemiec jako państwa demokratycznego, które rzekomo rozliczyło się za zbrodnie dokonane w czasie II wojny światowej. Ale jeżeli – jak wynika z raportu – nie rozliczyło się ono z RP, to znaczy, że nie zakończyło denazyfikacji i nie jest demokratycznym państwem prawnym. Z winy niemieckich polityków na forum międzynarodowym został więc zakwestionowany status Niemiec jako potęgi moralnej i wzorcowej demokracji.

Do tej kryzysowej sytuacji między Warszawą a Berlinem doszło z powodu nieudolności niemieckich polityków, a zwłaszcza dyplomatów. Żaden z nich nie rozumiał, jak będzie odebrana

Do kryzysowej sytuacji między Warszawą a Berlinem doszło z powodu nieudolności niemieckich polityków. Żaden z nich nie rozumiał, jak będzie odebrana próba narzucenia Polsce wyższości prawa europejskiego nad polską konstytucją

Nowy kanclerz Niemiec Friedrich Merz

Fot. Ryan Nash Photography / Shutterstock.com

eprasa.pl 25fefa0eda

próba narzucenia Polsce wyższości prawa europejskiego nad polską konstytucją. Być może w Berlinie uznano, że w ramach budowy niemieckiego imperium w UE warto poświęcić relacje bilateralne, bo te nie mają już żadnego znaczenia. Kraje Unii mają jedynie wykonywać polecenia Komisji Europejskiej w każdej dziedzinie. Po co zatem dbać o dobre relacje bilateralne z pojedynczymi krajami?

* * *

Rok 2022 to czas, kiedy Rosja rozpoczęła agresje na Ukrainę. Nie będę przypominał kompromitującej polityków w Berlinie ich miękkiej postawy wobec rosyjskiej agresji ani podejmowanych prób dialogu z agresorem czy ograniczania pomocy dla Ukrainy w najtrudniejszym pierwszym okresie wojny.

Zatrzymajmy się nad publiczną reakcją ówczesnego kanclerza Niemiec Olafa Scholza wobec wojny. Była nim koncepcja scentralizowania Unii Europejskiej zapowiedziana w przemówieniu wygłoszonym jesienią 2022 r. Ktoś mógłby zadać pytanie, jak to jest, że podczas wojny w Europie kanclerz Niemiec zajmuje się reformą UE zamiast programem dozbrajana Bundeswehry i udzielaniem pomocy militarnej Ukrainie. Jak wynikało z tego przemówienia, bezpieczeństwo Europy nie jest priorytetem kanclerza. Jemu chodziło jedynie o to, by wykorzystać wojnę do umocnienia niemieckich wpływów w Europie.

W rezultacie takiej polityki Scholza w trakcie wojny Niemcy z własnej woli znalazły się na marginesie decyzji politycznych, bo o sytuacji międzynarodowej zaczęły decydować kraje zaangażowane w udzielanie pomocy walczącej Ukrainie. Ze względu na prorosyjskie wpływy w niemieckiej elicie politycznej i gospodarczej w Berlinie postanowiono jak najdłużej ignorować fakt, że Rosja prowadzi wojnę. Celem kanclerza nie było ratowanie Ukrainy, która została zaatakowana. Jego celem było ratowanie kooperacji z Rosją za wszelką cenę, nawet upadku Ukrainy jako suwerennego kraju.

W tym planie akceptowania rosyjskiej agresji przeszkodził ówczesny polski rząd. Dla polityków w Warszawie rosyjska agresja była pierwszym etapem agresji na Europę. Władze w Warszawie zaczęły wysyłać broń na Ukrainę, zanim zaczął się rosyjski atak. A zaraz po agresji porozumiały się z administracją Stanów Zjednoczonych i uruchomiły hub logistyczny pod Rzeszowem, dzięki czemu na Ukrainę każdej doby transporty jechały z bronią i amunicją. Politycy w Berlinie potraktowali polsko-amerykańską współpracę militarną jak obelgę. Nie mogli zrozumieć, jakim prawem bez ich zgody Polska podejmuje decyzje broniące Europy i wpływające na los kontynentu. Jakim prawem Polska psuje ich misterny plan utrzymania dobrych relacji z Rosją kosztem Ukrainy.

> Politycy w Berlinie potraktowali polsko-amerykańską współpracę militarną jak obelgę. Nie mogli zrozumieć, jakim prawem bez ich zgody Polska podejmuje decyzje broniące Europy i wpływające na los kontynentu.

Dlatego po paru miesiącach szoku i frustracji w Berlinie przygotowano plan natychmiastowej centralizacji władzy w UE. Jego najważniejszym elementem jest pozbawienie państw członkowskich prawa weta przy podejmowaniu decyzji oraz zabranie im kompetencji w sprawach polityki bezpieczeństwa. Dzięki temu już nigdy nie powtórzy się sytuacja, że Polska zaczyna bronić Europy przed Rosją bez zgody Niemiec. W ten sposób już nigdy nie dojdzie do tego, że nasz kraj podejmie współpracę militarną z USA bez zgody polityków z Berlina.

Jak widać dla kanclerza w ogóle nie jest ważne bezpieczeństwo Europy, liczy się tylko kontrola nad polityką zagraniczną Rzeczypospolitej. Najważniejsze jest, by Polskę pozbawić możliwości prowadzenia samodzielnej polityki wobec Rosji. Polityka Warszawy wobec Moskwy ma być możliwa tylko za zgodą Niemiec i tylko wtedy, gdy nie psuje niemieckiej kooperacji z Rosją. W następstwie jesiennego przemówienia kanclerza z 2022 r. w Parlamencie Europejskim powołano siedmioosobową Komisję ds. reformy Traktatu o Unii Europejskiej, która błyskawicznie opracowała projekt scentralizowania procedur decyzyjnych w UE.

* * *

Na tym niemieckie inicjatywy wobec Polski podczas wojny na Ukrainie się nie skoczyły. Aby pokazać Polakom, kto realnie rządzi w Rzeczypospolitej, Ursula von der Leyen zapowiedziała, że nasz kraj nie dostanie środków z tzw. Krajowego Planu Odbudowy. Przypomnijmy, że ten fundusz powstał w UE, by złagodzić problemy gospodarcze spowodowane pandemią COVID-19 oraz odbudować tzw. odporność państw na wypadek kolejnych pandemii. Von der Leyen całkowicie zignorowała zatem straty, jakie poniosła polska gospodarka w czasie pandemii. Jednocześnie uznała, że polskie społeczeństwo nie zasługuje na zabezpieczenie i budowę odporności na wypadek klęsk żywiołowych. Z woli władz Unii podczas kolejnych pandemii Polacy mają po prostu umierać szybciej niż inne narody.

Jako pretekstu do wstrzymania wypłat z KPO użyto argumentu, że nasz kraj nie realizuje kryteriów praworządności. Nie ma potrzeby dodawać, że takie ultimatum ze strony Komisji Europejskiej nie ma podstaw w traktacie o Unii Europejskiej. Jak wiadomo, dokument ten nie daje Komisji upoważnienia do stosowania szantażu finansowego wobec państw członkowskich w jakiejkolwiek sprawie. Co więcej, traktat nie definiuje, jaki model demokracji w UE jest

eprasa.pl 25fefa0eda

obowiązujący dla wszystkich państw członkowskich.

Decyzję Komisji Europejskiej o wstrzymaniu wypłat z KPO odebrano w Polsce następująco. W trakcie wojny, jaką toczy Rosja z Europą, gdy Rzeczpospolita jest odpowiedzialna za obronę wschodnich granic UE, Komisja stosuje wobec Polski sankcje o wartości 30 mld euro. Czyli podczas wojny na Ukrainie Komisja uderza w nasz kraj z siłą 3 tys. czołgów Abrams, bo tyle można ich kupić za 30 mld euro. Jednocześnie sankcje, które Komisja z wielkich trudem uchwala wobec Rosji, mają wartość mniejszą niż kwoty zabrane Polsce. W 2022 r. polskie społeczeństwo mogło się zatem przekonać, z jaką zoologiczną wrogością Komisja Europejska kierowana przez Ursulę von der Leyen traktuje nasz kraj.

W tej sytuacji nie ma co mówić o dobrych relacjach między Polską a Niemcami. Zamiast żyć jak sąsiedzi, będziemy trwali podzieleni murem wrogości. Przy takiej polityce Niemiec wobec Polski jak za czasów Angeli Merkel i Olafa Scholza po prostu nie będzie zgody między naszymi narodami. Stracą na tym nasze kraje i Europa. Bo nie będzie integracji europejskiej, kiedy politycy w Berlinie zwalczają państwo polskie.

* * *

Proponuję, aby się zastanowić, jak poprawić tę sytuację. Nie da się naprawić naszych relacji bez merytorycznej rozmowy o przyszłości Unii Europejskiej, bez zrozumienia przez polityków w Berlinie, iż wobec zagrożenia ze strony Rosji priorytetem wszystkich państw UE jest bezpieczeństwo militarne. A to może nam zapewnić tylko bliska kooperacja z USA.

Na razie Unia pod wpływem niemieckich polityków kontynuuje swą błędną politykę, mimo iż w żadnym kraju członkowskim obywatele w głosowaniu nie popierali obecnej polityki migracyjnej czy klimatycznej. W żadnym kraju UE nie głosowano za zrywaniem współpracy militarnej z Ameryką. Kilka tygodni przed objęciem funkcji kanclerza Friedrich Merz obiecał publicznie, że przed podróżami do Waszyngtonu będzie się konsultował z krajami Trójkąta Weimarskiego, czyli porozmawia z władzami w Paryżu i Warszawie. Jednak nie obiecał tego, że rozmowy z Moskwą poprzedzi spotkaniem w polskiej stolicy. A to właśnie kontakty Berlina z Moskwą budzą w Warszawie jak najgorsze podejrzenia, bo zawsze były źródłem nieszczęścia w Europie. Szczególnie dla mieszkańców Polski zbyt dobre niemiecko-rosyjskie relacje stanowiły zagrożenie od kilkuset lat.

Dziś Europa jest skazana na egzystencję w cieniu rosyjskiego zagrożenia. Ta sytuacja będzie trwała długo, nawet po ewentualnym zatrzymaniu walk na Ukrainie. Politycy w Berlinie powinni wyciągnąć z tego wnioski. Czas odejść od dawnej nieracjonalnej polityki. Kiedy niemieckie władze zrozumieją, że dziś pierwsza linia obrony Europy, w tym Niemiec, jest na granicy Polski z rejonem Królewca i z Białorusią? Słowem – dziś im silniejsza jest Polska, tym bardziej bezpieczne są Niemcy i cała Europa.

Nowa sytuacja wymaga odejścia w niemieckiej polityce od schematów myślenia z epoki Bismarcka, Stresemanna, Merkel i Scholza. Czy w Berlinie naprawdę nie ma ludzi, którzy w racjonalny sposób patrzą na mapę Europy i rozumieją, kto zagraża bezpieczeństwu Niemiec? Kto lepiej będzie ich bronił przed rosyjską agresją – Polska słaba czy silna? Czy dla bezpieczeństwa Niemiec jest lepiej, by Rzeczpospolita była silnym sojusznikiem, czy słabą prowincją w UE? To nie są pytania z dziedziny fantastyki politycznej, lecz bardzo realne kwestie. W Warszawie już na nie odpowiedzieliśmy. Teraz czas na refleksje w Berlinie. Niemieccy politycy mogą nam przeszkadzać lub pomagać w budowie silnego państwa. Ale jak pokazuje tysiąc lat historii naszego dążenia do niezależności, nie zatrzymają tego procesu.

Warto także pamiętać, że to obywatele Wspólnoty przyjęli obecnie obowiązujący traktat o Unii Europejskiej. Jeżeli zwolennicy reform UE uważają się za demokratów, to muszą zrozumieć, że bez zgody mieszkańców Europy nikt nie może zmienić traktatu. Raport Draghiego dobitnie pokazał, że realizując taką politykę jak dotychczas, Unia nie zapewni postępu gospodarczego ani społecznego, nie umocni pokoju ani wolności. Dziś piłka, czyli inicjatywa, jest po stronie nowego kanclerza Niemiec. Od Friedricha Merza zależy, czy zmieni dotychczasową nieskuteczną politykę wobec UE i wobec RP. Czy będzie kontynuował błędy z czasów Merkel, czy zaproponuje coś nowego i uratuje pozycję Unii Europejskiej na tle Chin i Stanów Zjednoczonych.

Program CDU z 2024 r. dawał na to nadzieję. Niestety po wyborach w Niemczech zamiast szukać koalicjanta, który w największym stopniu przyjmuje program tej partii, w Niemczech powstał rząd z udziałem SPD, mimo że rządy tej formacji zakończyły się katastrofą. W ten sposób CDU odrzuciła własny program, dzięki któremu osiągnęła najlepszy wynik podczas wyborów w lutym 2025 r. Mimo to mam nadzieję, że nowemu kanclerzowi nie zabraknie energii, by dotrzymać zobowiązań, które podjął 7 maja 2024 r. Dla męża stanu zobowiązania wobec elektoratu są ważniejsze niż żądania koalicjantów, którzy przegrali wybory.

> Podczas wojny na Ukrainie Komisja Europejska pod wodzą von der Leyen uderzyła w Polskę z siłą 3 tys. czołgów Abrams, bo tyle można ich kupić za 30 mld euro, czyli kwotę zablokowanych wypłat z KPO

eprasa.pl 25fefa0eda

Trudne wyzwania dla nowego papieża

GRZEGORZ GÓRNY

267. biskupem Rzymu został amerykański kardynał Robert Prevost. Przyjął imię Leona XIV. Czy uda mu się przywrócić jedność wśród katolików i uleczyć głębokie rany zadane Kościołowi w ostatnich latach?

Kościół po Franciszku jest znacznie bardziej podzielony niż przed jego pontyfikatem. Co prawda podziały i pęknięcia wewnątrz świata katolickiego były widoczne od dawna, jednak pod rządami argentyńskiego papieża polaryzacja się pogłębiła. Zagraża ona wręcz jedności Kościoła, przed czym głośno przestrzega kard. Gerhard Müller, mówiąc, że kontynuowanie tej linii może doprowadzić nawet do schizmy.

W trakcie pontyfikatu Franciszka powstały wśród katolików nowe linie podziału, które wyszły poza wąskie grona teologów i duchownych, by ogarnąć całe środowiska katolików świeckich. W związku z tym przed Leonem XIV stoi zadanie ratowania jedności Kościoła. Jak stwierdził podczas prekonklawe kard. Beniamino Stella (w latach 2013–2021 prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa): „Po pontyfikacie, który siał nieporządek i zamieszanie, potrzebny jest dyplomatyczny i umiarkowany profil".

Spróbujmy się przyjrzeć najważniejszym wyzwaniom, przed którymi stanie nowy papież, by zachować jedność i powszechność nauczania katolickiego.

„FIDUCIA SUPPLICANS"

Nic tak bardzo nie podzieliło Kościoła katolickiego w ostatnim czasie, jak watykańska deklaracja „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r. zezwalająca księżom na błogosławienie par homoseksualnych. Wspomniany akt, jak stwierdził kard. Timothy Radcliffe, u wielu biskupów na całym świecie wywołał rozpacz i gniew, a niektórzy poczuli się nawet zdradzeni.

Spośród 114 episkopatów na świecie aż 30 wypowiedziało się przeciw owemu dokumentowi, 15 go poparło, a 70 nie zabrało w jego sprawie głosu. Najmocniej sprzeciwili mu się biskupi afrykańscy, którzy uznali „Fiducia supplicans" za dokument wręcz antykatolicki. Swą zdecydowaną postawą czarnoskórzy hierarchowie zdołali wymusić na Rzymie decyzję, że kontrowersyjny akt nie będzie obowiązywał na ich kontynencie. Podobne stanowisko zajął synod chaldejski, skupiający 24 biskupów katolickich obrządku

Fot. PAP/EPA

eprasa.pl 25fefa0eda

chaldejsko-syryjskiego, który stanowczo zabronił swym kapłanom błogosławienia par tej samej płci. W imieniu Kościołów Wschodu wypowiedział się na ten sam temat zwierzchnik ukraińskich grekokatolików abp Swiatosław Szewczuk, ogłaszając, że watykańska deklaracja ich nie dotyczy, a więc nie zamierzają się jej podporządkować.

Deklarację „Fiducia supplicans" poparły episkopaty m.in. Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Belgii, Malty, Portugalii, Meksyku, Argentyny, Chile czy Filipin. W rezultacie w jednych państwach księża mogą błogosławić pary jednopłciowe, widząc w tym wypełnienie woli Bożej, a w innych ten sam akt jest surowo zakazany jako sprzeczny z moralnością katolicką. W efekcie powstaje wrażenie, jakby istniał „Kościół dwóch prędkości" złożony z członów, w których obowiązują odmienne zasady, zwłaszcza różne podejście do homoseksualizmu.

Ogłoszenie „Fiducia supplicans" wywołało zgorszenie wśród chrześcijan innych wyznań, m.in. Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego skupiającego ok. 20 mln egipskich chrześcijan. Tamtejszy synod podjął decyzję o zawieszeniu dialogu ekumenicznego z Kościołem katolickim. W komentarzach uzasadniających ten krok pojawiało się zdanie, że Watykan swą deklaracją zaprzeczył własnej nauce moralnej, otwierając drogę do dewastacji obowiązującej etyki seksualnej. Podobnie uważają nie tylko Koptowie, lecz także wielu katolików na całym świecie, którzy mają nadzieję, że następny papież wycofa się z najbardziej kontrowersyjnych zapisów „Fiducia supplicans".

Wspomniany dokument to jednak tylko część szerszego problemu, jakim jest aktywność „lawendowej mafii", czyli gejowskiego lobby w Kościele. Jej wpływy wzrosły zwłaszcza w trakcie ostatniego pontyfikatu wraz z nominacjami na znaczące stanowiska kościelne jawnych homoseksualistów (jak ks. Battista Ricca czy abp Gustavo Zanchetta) lub duchownych otwarcie progejowskich (jak kardynałowie Blase Cupich, Jean-Claude Hollerich, Victor Manuel Fernández czy ks. James Martin). To właśnie oni najmocniej forsują zmianę katolickiej nauki moralnej, by zaakceptować czyny zwane swego czasu w katechizmie grzechami sodomickimi. To wyzwanie, przed którym będzie musiał stanąć Leon XIV.

„TRADITIONIS CUSTODES"

Innym dokumentem, który wywołał podział w Kościele, był list papieski w formie *motu proprio* „Traditionis custodes" ogłoszony przez Franciszka w lipcu 2021 r. Wprowadził on drastyczne ograniczenia w sprawowaniu nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego zwanej potocznie mszą trydencką. Wspomniany dokument stanowił zaprzeczenie wcześniejszych przepisów obowiązujących na mocy *motu proprio* Benedykta XVI „Summorum pontificium" z 2007 r.

Papież Ratzinger, widząc podział, który powstał po II soborze watykańskim, postanowił przywrócić pokój liturgiczny w Kościele. Uznał on racje środowisk tradycjonalistycznych, sprzeciwiając się ich marginalizowaniu oraz dążąc do włączenia ich w nurt życia posoborowego przy jednoczesnym zachowaniu własnej obrzędowości. W dużej mierze się to udało, prowadząc do zawieszenia wielu konfliktów.

Ogłoszenie przez Franciszka „Traditionis custodes" oznaczało jednak koniec *pax liturgica*. Co prawda część hierarchów zignorowała ów dokument, jednak inni zaczęli go twardo egzekwować, co wywołało wiele zatargów, sporów i napięć między lokalnymi biskupami a wspólnotami tradycjonalistycznymi. Jak zauważył kapelan Benedykta XVI ks. Alberto José González Chaves, najsmutniejsze było to, że „wierni, którzy z miłością zachowywali tradycję, zostali potraktowani jak intruzi we własnym domu, jak obcy w domu swoich rodziców".

W sytuacji, gdy Kościół katolicki na świecie staje przed tak wieloma wyzwaniami, wywoływanie „wojny domowej" we własnych szeregach wydaje się całkowicie niezrozumiałe. Po co nastawiać wrogo wobec siebie tak wiele środowisk tradycjonalistycznych, skoro ich zapał religijny można wykorzystać do działalności misyjnej i ewangelizacji? To pytanie zadaje sobie wielu katolików, którzy oczekują od nowego papieża, że przywróci pokój religijny i zakończy niepotrzebny nikomu konflikt w Kościele.

„AMORIS LAETITIA"

Następnym dokumentem, który pogłębił polaryzację w świecie katolickim, była adhortacja apostolska Franciszka „Amoris laetitia" z marca 2016 r. Nie stworzyła ona nowych podziałów, lecz nałożyła się na już istniejące, nadając im nową dynamikę. Główna kontrowersja dotyczyła możliwości dopuszczenia do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach.

Oficjalne stanowisko Kościoła w tej sprawie pozostaje jednoznaczne: pary niesakramentalne nie mogą przystępować do komunii, jednak praktyka pozostaje odmienna w zależności od kraju. Najlepiej widać to na przykładzie Niemiec i Polski, gdzie granica na Odrze i Nysie Łużyckiej ma charakter nie tylko państwowy, lecz także teologiczny. Okazuje się, że te same osoby po zachodniej stronie przebywają w stanie łaski uświęcającej, a po wschodniej trwają w grzechu ciężkim.

Jeszcze przed pontyfikatem Franciszka biskupi z Europy Zachodniej zezwalali na komunię dla rozwodników w ponownych związkach, jednak robili to wbrew Stolicy Apostolskiej. Od czasu ogłoszenia „Amoris laetitia" wymachują jednak papieskim dokumentem, twierdząc, że Watykan dał oficjalną zgodę na tego typu praktyki. W rzeczywistości we wspomnianej adhortacji nigdzie nie zostało to wprost sformułowane. Watykański dokument jest jednak napisany tak wieloznacznym językiem, że podlega interpretacjom na różne sposoby. Można go zatem objaśniać w ciągłości z dotychczasowym nauczaniem Kościoła i wówczas nie ma w nim nic rewolucyjnego. Wiele episkopatów i biskupów na świecie przyjęło jednak radykalnie odmienną wykładnię „Amoris laetitia" i na tej podstawie zezwoliło na dopuszczanie do Eucharystii par niesakramentalnych. Do takiej interpretacji przychylił się także sam Franciszek w swej odpowiedzi na pytanie skierowane do niego przez biskupów z Argentyny.

eprasa.pl 25fefa0eda

To rozdwojenie podważa jednak jedność i powszechność nauki Kościoła katolickiego. Sprawa nie dotyczy bowiem tylko dyscypliny sakramentów, lecz także kwestii doktrynalnych związanych z rozumieniem m.in. nierozerwalności małżeństwa, grzechu ciężkiego, łaski uświęcającej itd. Nie mamy zatem do czynienia jedynie z odmiennymi praktykami duszpasterskimi, lecz z dwoma różnymi wiarami. To podział, którego Leon XIV nie może ignorować.

DEKLARACJA Z ABU ZABI

Wiele zamętu i chaosu w Kościele wywołało podpisanie przez Franciszka wspólnie z wielkim imamem uniwersytetu Al-Azhar w Kairze Ahmedem al-Tayeebem w lutym 2019 r. dokumentu o ludzkim braterstwie, zwanego potocznie deklaracją z Abu Zabi. W tekście znalazło się m.in. kontrowersyjne zdanie: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie".

Wspomniany dokument jest nie do pogodzenia z odwieczną nauką Kościoła, który zawsze głosił, że Stwórca dopuszcza co prawda istnienie innych religii, ponieważ dał człowiekowi wolną wolę i szanuje jego wolność, jednak nie oznacza to, że Bóg chce istnienia innych religii, w tym także kultów antychrześcijańskich (np. satanizmu). Przyjęcie deklaracji z Abu Zabi oznacza uznanie, że pragnieniem Boga jest istnienie religii odrzucających boskość Jezusa (np. islamu).

W podobnym duchu wypowiedział się Franciszek we wrześniu 2024 r. podczas spotkania międzyreligijnego w Singapurze. „Jeżeli zaczniecie się kłócić: »Moja religia jest ważniejsza od twojej! Moja jest prawdziwa, a twoja nie jest prawdziwa!« Dokąd to doprowadzi?", pytał zgromadzoną młodzież i odpowiedział: „Wszystkie religie są drogą do Boga. Zrobię porównanie: są jak różne języki, różne idiomy, żeby do Niego dotrzeć. Ale Bóg to Bóg dla wszystkich. A skoro Bóg to Bóg dla wszystkich, wszyscy jesteśmy dziećmi Boga". Następnie dodał, że sikhizm, islam, hinduizm czy chrześcijaństwo są różnymi drogami do Boga.

Co prawda Franciszek nie wypowiedział się wówczas *ex cathedra*, więc zacytowane wyżej słowa nie są obowiązujące dla katolików. Niemniej jego opinia wpisuje się w pluralistyczną teologię religii, która została jednoznacznie odrzucona przez Jana Pawła II i kard. Josepha Ratzingera w watykańskiej deklaracji „Dominus Iesus" w 2000 r. Wielu katolików uważa natomiast, że dokument z Abu Zabi, pod którym widnieje podpis głowy Kościoła, wymaga ustosunkowania się przez nowego papieża. Nie można bowiem utrzymywać wiernych w przekonaniu, że rozmaite religie są równoległymi drogami do zbawienia. Po co byłaby wówczas ofiara Chrystusa?

> Nic tak bardzo nie podzieliło Kościoła katolickiego w ostatnim czasie, jak watykańska deklaracja „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r. zezwalająca księżom na błogosławienie par homoseksualnych. Wspomniany akt, jak stwierdził kard. Timothy Radcliffe, u wielu biskupów na całym świecie wywołał rozpacz i gniew, a niektórzy poczuli się nawet zdradzeni

SYNODALNOŚĆ

Franciszek uruchomił proces „synodalizacji", który w zaproponowanej przez niego formie stanowi radykalne *novum* w Kościele. Paweł VI, powołując do życia w 1965 r. instytucję synodu, stworzył go jako ciało doradcze złożone z biskupów. Franciszek nie tylko poszerzył skład owego gremium o osoby świeckie z prawem głosu, lecz także nadał końcowym dokumentom tego zgromadzenia charakter magisterium.

Głównym inspiratorem procesu synodalizacji był zmarły w 2012 r. kard. Carlo Maria Martini, który uważał, że najważniejszym zadaniem katolików jest dziś nadrobienie 200 lat zapóźnienia, jakie Kościół ma wobec współczesnego świata. Jego zdaniem, Kościół popełnił błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia i dlatego utracił kontakt z nowoczesnością. Konieczna jest zatem przyspieszona modernizacja, której nie da się przeprowadzić za pomocą soborów, ponieważ są one zbyt wielkimi i rzadko organizowanymi wydarzeniami. Likwidacja zacofania wymaga natomiast szybkich i zdecydowanych działań. Według Martiniego w tej sytuacji optymalnym narzędziem unowocześnienia Kościoła powinny być synody. Mogą być one zwoływane jeden po drugim i skoncentrowane tematycznie na konkretnych problemach.

Taki właśnie model permanentnej synodalizacji wprowadził w życie Franciszek, który często zwykł zresztą cytować Martiniego, np. jego zdanie o konieczności nadrobienia przez Kościół 200 lat zapóźnienia wobec świata.

Tak rozumiany synod wywołał jednak zdecydowany sprzeciw części purpuratów, np. kard. Raymond Burke nazwał go „puszką Pandory", kard. George Pell „toksycznym koszmarem", a kard. Gerhard Müller próbą „wrogiego przejęcia Kościoła". Podczas niedawnego prekonklawe kard. Joseph Zen z Hongkongu wezwał obecnych w Watykanie hierarchów, by położyli kres synodalizacji. Swe wystąpienie zakończył słowami: „Elektorzy przyszłego papieża muszą mieć świadomość, że poniesie on odpowiedzialność za kontynuację procesu synodalnego lub za decyzję o jego przerwaniu. To kwestia życia i śmierci Kościoła założonego przez Jezusa". Mocne słowa w ustach kardynała będącego ofiarą prześladowań komunistycznego reżimu.

eprasa.pl 25fefa0eda

Czy kupowanie broni w Europie da nam większe bezpieczeństwo?

Nowa polityka pozyskiwania sprzętu wojskowego u europejskich producentów jest potrzebna przede wszystkim Niemcom i Francuzom, ale nie z powodów wojskowych czy strategicznych, lecz ekonomicznych, bo w ostatnich latach ich gospodarki słabo się rozwijają. A to ma niewiele wspólnego ze wzrostem bezpieczeństwa Polski. Wręcz przeciwnie. Dlaczego? Bo uzależnia nas od dostaw uzbrojenia od zachodnich partnerów

MAREK BUDZISZ

W czasie swej pierwszej podróży zagranicznej w pierwszym dniu urzędowania niemiecki kanclerz Friedrich Merz w kilku wypowiedziach przedstawił swą wizję przyszłości Europy. W Paryżu zapowiedział stworzenie stałego mechanizmu konsultacji, powołania czegoś w rodzaju francusko-niemieckiej rady bezpieczeństwa i obiecał „strategiczne przebudzenie Europy", co ma mieć związek ze zwiększeniem wydatków na obronność.

W Warszawie deklarował zarówno odbudowę Trójkąta Weimarskiego, jak i wkład finansowy w bezpieczeństwo na wschodniej granicy. Jego zdaniem Europejczycy muszą się zbroić, redukując przy tym zbyt dużą różnorodność produkowanego sprzętu, oraz umiejętnie zarządzać relacjami z USA. Nie chodzi bowiem, aby zrywać z Waszyngtonem, ale za jego zgodą i pod niemiecko-francuskim przywództwem zbudować suwerenność strategiczną naszego kontynentu. Jej elementem ma być nowa, w zamierzeniach wspólna polityka zakupów uzbrojenia, czemu patronuje Unia Europejska, ogłaszając program ReArm Europe, przemianowany ostatnio na „Gotowość 2030".

POBUDZIĆ GOSPODARKĘ

Nowa polityka pozyskiwania sprzętu wojskowego u europejskich producentów jest potrzebna przede wszystkim Niemcom i Francuzom, ale nie z powodów wojskowych czy strategicznych, lecz bardziej przyziemnych – ekonomicznych, bo w ostatnich latach ich gospodarki słabo się rozwijają. Kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, pozbawiona tanich dostaw energii i rynku zbytu w Rosji niemiecka gospodarka znalazła się w recesji, a firmy zaczęły zwalniać pracowników. Sebastian Schulte z produkującej ciągniki rolnicze firmy Deutz zapytał swych kolegów na posiedzeniu zarządu: „A co z produkcją wojskową?". Podobne pytania zaczęli stawiać prezesi innych niemieckich firm, zwłasz-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 25fefa0eda

cza kiedy zaczęło spadać zapotrzebowanie sektora samochodowego na dostawy części i podzespołów.

W efekcie, jak relacjonuje dziennik „The Financial Times", w niemieckich firmach zaczął się ożywiony ruch, którego celem było przestawienie części niewykorzystanych mocy produkcyjnych na potrzeby produkcji zbrojeniowej. „Deutz jest jedną z wielu firm z niemieckiego sektora Mittelstand – sieci małych i średnich przedsiębiorstw stanowiących trzon największej gospodarki Europy – piszą dziennikarze – które wykorzystały okazję i chcą skorzystać z rosnących wydatków na broń w kraju stojącym w obliczu pogłębiającego się kryzysu przemysłowego". Ogłoszone przez rząd Merza plany wydania do 2030 r. nawet 500 mld euro na zakupy sprzętu zbrojeniowego i programy UE w tym zakresie mają być ratunkiem dla pogrążonej w recesji niemieckiej gospodarki.

Eksperci Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii szacują, że zapowiadany w związku z planami zwiększenia wydatków obronnych państw NATO wzrost wydatków zbrojeniowych przełoży się na ożywienie koniunktury. W efekcie zbrojeń wzrost PKB w państwach Unii ma wynieść 0,9–1,5 proc. Ale, jak zauważa przywoływany przez WirtshaftsWoche Ethan Ilzetzki, autor badań, warunkiem jest, aby „pieniądze zostały w Europie". Nie bez znaczenia pozostaje też to, które z państw Wspólnoty przejmie największą część nowych kontraktów zbrojeniowych, bo wówczas to tam powstaną nowe miejsca pracy i poprawi się koniunktura ekonomiczna.

POLSKA NA TYM NIE SKORZYSTA

To wyjaśnia, dlaczego w ostatnich głosowaniach w Parlamencie Europejskim posłowie z Niemiec i Francji, nie zwracając uwagi na pokorne prośby ich kolegów z Platformy Obywatelskiej, tak zakreślili reguły uczestnictwa w finansowanych z kasy UE projektach wspólnych zakupów uzbrojenia, że w praktyce wykluczyli z nich firmy z Polski. W pierwszym rzucie państwa członkowskie mogą się ubiegać o pożyczki warte 150 mld euro, aby sfinansować zakupy zbrojeniowe. Jednak aby dostać te środki, trzeba spełnić wiele wyśrubowanych wymagań, w tym pozyskiwać sprzęt, który spełnia wymogi „europejskości". Komisja Europejska – i może o to chodzi – ma rozstrzygać, którzy producenci będą tak traktowani. Na razie „europejscy" są dostawcy z Norwegii, Szwajcarii i Turcji, ale już nie Wielkiej Brytanii i USA. Druga, warta nawet 650 mld euro, część programu wspierania zbrojeń to już nawet nie tylko kredyty pozyskiwane przez Wspólnotę i później redystrybuowane wśród państw członkowskich. Wymagana będzie też zgoda Brukseli, czyli w praktyce Ursuli von der Leyen, aby państwa mogły się zadłużyć i krok ten nie spotkał się z wrogą reakcją KE pilnującej, aby deficyt budżetowy nie przekroczył dopuszczalnych rozmiarów. Praktyka w tym obszarze jest uznaniowa, państwa członkowskie składają indywidualne wnioski w tej sprawie, a jak relacjonował niedawno portal Politico, do tej pory wpłynęło już 17 takich próśb. Automatyzmu nie będzie i tak jak w przypadku deficytu budżetowego KE może się okazać łaskawa dla notorycznie niedotrzymującej zobowiązań Francji czy posłusznej politycznie Rumunii, a sroga dla Polski.

Tracić będziemy również w wyniku tego, że znacznie wcześniej niż nasi europejscy partnerzy zaczęliśmy modernizację sprzętową naszej armii. Problemem jest to, że kupowaliśmy czołgi w Ameryce i Korei Południowej, chcąc je szybko otrzymać, a nie postępowaliśmy tak jak np. Czesi, Węgrzy czy Norwegowie, którzy jak zwykle złożyli zamówienia na niemieckie leopardy. Nie kupowaliśmy w Europie, dlatego będziemy mieć problemy z uzyskaniem certyfikatów „europejskości" sprzętu, bo o tym będzie decydować procent podzespołów i części pochodzących z państw naszego kontynentu, a my, nawet jeśli uda nam się „spolszczyć" technologie, na co potrzebny będzie czas, możemy mieć problem z zakwalifikowaniem się do wspólnych europejskich projektów.

TWARDO Z BRYTYJCZYKAMI

Nie dotyczy to wyłącznie Polski. Na razie z programu zostali wykluczeni również Brytyjczycy. Jak może to wpłynąć na „europejskie" zdolności obronne, warto wyjaśnić na przykładzie MBDA, największego na naszym kontynencie producenta rakiet zaliczanego do pierwszej dziesiątki światowych firm zbrojeniowych. W tym przypadku problemem jest to, że firma ta, zbudowana w wyniku fuzji przedsiębiorstw francuskich, włoskich, niemieckich i brytyjskich, zlokalizowała swe zakłady wytwarzające systemy napędowe do produkowanych przez siebie rakiet na Wyspach, co oznacza, że w świetle reguł obwieszczonych przez KE nie będą one spełniać kryteriów „europejskości" i nie będą uprawnione do finansowania z programu ReArm Europe. Jeśli termin składania wniosków mija latem 2027 r., a w ramach wspierania polityki wspólnych zakupów Bruksela nałożyła też obowiązek ubiegania się o dofinansowanie przez co najmniej trzy uprawnione kraje, to okazuje się, że czasu na skompletowanie dokumentów i złożenie skomplikowanego wniosku jest po prostu mało. Te ograniczenia są o tyle dziwne, że jednym z priorytetów opisanych w raporcie „Europejska Gotowość Obronna 2030" jest budowa systemów obrony przestrzeni powietrznej. Ale może nie ma się czym przejmować, bo z informacji podanych przez dziennik „The Financial Times" wynika, że MBDA ma wypełniony portfel zamówień na siedem najbliższych lat, więc i tak nie może być mowy o znaczącym wzroście produkcji.

Brytyjczycy chcą szybkich negocjacji mających prowadzić do włączenia ich kraju do grona uprawnionych producentów, ale tu pojawiły się dodatkowe trudności. Jak donosił dziennik „The Telegraph", negocjatorzy ze strony KE uzależniają decyzję od ustępstw Wielkiej Brytanii na innych polach negocjacyjnych, takich jak prawa połowowe dla francuskich rybaków czy zmiany w polityce wymiany młodzieży. Na dodatek w toku rozmów – o czym napisali dziennikarze „Timesa" – europejscy negocjatorzy zaczęli się domagać od Londynu specjalnych opłat za dopuszczenie firm brytyjskich do europejskiego rynku broni i zapowiedzieli, że podpisanie ramowej umowy nie wystarczy, bo każdy producent będzie musiał negocjować odrębne porozumienie. Pojawiły się też zastrzeżenia wobec brytyjskich certyfikatów i tych „wątpliwości" nie rozwiewa to, że mamy do czynienia z państwem członkowskim NATO.

O CO TROSZCZY SIĘ KOMISJA EUROPEJSKA

Trudno się oprzeć zatem myśli, że Komisja Europejska, mówiąc o odbudowie

eprasa.pl 25fefa0eda

zdolności naszego kontynentu do obrony, nie spieszy się i dba o to, aby gros kontraktów trafiło do tych, którzy mają je otrzymać, czyli firm francuskich i niemieckich. Jeśli jednak ograniczyć konkurencję, to pojawia się – o czym w opublikowanym niedawno raporcie napisał think tank Breugel z siedzibą w Brukseli – problem inflacji, czyli wzrostu cen sprzętu wojskowego. W świetle ocen autorów opracowania w Europie już obecnie produkuje się znacznie drożej niż np. w USA. To się może zmienić, jeśli zamówienia będą większe i dadzą producentom perspektywy rozwoju liczone w dziesięcioleciach, bo na krótką metę polityka „kupuj europejskie" oznacza, że będziemy pozyskiwać sprzęt drożej, dłużej czekać na dostawy i kupimy platformy bojowe, które nie należą do najnowocześniejszych, bo producenci z naszego kontynentu zdecydowanie odstają od poziomu osiągniętego przez konkurencję, i to w wielu segmentach.

Najlepiej widać to na przykładzie kosmicznej łączności satelitarnej, bez której nie da się wygrać współczesnej wojny. Na rozwój tego segmentu „europejskich zdolności" Bruksela przeznaczyła 6 mld dol., co stanowi 60 proc. kosztów całego przedsięwzięcia i w 2030 r. chce mieć 272 satelity komunikacyjne na niskich orbitach Ziemi. Tylko że SpaceX Elona Muska już obecnie ma ich 7,2 tys. i 40 tys. odbiorników tylko na Ukrainie.

NIEMCY MOGĄ, INNI NIE

Z programami zapowiadanymi przez Komisję Europejską jest jeszcze jeden problem – nie wystarczą, aby uzupełnić luki w zdolnościach wojskowych państw naszego kontynentu. Wspomniane 150 mld euro to tylko część najpotrzebniejszych wydatków na broń, szacowanych przez Brukselę na 400 mld euro. Kolejnym problemem jest to, o czym też napisali eksperci think tanku Breugel. Ich zdaniem dofinansowanie przez Brukselę odsetek od zaciągniętych przez państwa członkowskie długów i wydłużenie okresu ich spłaty – a na tym w praktyce polega pierwsza transza programu ReArm Europe – nie rozwiąże problemu. Z tego powodu, że państwa, takie jak Włochy, Hiszpania, Francja czy Belgia, mając już dług publiczny, który przekroczył 120 proc. PKB, niezależnie od wielkości odsetek, jakie przyjdzie im płacić, nie są w stanie zaciągać kolejnych kredytów. A poza tym nie czują się one tak zagrożone jak państwa na wschodniej flance NATO, co oznacza, że ich społeczeństwa nie odczuwają tak silnej presji jak na Wschodzie i nie są gotowe obniżyć poziomu swego życia, aby wzmocnić odstraszanie Rosji. W praktyce wydatki zwiększą Niemcy (co już zapowiedzieli) i to oni będą chcieli, aby ich przemysł skonsumował większość środków przeznaczonych na „europejskie zbrojenia".

> W ostatnich głosowaniach w Parlamencie Europejskim posłowie z Niemiec i Francji tak zakreślili reguły uczestnictwa w finansowanych z kasy UE projektach wspólnych zakupów uzbrojenia, że w praktyce wykluczyli z nich firmy z Polski

CO ZROBIĄ AMERYKANIE?

Trzeba jednak zauważyć, iż budowa zdolności wojskowych państw naszego kontynentu, zwłaszcza jeśli przybierze formułę kupowania u wybranych producentów i dyskryminowania dostawców ze Stanów Zjednoczonych, jest też scenariuszem potencjalnie groźnym z innego jeszcze powodu.

Przed szczytem NATO w holenderskiej Hadze w Kwaterze Głównej są prowadzone analizy, ile czasu państwa europejskie będą potrzebowały, aby wypełnić lukę w swych zdolnościach do obrony jeśli Amerykanie zdecydowaliby się zredukować swą wojskową obecność na Starym Kontynencie. Wyzwanie jest poważne, bo w świetle obliczeń niemieckiego think tanku IFO Europejczycy musieliby wystawić dodatkowo 300 tys. wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, bo tyle wynosi amerykański wkład w obronność naszego kontynentu. Wstępne szacunki Kwatery Głównej Sojuszu wskazują, że będziemy potrzebowali na to 5–10 lat, ale wyłącznie w ramach uzgodnionego w szczegółach z Amerykanami scenariusza stopniowego wycofywania się przez nich z Europy i zastępowania ich zdolności potencjałem państw europejskich. Z tego powodu, jak informują media zachodnie, Sekretarz Generalny NATO Rutte wywiera presję na stolice państw europejskich, aby te nie podejmowały kroków, które mogą być odebrane w Waszyngtonie jako wrogie posunięcia. Jeśli Europejczycy przeforsują zasadę „kupuj u swoich" i wykluczą z kontraktów firmy amerykańskie, w świetle tych ocen Trump może podjąć decyzję o przyspieszonym wycofaniu części sił wojskowych np. z Niemiec i bezpieczeństwo państw europejskich zostanie osłabione. Taki scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, że przedstawiciele obecnej administracji wielokrotnie podkreślali, że „nie ma darmowych obiadów", bezpieczeństwo kosztuje i Ameryka oczekuje zrównoważenia bilansu handlowego. Europa ma nadwyżkę w handlu towarami ze Stanami Zjednoczonymi szacowaną w 2024 r. na ponad 157 mld dol., ale jest ona głównie udziałem Niemiec, w przypadku których według wstępnych obliczeń Statistisches Bundesamt wynosi ona niemal 70 mld dol. Jeśli zatem niezbyt przychylna stolicom Europy Zachodniej administracja Trumpa uzna, że odbudowa wojskowych zdolności naszego kontynentu przybiera antyamerykańskie oblicze, to może się zdecydować na przyspieszenie wycofywania się. A to będzie oznaczało, że realizując polityczne ambicje Macrona, marzącego o pozycji wojskowego lidera Europy, i zaspokajając gospodarcze interesy Niemców, chcących większymi wydatkami na zbrojenia rozruszać swą gospodarkę, będziemy płacić interesami bezpieczeństwa Polski.

Jeśli Amerykanie wycofają się, zanim Europa odbuduje swe zdolności wojskowe, to przewaga Rosjan wzrośnie i trudno oczekiwać, że Moskwa tego nie wykorzysta. Powtarzając slogany o europejskich zdolnościach i popierając politykę zakupów uzbrojenia w państwach naszego kontynentu, należy pamiętać o tym ryzyku.

eprasa.pl 25fefa0eda

Simion idzie po prezydenturę Rumunii

Teraz widać, że precedensowe unieważnienie ubiegłorocznych wyborów prezydenckich w Rumunii, pierwsze w historii Unii Europejskiej, było wyjątkowo nieroztropnym posunięciem tamtejszego polityczno-sędziowskiego establishmentu. Dla tak drastycznego kroku wywracającego demokratyczny stolik trzeba mieć bowiem wyjątkowo mocne przesłanki, o ile potem nie chce się ponieść jeszcze większej klęski

JAN ROKITA

Wybory prezydenckie w Rumunii odbywają się dwa tygodnie przed wyborami polskimi. A po ich pierwszej turze wiele zdaje się wskazywać na to, iż w niedzielę 18 maja, gdy u nas będą się rozstrzygać dopiero wyniki pierwszej tury, 39-letni George Simion, prawicowiec i wypróbowany przyjaciel Polski, zostanie prezydentem

Fot. Vadim Ghirda/AP Photo/East News

eprasa.pl 25fefa0eda

Rumunii. Rzecz jasna o wiele bardziej problematycznie wygląda wynik polskich wyborów. Jeśliby jednak 1 czerwca w Polsce to prawicowiec Karol Nawrocki został wybrany głową państwa, to oś Warszawa–Bukareszt nadałaby nową dynamikę całej polityce europejskiej.

Po pierwsze dlatego, że taki podwójny sukces prawicy zasadniczo zwiększyłby siłę międzynarodówki EKR, której liderami są dziś Mateusz Morawiecki i Giorgia Meloni, tworząc tym samym wzmocnioną presję ideową na Brukselę. A po drugie, pewnie ważniejsze, bo zarówno w Polsce, jak i w Rumunii utrzymanie władzy przez osłabione rządy centrolewicy musiałoby stanąć pod znakiem zapytania. Zresztą w Bukareszcie już po pierwszej turze wyborczej, w której kandydat obozu rządowego znalazł się na trzecim miejscu, premier Ciolacu zapowiedział swoją dymisję.

AKTYWISTA, ANTYKOMUNISTA, „NEOFASZYSTA"

Simion to ze wszech miar ciekawa postać polityczna, choć z pewnością nie tak charyzmatyczna jak Călin Georgescu, który – trochę niczym Trump – ma zdolność hipnotyzowania mas. To właśnie z powodu sukcesu Georgescu w listopadowych wyborach zostały one unieważnione, a zwycięskiemu kandydatowi postawiono zarzut karny „zamachu na ustrój konstytucyjny Rumunii", wykluczając go tym samym z kandydowania w powtórzonej teraz elekcji.

Simion (trochę podobnie jak jego polski kolega Janusz Kowalski) wdarł się do polityki jako młody chłopak organizujący emocjonujące akcje przeciw postkomunistom dominującym w rumuńskiej polityce po 1989 r. A także patriotyczne obchody ku czci ofiar antykomunistycznych rozruchów w Timișoarze z grudnia 1989 r. oraz tragicznego strajku górników z czerwca 1990 r., krwawo stłumionego na rozkaz wszechwładnego prezydenta Iona Iliescu (oskarżonego potem o ludobójstwo).

Ale znakiem szczególnym kampanii, które Simion prowadził przez lata, nim jeszcze założył partię i stał się profesjonalnym politykiem, było hasło jedności Rumunii i Mołdawii. Na temat tej ostatniej Simion napisał nawet książkę, sugerując nie bez racji, że słaba i biedna Mołdawia ma nikłe szanse na utrzymanie niepodległości w tym geopolitycznym miejscu, w którym się znajduje – pomiędzy Dniestrem i Prutem, obok okupowanego przez Moskwę Naddniestrza.

> Kluczowymi punktami odniesienia w europejskiej polityce są dla Simiona PiS i Bracia Włosi, partnerzy ze wspólnej międzynarodówki EKR. Rumuński polityk mówi, że chciałby iść tropem polityki prowadzonej dziś przez Meloni, a podpisy pod swoją prezydencką kandydaturą szedł składać wraz z zaprzyjaźnionym z nim Morawieckim

Inicjatywą Simiona było m.in. zniesienie przez Bukareszt wiz wjazdowych dla mieszkańców Mołdawii, co pod presją stworzonego przezeń ruchu społecznego wprowadził rząd rumuński. Polityk od wielu lat organizował niezliczone akcje mające ożywiać rumuński patriotyzm zarówno w samej Rumunii, jak i w Mołdawii, w rodzaju „Dni języka rumuńskiego", „Szkoły kultury rumuńskiej", „Besarabia bez paszportu" albo „Poznaj swój kraj". W ramach tej ostatniej ponad 100 tys. mieszkańców Mołdawii mogło odwiedzić Rumunię, często po raz pierwszy w życiu.

To chyba ów tradycjonalny rumuński patriotyzm, kultywowany przez Simiona na przekór tak postkomunistom władającym w Bukareszcie, jak i oligarchom z Kiszyniowa, sprawił, że dla głównonurtowych mediów już dawno temu stał się on „neofaszystą". To zresztą ciekawa sprawa, zważywszy na oczywiste sprzeczności pomiędzy obiegową reputacją Simiona w Europie Zachodniej i poglądami głoszonymi przez niego, a od 2019 r. również przez założoną przezeń partię – Sojusz na rzecz Jedności Rumunów (AUR). Zaglądając do Wikipedii, można się dowiedzieć, że Simion jest uważany za „neofaszystę, antysemitę, antyszczepionkowca i putinowca". Ta „gęba" doczepiona mu przez jego przeciwników i lewicowe media mocno do niego przylgnęła, zwłaszcza w Europie.

Lecz jeśli czyta się bliżej historię działalności politycznej Simiona, rychło się można przekonać, że ów antyszczepionkowiec nie bez racji krytykował radykalizm lockdownów w czasie zarazy, ale też nie krył tego, że dla bezpieczeństwa szczepi własne dzieci. Ów antysemita okazuje się twardym obrońcą izraelskiej prawicy premiera Netanjahu. A ów putinowiec jest co prawda sceptyczny wobec zbrojenia Ukrainy, ale powtarza (nawet ostatnio w wywiadzie dla „Financial Times"), że „Rosja Putina stanowi największe zagrożenie dla Rumunii, Polski i krajów bałtyckich", więc konieczne jest wzmacnianie NATO, amerykańskie przywództwo i szybkie zbrojenie się krajów sojuszu. Co więcej, kluczowymi punktami odniesienia w europejskiej polityce są dla Simiona PiS i Bracia Włosi, partnerzy ze wspólnej międzynarodówki EKR. We wspomnianym wywiadzie mówi, że chciałby iść tropem polityki prowadzonej dziś przez Giorgię Meloni, a podpisy pod swoją prezydencką kandydaturą szedł składać do rumuńskiej komisji wyborczej wraz z zaprzyjaźnionym z nim Mateuszem Morawieckim. Te dwie polityczne przyjaźnie Simiona dobitnie świad-

eprasa.pl 25fefa0eda

czą o jego poglądach i linii politycznej, jaką może wytyczyć jako głowa rumuńskiego państwa.

WYSTRASZONA ELITA WŁADZY

Simion budował swą karierę już od jakiegoś czasu, a partia AUR, sceptyczna wobec hiperglobalizacji i rewolucji obyczajowej, krok po kroku wzmacniała swój potencjał. Rok po powołaniu jej przez Simona, w wyborach 2020 r., otrzymała 500 tys. głosów. Cztery lata później, po ostrej krytyce twardych lockdownów blokujących rumuńską gospodarkę w czasie zarazy oraz po fali uchodźców z Ukrainy, którzy w Rumunii nie zostali przyjęci aż tak entuzjastycznie jak w Polsce, w ubiegłorocznych wyborach zyskała aż 1,7 mln głosów. Tym samym stała się główną siłą opozycyjną w Rumunii – tak jak PiS w Polsce, AfD w Niemczech czy RN we Francji, oczekującą na nieuchronne (wcześniej czy później) zdobycie władzy.

Ale dopiero zdumiewające unieważnienie ubiegłorocznych listopadowych wyborów dało Simionowi i jego partii nowy impet. Co prawda do końca nie było jasne, czy wystraszona rumuńska elita władzy w ogóle dopuści kandydaturę rzekomego „neofaszysty, antysemity, antyszczepionkowca i putinowca". Więc też pewnie nie było przypadku w tym, że ze swoim zgłoszeniem i podpisami Simion wolał iść do komisji wyborczej w „ubezpieczającej" go asyście Morawieckiego.

Prawdopodobieństwo ostatecznej wygranej Simiona jest duże, co widać po wynikach pierwszej tury. Dostał w niej 41 proc. głosów, wygrywając w 36 z 47 okręgów wyborczych, a jego liberalny konkurent, burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan, 21 proc. Druga tura wyborcza nigdy nie niweluje tak wielkich różnic. Ale na rzecz zwycięstwa Simiona przemawiają jeszcze dwa argumenty. Pierwszy, iż Dan nie jest kandydatem starych partii obecnego establishmentu, zaś w drugiej turze znalazł się dlatego, iż minimalnie pokonał oficjalnego kandydata obozu władzy. Ta klęska centrolewicowej koalicji rządowej każe się spodziewać, że teraz znajdzie się ona w rozsypce, nie wykazując maksymalnej energii, jaka by była niezbędna do podjęcia rywalizacji z Simionem w drugiej turze. Sami rumuńscy analitycy przyznają, że Dan jest konkurentem raczej wygodnym dla lidera AUR.

DOWODÓW NADAL BRAK

Ale jest coś jeszcze, co nie tylko działa na rzecz zwycięstwa Simiona, lecz także stanowi sedno problemu obecnych, trzeba to przyznać, niezwykłych rumuńskich wyborów. Kiedy w listopadzie 2024 r. głosowanie prezydenckie odbyło się po raz pierwszy, pierwsze miejsce zajął charyzmatyczny Georgescu z wynikiem 23 proc. W powtórzonej teraz, po pięciu miesiącach, pierwszej turze popierany przez niego Simion otrzymał prawie dwa razy więcej głosów. To fakt trudny do przecenienia, patrząc nie tylko z perspektywy rumuńskiej polityki.

Teraz widać, że precedensowe unieważnienie wyborów, pierwsze w historii Unii Europejskiej (pomijając sknocone organizacyjnie wybory regionalne w Berlinie), było wyjątkowo nieroztropnym posunięciem polityczno-sędziowskiego establishmentu. Dla tak drastycznego kroku wywracającego demokratyczny stolik trzeba mieć bowiem wyjątkowo mocne przesłanki, o ile potem nie chce się ponieść jeszcze większej klęski. Aż dziw, że rumuńscy politycy i sędziowie starający się za wszelką cenę obronić hegemonię liberalno-postkomunistycznej elity władzy tego nie pojęli. A dziw jeszcze większy, że tego rodzaju naiwność wykazali również analitycy europejskich mediów i brukselska unijna elita, niekryjąca najpierw presji, a potem entuzjazmu, gdy unieważniono wybory, a Georgescu oskarżono o zbrodnię stanu.

Rzecz bowiem w tym, że powodem unieważnienia wyborów miało być rzekome sterowanie ich wynikiem przez Moskwę, zaś przesłanką zarzutów wobec Georgescu – odkrycie jakichś niesamowitych faktów przez rumuńskie służby specjalne. Po upływie pięciu miesięcy od pamiętnego orzeczenia z 6 grudnia 2024 r. nadal nie wiadomo niczego konkretnego ani na temat działań Moskwy, ani o dowodach na przestępstwa stanu, jakich miałby się dopuścić prawicowy kandydat. A już swoiste kuriozum stanowią wyjaśnienia dotychczasowego prezydenta Klausa Iohannisa, który pytany o te dowody mówi, iż sterowanie wyborami z Moskwy „jest w praktyce prawie niemożliwe do udowodnienia, gdyż są to akcje tak szerokie i tak złożone, że nikt poza państwami nie byłby w stanie ich przeprowadzić". Po czym konkluduje: stąd wiemy, że to Rosja. Rzecz jasna, nie mam żadnych przesłanek, aby potwierdzać albo zaprzeczać wersji Iohannisa. Dziwne tylko, iż zdaniem odchodzącego prezydenta Rumunii brak dowodów jest właśnie zasadną i logiczną przyczyną unieważnienia wyborów.

Identycznie rzeczy się mają, gdy idzie o zarzuty karne wobec Georgescu. Premier Ciolacu zapowiadał, iż podstawy tego oskarżenia zostaną ujawnione przez służby specjalne i wtedy okażą się druzgocące. Znów nic takiego się nie zdarzyło. Być może istnieją mocne podstawy owego oskarżenia, które ciągle są utajnione, ale być może nie istnieją i nigdy nie istniały. Zdrowy rozsądek każe zakładać prawdziwość tej drugiej wersji. Tak bardzo bowiem obawiano się zwycięstwa prawicowego polityka, który swą popularność zbudował na reklamie na TikToku, że uznano, iż w żadnym razie nie można go dopuścić do powtórnych wyborów. Zdaje się więc, że jedyny twardy dowód, jaki pozostał przeciw niemu, to właśnie fakt owej zdumiewająco skutecznej kampanii na TikToku. Ale czy w dzisiejszych realiach mediów społecznościowych taki zarzut może być podstawą decyzji o wykluczeniu najpopularniejszego kandydata z wyborów na urząd głowy państwa?

Zapewne takie pytanie musiały sobie postawić tysiące rumuńskich wyborców, skoro teraz mamy zdwojony w stosunku do wyniku Georgescu sukces jego mniej charyzmatycznego i mniej emocjonalnego naśladowcy, jakim jest Simion. I to bez podobnej kampanii na TikToku. A przecież nie tak trudno było to wszystko przewidzieć!

eprasa.pl 25fefa0eda

Brytyjski duopol chwieje się w posadach

Partia Nigela Farage'a Reform UK zatriumfowała w wyborach samorządowych w Anglii. Polityk uważa, że jego ugrupowanie jest dziś jedyną prawdziwą partią opozycji. A ci, którzy kiedyś się z niego śmiali, nabrali wody w usta

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

O sukcesie świeżo upieczonej posłanki Sarah Pochin z partii Reform UK Nigela Farage'a zadecydowało zaledwie sześć głosów. Pochin wygrała w wyborach uzupełniających do Izby Gmin w okręgu Runcorn and Helsby, gdzie zwolnił się poselski mandat Mike'a Amsebury'ego z Partii Pracy, który pobił jednego ze swoich wyborców. Amesbury, mający problemy z alkoholem i panowaniem nad sobą, nie miał ochoty słuchać pretensji mężczyzny w sprawie zamknięcia lokalnego mostu. Od początku było jasne, że laburzystom nie będzie łatwo zachować tego mandatu, mimo iż zdobyli go w wyborach parlamentarnych w lipcu 2024 r. przewagą ponad 14 tys. głosów. Pewnie by wypadało, by premier Keir Starmer wsparł swoją kandydatkę Karen Shore, ale ani razu nie pojawił się on w okręgu. Shore przegrała, a kandydat torysów Sean Houlston wypadł jeszcze gorzej.

Na domiar złego Reform UK odniosła miażdżące zwycięstwo w wyborach samorządowych 1 maja, gdzie zdobyła ponad 40 proc. miejsc w samorządach we wschodniej i południowej Anglii. Był to poważny sprawdzian po zeszłorocznych wyborach parlamentarnych wygranych wówczas przez Partię Pracy. Do obsadzenia było 1641 mandatów spośród 17 tys. radnych. Labourzyści zdobyli zaledwie 98. Niewiele mniej uzyskali kandydaci niezależni – 89 i Zieloni – 80. Znacznie lepiej poszło konserwatystom – 317 i liberalnym demokratom – 370. Prawdziwym zwycięzcą okazała się jednak Reform UK – zdobyła 677 mandatów. Jak pisze „The Spectator", partia Farage'a uzyskała najlepsze wyniki w miejscach, w których w 2016 r. większość głosowała za brexitem. W okręgach, w których ponad 65 proc. głosowało za wyjściem z UE, Reform UK zdobyła średnio 45 proc. głosów.

CZŁOWIEK KOZA

Brak pełnej realizacji brexitu, znaczne zmniejszenie się bazy wyborczej torysów, wysokie koszty życia, rosnąca przestępczość i migracja, która wciąż wydaje się poza kontrolą są wymieniane przez media i ekspertów jako powody wyborczego sukcesu Reform UK. Ale jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego wyborcy odwrócili się od głównych partii, musimy przytoczyć przypadek „goat mana", człowieka kozy.

To właśnie w Runcorn, gdzie posłowie lubią bić obywateli, a laburzyści przegrali sześcioma głosami, jeden z mieszkańców wypełnił swój dom kozami i codziennie spalał ich odchody w ogrodzie. Mimo wielokrotnych apeli do władz nie podjęto żadnych działań. Według „The Spectator" przykładów takich antyspołecznych zachowań jest więcej, wliczając w to przede wszystkim imigranckie gangi. One również często pozostają bez odpowiedzi. „Brytyjskie miasta to dziś zamknięte puby, puste fasady zbankrutowanych sklepów i migranci na rowerach dostarczających jedzenie. Ludzie mają wrażenie, że ich kraj się stacza. Dlatego głosują na Farage'a" – podkreślił Luke Tryl z instytutu badań opinii More in Common. Według niego w grupach fokusowych tuż przed wyborami wyborcy z każdego środowiska opisywali kraj jako „bałagan" w stanie upadku. „Siedmiu na dziesięciu wyborców uważa, że żyje im się coraz gorzej" – dodał.

Nigel Farage

eprasa.pl 25fefa0eda

Farage, który wrócił do polityki po latach jako publicysta oraz uczestnik reality show, obiecuje, że „odzyska kraj" dla Brytyjczyków. To jego ulubione hasło wyborcze. Lider Reform UK chce zreformować służbę zdrowia, obniżyć podatki, ograniczyć migrację – tę legalną i nielegalną, zmuszając m.in. pracodawców do płacenia podatku od każdego ściąganego do kraju pracownika z zagranicy. Farage postuluje także porzucenie celów redukcji emisji CO_2, wyjście Wielkiej Brytanii z międzynarodowych organizacji czy zakaz „ideologii transpłciowej" w szkołach. Wszystko to przez lata było także w programie torysów, ale według Farage'a nie zostało zrealizowane, bo konserwatyści się „wyprzedali", „stchórzyli" i stali się „destrukcyjną lewicową organizacją jak cała reszta". Marzy mu się nowa prawica, prawdziwa, brexitowa, nieidąca na kompromisy z mainstreamem. Ludzie mają dość torysów, argumentuje, ale nie konserwatyzmu.

DALEJ I SZYBCIEJ, ALE DOKĄD?

W ub.r., po 14 latach rządów Partii Konserwatywnej, Brytyjczycy zagłosowali za zmianą i wybrali laburzystów. Tyle że ci wciąż nie dostarczyli tej zmiany. Starmer lubi powtarzać, że zmiany potrzebują czasu, a torysi pozostawili mu w spadku kryzys gospodarczy, ale wydaje się, że wyborcy nie kupują tej narracji. Skończyła im się cierpliwość. „Jakie zmiany, pytam się? Dalej i szybciej, dokąd dokładnie? To tylko gadanie" – mówiła w BBC jedna z mieszkanek okręgu Runcorn and Helsby. A jeden z radnych Partii Pracy, który chciał pozostać anonimowy, przyznał w rozmowie z rozgłośnią publiczną: „Nr 10 mówi, że musimy dalej dostarczać rozwiązania. Problem w tym, że ludzie nienawidzą tego, co im dotąd dostarczyliśmy".

Starmer dobrze sobie radzi na arenie międzynarodowej, w kwestii Ukrainy, obronności i bezpieczeństwa. Ale na froncie domowym sprawy wyglądają zgoła inaczej. Według sondażu YouGov 46 proc. ankietowanych ocenia go negatywnie. Dotychczasowe propozycje polityczne Partii Pracy spotkały się ze sprzeciwem rolników, emerytów i ekologów. A nieoczekiwany skok inflacji (o 2,6 proc.) postawił kanclerz skarbu Rachel Reeves w trudnej sytuacji. Większość, czyli 53 proc. wyborców (w tym 31 proc. tych, którzy głosowali na Partię Pracy w 2024 r.) uważa, że obecny rząd jest niekompetentny. Szczególnie negatywnie oceniane jest zmniejszenie dodatku na opał zimowy dla emerytów, podwyżka podatków i wcześniejsze zwalnianie przestępców – z których wielu jest recydywistami – w celu zmniejszenia przeludnienia więzień.

Tymczasem torysi nie mogą się pozbierać po zeszłorocznej porażce.

> Wejście Reform UK do samorządów przełamuje barierę, której nigdy nie pokonały poprzednie eurosceptyczne partie pod przewodnictwem Farage'a

Także ich nowa lider Kemi Badenoch mówi o czasie, który partia potrzebuje, by się odbudować i odzyskać zaufanie Brytyjczyków. Także w tym przypadku wyborcy najwyraźniej nie mają ochoty tyle czekać.

ZAŁAMANIE TRADYCYJNYCH LOJALNOŚCI

Wejście Reform UK do samorządów przełamuje barierę, której nigdy nie pokonały poprzednie eurosceptyczne partie pod przewodnictwem Farage'a. Partia Niepodległości Wielkiej Brytanii (UKIP) i Partia Brexitu zwyciężyły w wyborach europejskich odpowiednio w 2014 i 2019 r., ale nigdy nie przejęły całkowitej kontroli nad ani jednym hrabstwem w kraju. Zdaniem Farage'a oznacza to, że Reform UK pozostaje dziś główną partią opozycyjną i jest na dobrej drodze do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych w 2029 r.

Droga do tego zwycięstwa oczywiście wciąż jest daleka, jednak, jak wskazują eksperci, Reform UK to coś więcej niż partia skupiająca głosy protestu. Średni odsetek oddanych na nią głosów był uderzająco wysoki nie tylko w okręgach, których bronili torysi, lecz także tych, których broniła Partia Pracy. To oznacza, że Brytyjczycy mają dość dotychczasowego duopolu, który przez ostatnie 100 lat na zmianę rządził krajem. „Obie główne partie otrzymały zawiadomienie o potencjalnej trwałej eksmisji z Downing Street" – powiedział Robert Ford, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie w Manchesterze. Jak dodał, gdyby taki wynik miał miejsce w wyborach powszechnych „Partia Konserwatywna przestałaby istnieć jako znacząca siła w parlamencie". Tym bardziej że w wyborach samorządowych zyskali także Zieloni i Liberalni Demokraci, na których postawili bardziej lewicowi wyborcy rozczarowani rządami Starmera.

Zdaniem Claire Ainsley, byłej doradczyni Starmera, wynik wyborów samorządowych odzwierciedla również długotrwały trend, jakim jest zanik tradycyjnych lojalności partyjnych wśród wyborców. Laburzyści nie są już partią klasy robotniczej i związków zawodowych, a konserwatyści zamożnej klasy średniej w takim samym stopniu jak dotychczas. W zeszłorocznych wyborach powszechnych łączna liczba głosów oddanych na Partię Pracy i konserwatystów po raz pierwszy od 1922 r. spadła poniżej 60 proc., a laburzyści osiągnęli zwycięstwo zaledwie 34 proc. głosów. Teraz głosy Brytyjczyków dzielą się zatem między torysów, laburzystów, Reform UK, centrowych Liberalnych Demokratów, Zielonych i kandydatów niezależnych.

Brytyjska polityka staje się więc coraz bardziej niestabilna i nieprzewidywalna. Szefowa Zielonych Jenny Jones powiedziała Radio 5 Live, że w ciągu ostatnich ośmiu lat jej partia zwiększała liczbę radnych każdego roku. „Wygląda na to, że nadchodzi era polityki pięciu partii i to jest dla nas bardzo dobre, ponieważ gdy ludzie widzą, że mogą wybierać nie tylko pomiędzy Partią Pracy a Partią Konserwatywną, zaczynają rozglądać się za polityką, która im naprawdę odpowiada".

Fot. ComposedPix/Shutterstock.com

eprasa.pl 25fefa0eda

Połamana Kanada nie boi się Trumpa

Po płaczliwym jak Szymon Hołownia Justinie Trudeau nowy lider Kanady Mark Carney stał się tym, który miał siłę przeciwstawić się brutalnemu sąsiadowi z południa

DARIUSZ MATUSZAK

„Kanada nie jest na sprzedaż" – usłyszał Donald Trump od premiera Marka Carneya

Kiedy w styczniu premier Justin Trudeau zapowiadał swą rezygnację, wydawało się, że nic nie uratuje Liberalnej Partii Kanady (LPC). Po dziewięciu latach rządów jej notowania spadły do 19 proc., gabinet się rozpadał, a poparcie dla Konserwatywnej Partii Kanady (CPC) sięgało 45 proc. Ale w marcu br. stery LPC i rządu przejął Mark Carney i poprowadził partię do zwycięstwa w wyborach.

Jak to było możliwe, że złożeni do trumny liberałowie zmartwychwstali? Gdy Trudeau przekazywał tekę premiera, było wiadomo, że odchodzi nie tylko z powodu nieudolności, lecz także jako ofiara Donalda Trumpa. Ten okazał się jednak największym sprzymierzeńcem liberałów. Wszystko przez pełne pychy i arogancji wystąpienia, którymi zjednoczył Kanadyjczyków. A nowemu premierowi Markowi Carneyowi dał siłę, by przeciwstawić się zakusom Ameryki.

NIE PŁAKAŁ JAK TRUDEAU

Zaczęło się – jak zawsze w przypadku Trumpa – od wielkiego bum, a potem na Kraj Klonowego Liścia spadły kolejne ciosy. Pierwszym uderzeniem były 25-proc. cła na większość importowanych towarów. Na to taryfami odpowiedziały poszczególne prowincje, więc rozpętała się wojna handlowa i propagandowa. Media obiegały zdjęcia pokazujące, jak dzielny naród kanadyjski ściąga ze sklepowych półek amerykańskie towary, głównie whisky, i odgraża się, że nic już nie kupi od sąsiada. Gdy Trump zażądał, by Kanada zainwestowała 2 mld dol. w ochronę wspólnej, najdłuższej na świecie, liczącej 9825 km granicy, Carney odpowiedział, że zamiast tego wyda miliardy na obronę przed Ameryką, co było o tyle bezczelne, że Ottawa wzorem krajów europejskich oszukuje sojuszników NATO i przeznacza na obronność nędzne 1,3 proc. swego PKB. A zadaniem USA jest darmowa ochrona Arktyki, gdzie rozpycha się Rosja.

Kanadyjskie cła na niektóre amerykańskie towary, np. mięso czy nabiał, jeszcze przed Trumpem przekraczały 200 proc. i prezydent USA ma rację, wskazując na nieuczciwy handel, granicę, przez którą płyną narkotyki i imigranci, zobowiązania sojusznicze. Problem, że do uzasadnionych poczynań dołożył arogancką, poniżającą retorykę. Trump mówił o nielubianym, niemal pogardzanym Trudeau per „gubernator", a o Kanadzie, że będzie 51. stanem Ameryki. To nie był głupi wyskok, ale stały komentarz. Niech państwo pomyślą, jak oni się czuli, słysząc, że ich kraj to Dakota Północna, tyle że dla gejów. Krew się burzyła, więc wiwatowali na wiecach Carneya, który nie wydzwa-

Fot. Official White House Photo by Gabriel B Kotico

eprasa.pl 25fefa0eda

niał z błaganiami, nie płakał jak Trudeau, tylko wzywał na bój: „Prezydent Trump chce nas złamać, by Ameryka mogła nas podbić. Nie pozwolimy na to". Aż 37 proc. Kanadyjczyków uznało, że najważniejszą kwestią wyborów jest polityka i retoryka Trumpa, więc zmieniły się one w referendum przeciwko niemu i Ameryce.

SZTUCZNY KRAJ

Donald Trump przegrał, a zwycięzcą został Mark Carney. W przeciwieństwie do Justina Trudeau, złotego dziecięcia premiera Pierre'a Trudeau i kolekcjonującej znajomości Margaret Sinclair (nie bez powodów Kanadyjczycy uważają, że ojcem Justina jest Fidel Castro), ma zadatki na postać wybitną. Urodzony w zapadłej dziurze, gdzieś na wygwizdowie Terytorium Północno-Zachodniego, ukończył Harvard i Oksford, zrobił doktoraty z ekonomii i filozofii, pracował w instytucjach finansowych na całym świecie, został prezesem Banku Kanady, a nawet jako pierwszy cudzoziemiec Banku Anglii.

Stojące przed nim zadanie jest jednak tytaniczne, bo odziedziczył masę upadłościową. 14,5 proc. populacji żyje w skrajnym ubóstwie bądź jest nią zagrożone. Od 2015 r., kiedy premierem został Trudeau, ceny domów wzrosły o 70 proc., a czynsze o 66 proc. Jednym z powodów jest puszczona na żywioł imigracja. W kraju, który kilka lat temu miał tylu mieszkańców, co Polska, a dziś ma 40 mln, system się załamuje, gdy co roku przybywa pół miliona ludzi.

Kanada to niemal rozpadający się kraj. Nie bez powodów Trump mówi, że powinna zostać 51. stanem USA. Oto, co o swej „ojczyźnie" mówi Yves-François Blanchet, lider trzeciej największej partii – Bloku Quebeckiego: „Jesteśmy częścią sztucznego, pozbawionego znaczenia kraju zwanego Kanadą". Połowa mieszkańców francuskojęzycznego Quebecu chciałaby odłączenia od Ottawy. Po drugiej stronie kontynentu leży Alberta, która jest częścią Kanady od 1905 r. 40 proc. jej mieszańców chce secesji, a 20 proc. zapisałoby ją do USA. To jeden z paradoksalnych efektów Trumpa. Część Kanadyjczyków – tę większą – zjednoczył, a część pobudził do myśli o porzuceniu Kanady. Nawet w infrastrukturze kraj jest pęknięty na pół. Z powodu klimatyzmu i zablokowania budowy rurociągów gaz i ropa z Alberty płyną do wschodniej Kanady przez Amerykę. O ile w przypadku Quebecu można mówić o oddzielnej tożsamości, kulturze, to w przypadku Alberty chodzi o odrębność polityczną i gospodarczą. Nawet ci, którzy nie chcą secesji, mówią, że więcej ich łączy z Ameryką niż z Ottawą, która za Trudeau niszczyła gospodarkę prowincji. Powrót Trumpa przyjęto z radością jako zapowiedź końca szaleństw, a premier Alberty Danielle Smith odmówiła uczestnictwa w antyamerykańskiej krucjacie handlowej.

Jedną z pierwszych decyzji Carneya, który sam dorastał w Albercie, było zniesienie nałożonego przez Trudeau podatku węglowego. Pierwszą wizytę po wyborach złożył oczywiście w Waszyngtonie. Trump przywitał go ze śmiechem mówiąc, iż cieszy, się że premierem został ktoś, kto nienawidzi go mniej niż inni kanadyjscy politycy.

PATOLOGIE PATOLOGII I PANNA ŚMIERĆ

Carney odziedziczył kraj działający jak laboratorium inżynierii społecznej, w którym na ludności doświadczalnej są przeprowadzane eksperymenty lewackiej dystopii. Bada się, ile i w jakim czasie można zaaplikować postępu, by nie doszło do wybuchu. Albo pomoru. Nawet patologia przybrała patologiczną postać. Trudeau był pierwszym premierem, który układał rząd wedle parytetów płciowych, etnicznych, religijnych, seksualnych, a nawet zdrowotnych. O tym, jak działają szaleństwa, przekonał się nawet dwa lata temu w czasie wizyty premier Morawiecki, którego Trudeau publicznie odpytywał na okoliczność jakichś tam „stref wolnych od LGBT+". Wtedy w urzędowej kanadyjskiej nomenklaturze funkcjonowały już oficjalnie skróty typu 2SLGBTQI+, w którym mieści się np. pojęcie podwójnie seksualnie uduchowionych (two-spirit). Trzeba mieć łeb inżyniera od układów scalonych, by połapać się we wszystkich wariantach płci i relacji seksualnych.

Po drugiej stronie szczęścia czeka radosna panna śmierć. W Kanadzie eutanazja przestała być koszmarnym indywidualnym wyborem, a stała się promowaną polityką i zwykłą procedurą medyczną. Gdy chory pójdzie do lekarza, to ten mu zaordynuje leki, operację, dietę itd. albo zabicie. Oto program MAID: możemy pana zabić albo jak ma pan jakąś starą, zużytą matkę, to i ją. Państwowy system usuwania zbędnych ludzi to Medical Assistance in Dying – MAID, co oznacza pannę czy pokojówkę. Jakie chore mózgi wymyśliły, by pod słowem „panna" skryć śmierć?

O tym, jak wygląda trupia panna, opowiedziała w Izbie Gmin przykuta do wózka kombatantka, paraolimpijka Christine Gauthier. Kobieta zadzwoniła do Urzędu ds. Weteranów, by prosić o zainstalowanie podnośnika na schodach jej domku. Usłyszała, że nie pomogą, ale w ramach MAID mogą ją zabić. Joanna Cowie, która wykładała w college'u, ale epilepsja nie pozwoliła jej kontynuować pracy, mieszka z niepełnosprawną córką i miesięcznie dostaje 1,2 tys. dol. kanadyjskich zasiłków. Po opłaceniu leków i rachunków zostaje 56 dol. Kiedy zapadła na astmę i nowotwór, system zakwalifikował ją do zabicia. Roger Foley wylądował szpitalu. Tam nachodzili go wysłannicy śmierci. Dyrektor ds. etyki medycznej powiedział mu, że jego utrzymanie kosztuje 1,5 tys. dol. dziennie, więc przyszedł rozmawiać z nim o eutanazji.

System rozwija się bardzo sprawnie – w 2023 r. zabito 16 tys. osób. Co roku więcej i niedługo Kanada osiągnie równowagę pomiędzy imigracją a zabijaniem. Do uśmiercenia jest ok. 1,5 mln ludzi, bo wedle agencji Statistics Canada tyle jest ubogich niepełnosprawnych.

Trudeau przeprowadził też udany eksperyment w finansach i udowodnił jedną z teorii spiskowych. Naciśnięciem guzika pozbawił nieposłusznych obywateli dostępu do własnych pieniędzy. Tak zrobił z tymi, którzy w 2022 r. protestowali w pandemii przeciwko reżimowi sanitarnemu. Cyk i pieniądz znikł. Pokazał, jak wzorem chińskim zaprowadza się kredyt społeczny i jakim wspaniałym narzędziem dla reżimu jest pieniądz cyfrowy.

Taki to połamany, a także o chorej duszy kraj musi naprawiać Carney. Wielu Kanadyjczyków obawia się, że to jednak kolejny wysłannik piekieł, bo jest obywatelem świata – gdy objął tekę premiera, zrzekł się dwóch obywatelstw: brytyjskiego i irlandzkiego. To człowiek o idealnym życiorysie globalisty, więc przybywa tych, którzy chcą szukać normalności tam, gdzie rządzi szalony Trump.

eprasa.pl 25fefa0eda

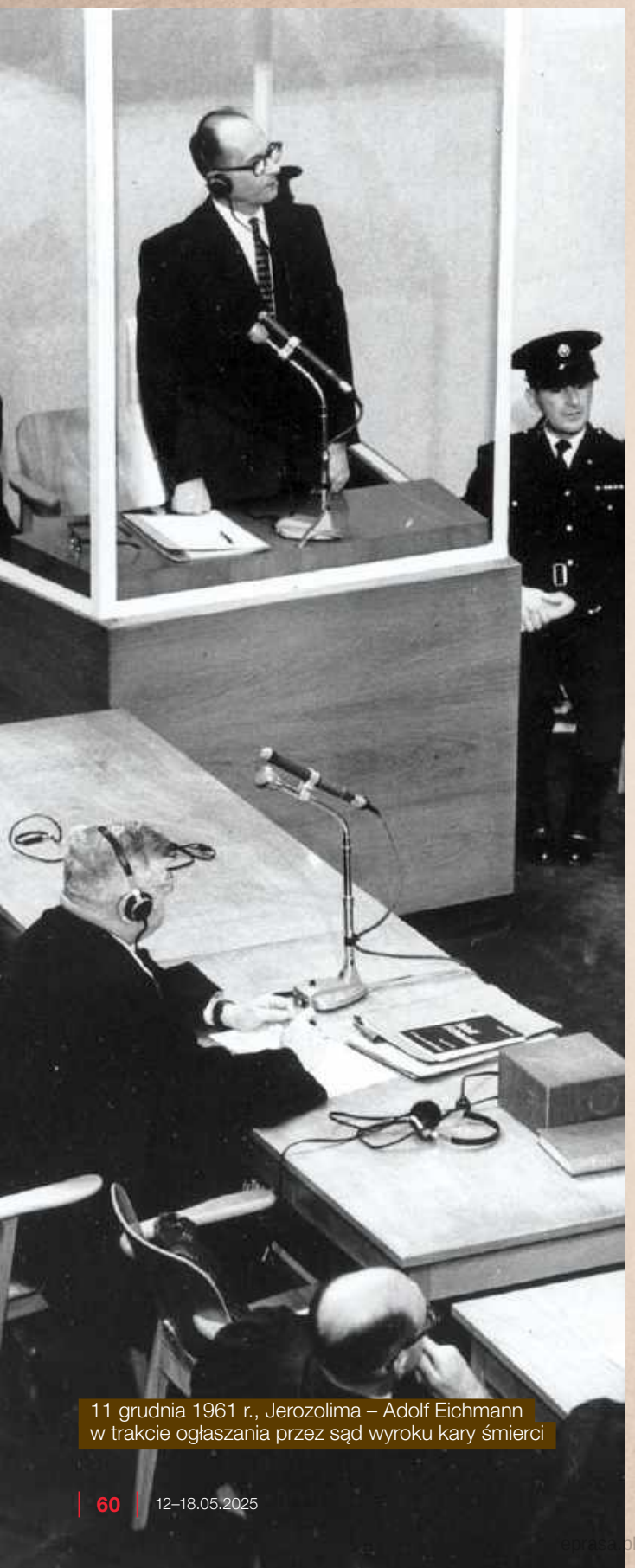

11 grudnia 1961 r., Jerozolima – Adolf Eichmann w trakcie ogłaszania przez sąd wyroku kary śmierci

Fot. ASSOCIATED PRESS/East News

Spóźniona sprawiedliwość – porwanie Adolfa Eichmanna

W maju 1960 r. izraelski wywiad dokonał jednej z najbardziej spektakularnych operacji – porwał Adolfa Eichmanna, niemieckiego zbrodniarza odpowiedzialnego za śmierć milionów Żydów, który przez lata ukrywał się w Argentynie pod fałszywym nazwiskiem. Jego proces w Jerozolimie był nie tylko sprawiedliwością, lecz także świadectwem historii, która nie pozwala zapomnieć o tragedii Holokaustu

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Była godzina 20:05. Na północnych krańcach Buenos Aires zaszło już słońce, dzięki czemu można było z ulgą odetchnąć chłodnym powietrzem. W podmiejskiej dzielnicy San Fernando z autobusu do swojego domu szedł niepozorny, średniego wzrostu mężczyzna po pięćdziesiątce. Pracował jako mechanik w zakładach Mercedesa, a do domu wracał zawsze tą samą drogą o tej samej porze. Tego dnia jego rutynę przerwali trzej mężczyźni, którzy wyskoczyli z zaparkowanego w cieniu drzew wynajętego czarnego chevroleta. Zaskoczyli go, obezwładnili i wciągnęli do środka.

eprasa.pl 25fefa0eda

Tak zakończyło się kilkanaście lat życia Adolfa Eichmanna pod fałszywym nazwiskiem Ricardo Klement. Kilkanaście dni później był już w Izraelu, gdzie miał odpowiedzieć za swoje zbrodnie.

ARCHITEKT ZAGŁADY

Adolf Eichmann był jednym z głównych wykonawców „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Jako oficer SS i członek Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy najpierw organizował tworzenie gett w okupowanej Europie, a od 1941 r. koordynował akcję eksterminacyjną. Podczas konferencji w Wannsee w styczniu 1942 r. Eichmann jako sekretarz protokołował spotkanie wysokich urzędników III Rzeszy, na którym ustalono techniczne szczegóły Holokaustu ludności żydowskiej. Jego referat zajmował się organizacją deportacji Żydów z całej Europy do obozów koncentracyjnych i zagłady. To on z zimną dokładnością opracowywał rozkłady jazdy pociągów do Auschwitz, Treblinki i Sobiboru.

Po wojnie Eichmann zeznał, że polecenia Hitlera traktował jako święte, a jego rola polegała tylko na „wykonywaniu rozkazów". W rzeczywistości był jednym z najważniejszych funkcjonariuszy realizujących plan zagłady. Likwidacja ludności żydowskiej pod jego nadzorem pochłonęła życie ok. 6 mln osób. Ludzie umierali w krematoriach, komorach gazowych, z głodu i wycieńczenia.

Po zakończeniu wojny Eichmann został schwytany przez Amerykanów, ale nie rozpoznany. Jeszcze w 1945 r., wykorzystując ogólny powojenny chaos, zdołał uciec z obozu jenieckiego. Przez kilka lat ukrywał się w Niemczech, a następnie z pomocą siatki wspierającej zbiegłych nazistów (m.in. ODESSA) przedostał się do Argentyny. W 1950 r. przybył do Buenos Aires, gdzie otrzymał tamtejszy dowód osobisty na nazwisko Ricardo Klement – urodzonego w Bolzano kawalera, z zawodu mechanika. Po kilku latach udało mu się ściągnąć na miejsce żonę i trzech synów. Przez całe lata żył spokojnie, unikał rozgłosu i pracował fizycznie. Początkowo w mało znanym przedsiębiorstwie budowlanym Capri, następnie próbował otworzyć pralnię i szukał zatrudnienia na farmie królików. Ostatecznie podjął pracę jako mechanik spawacz w fabryce Mercedes-Benz. Okazjonalnie kontaktował się z innymi ukrywającymi się niemieckimi zbrodniarzami, w tym z Josefem Mengele.

POSZUKIWANIA

Przez pierwsze kilka lat po II wojnie światowej wiele państw pozornie ścigało niemieckich i austriackich zbrodniarzy wojennych. Najbardziej znanym przewodem sądowym związanym z rozliczaniem nazizmu były tzw. procesy norymberskie. Skazano wówczas na śmierć i wykonano wyroki wobec części wysokich przywódców III Rzeszy. Niektórych przestępców sądzono także w Polsce, m.in. Rudolfa Hössa, komendanta obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Z czasem determinacja w tym zakresie wyraźnie spadła. Dwa powstałe państwa, RFN i NRD, nie wykazywały większego zainteresowania szukaniem zbrodniarzy wojennych w swoich społecznościach. USA, zaangażowane w zaostrzającą się zimną wojnę, także często korzystały z usług nazistów. Jednak Izrael nie chciał rezygnować z tropienia zbrodniarzy. Eichmann stał się symbolem bezkarności wielu sprawców Holokaustu, dlatego Mosad przez lata prowadził intensywne poszukiwania zbiega.

Przełom nastąpił w 1957 r., kiedy Lothar Hermann, żydowski emigrant mieszkający w Argentynie, skontaktował się z niemieckim prokuratorem żydowskiego pochodzenia Fritzem Bauerem. Jego córka spotykała się z młodym mężczyzną, który wyjawił jej, że jest synem weterana Wehrmachtu. Zdaniem Hermanna chodziło właśnie o Adolfa Eichmanna. Bauer przekazał tę informację izraelskiemu wywiadowi, który postanowił zweryfikować doniesienie. Wysłany na miejsce wywiadowca Mosadu nie zdobył jednak najnowszego adresu Eichmanna, który po przenosinach ukrywał się w północnej dzielnicy Buenos Aires Bancalari. Agent wrócił z niczym i sprawa przycichła.

W sprawę zaangażował się słynny łowca nazistów Szymon Wiesenthal. Pojawienie się w lokalnej gazecie w austriackim Altaussee kondolencji dla żony Adolfa Eichmanna Veroniki naprowadziło Wiesenthala na kontakt z jej rodziną mieszkającą w Austrii. Wysłany do matki Veroniki agent ustalił, że córka była aktualnie żoną Ricarda Klementa. Sprawa ruszyła ponownie. Dzięki tym informacjom izraelski wywiad namierzył nowy dom Eichmanna w Buenos Aires. Agent Mosadu Zwi Ahoroni legitymujący się jako przedstawiciel amerykańskiej firmy produkującej maszyny do szycia wszedł do domu Klementów. Udało mu się zrobić zdjęcie przedstawiające szczupłego, łysiejącego mężczyznę o wąskich wargach, z wąsami i dużym nosem, na którym opierały się okulary. Dowody uznano za wystarczające. Premier i minister obrony Izraela Dawid Ben Gurion zdecydował: „Sprowadźcie Eichmanna żywego lub martwego".

UPROWADZENIE

Misję koordynował sam szef Mosadu Isser Harel. Rozpoczęła się długa obserwacja domu podejrzanego. Zbierano materiały dowodowe, porównywano zdjęcia, analizowano szlaki Eichmanna. Zdecydowano, że porwanie nastąpi 11 maja 1960 r. Wtedy jak każdego dnia Eichmann wracał wieczorem z pracy autobusem. Kiedy wysiadł i ruszył w stronę domu, otoczyli go izraelscy agenci. Zmusili do wejścia do samochodu, po czym zawieźli do starannie przygotowanej i wytłumionej kryjówki 30 km od Buenos Aires. Tam przez dziewięć dni przetrzymywali go w ukryciu, przygotowując jednocześnie plan wywiezienia. Więzień nie podejmował prób ucieczki, był posłuszny i uległy. W swoim zachowaniu zupełnie nie przypominał bezwzględnego kata odpowiadającego za śmierć milionów ludzi. Kryjówkę odwiedzał Isser Harel, żeby upewnić się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Pod wpływem jednego z oficerów Mosadu, Petera Malkina, Niemiec zgodził się podpisać oświadczenie o dobrowolnym oddaniu się w ręce izraelskiego wymiaru sprawiedliwości. Teraz trzeba było potajemnie wywieźć zbrodniarza z kraju.

Z okazji obchodów 150-lecia niepodległości południowoamerykańskiego państwa do Argentyny przybył samolot pasażerski El Al z izraelską delegacją, w tym ministrem spraw zagranicznych. Kpt. Zwiemu Toharowi polecono zabranie

eprasa.pl 25fefa0eda

wysoko wykwalifikowanego mechanika na wypadek, gdyby musiał startować bez pomocy argentyńskich służb naziemnych. Eichmanna przebrano w mundur stewarda, ucharakteryzowano i odurzono narkotykami. Był wówczas członkiem załogi o nazwisku Ze'ewe Zichroni, który nagle zachorował. W nocy z 20 na 21 maja 1960 r. specjalnego pasażera wywieziono na pokładzie samolotu do Izraela. Na miejscu Dawid Ben Gurion skonfrontował Eichmanna z Benem Kohenem, negocjującym przed wojną z Eichmannem warunki emigracji Żydów do Palestyny, który potwierdził jego tożsamość. Wtedy podano mediom informacje o aresztowaniu. Argentyna nie została poinformowana o akcji, co wywołało międzynarodowy kryzys dyplomatyczny.

„POPIOŁY PIĘTRZĄ SIĘ NA WZGÓRZACH AUSCHWITZ"

Proces Adolfa Eichmanna rozpoczął się 11 kwietnia 1961 r. w Jerozolimie i trwał ponad osiem miesięcy. Ze względu na zainteresowanie mediów na jego miejsce wybrano nowo wybudowany Dom Ludowy mogący pomieścić 750 widzów. Był to pierwszy tak szeroko transmitowany i komentowany proces zbrodniarza wojennego. W czasie jego trwania budynek był strzeżony przez policję i wojsko, a teren wokół otoczono wysokim ogrodzeniem. Sala sądowa zamieniła się w scenę konfrontacji Eichmanna z setkami tysięcy oczu i uszu świata. Sprawę osobiście prowadził prokurator generalny Izraela Gideon Hausner i jego zespół.

Eichmanna oskarżono o to, że w latach 1939–1945 wraz z innymi spowodował śmierć milionów Żydów. „Stojąc tu przed wami, sędziowie Izraela, by przewodniczyć oskarżeniu Adolfa Eichmanna, nie stoję sam. Wraz ze mną stoi sześciomilionowa rzesza oskarżycieli. Ale nie mogą oni wstać i oskarżycielskim palcem wskazać tego, który zasiada na ławie oskarżonych, i powiedzieć: »Oskarżam«. Bo ich popioły piętrzą się na wzgórzach Auschwitz i na polach Treblinki, bo rozsypano je w polskich lasach. Ich groby są rozrzucone jak Europa długa i szeroka" – mówił Gideon Hausner. Wysłuchano ponad 100 świadków, zaprezentowano setki dokumentów, a także wypowiedzi byłych współpracowników Eichmanna, m.in. Rudolfa Hössa, komendanta KL Auschwitz. Wśród materiałów przedłożonych sądowi znalazły się również zapisy wywiadów, których udzielił Eichmann w Argentynie Willemowi Sassenowi, holenderskiemu naziście, w czasie wojny będącemu ochotniczo w Waffen-SS.

Odpowiadając na zarzuty stawiane mu w akcie oskarżenia, Eichmann wypowiadał się w sposób rozwlekły i często trudny do zrozumienia. Twierdził, że winę za popełnione zbrodnie ponoszą przywódcy polityczni. Jego uchybieniem było bezwarunkowe posłuszeństwo i lojalność, które wykorzystano. Przekonywał, że nigdy nikogo nie zabił, zawsze starał się postępować według norm etyki, ale „państwo – mówił – uniemożliwiło mi życie zgodnie z tą zasadą". Argumentem, który miał przekonać sąd do uniewinnienia, były ewentualne problemy, a nawet możliwość śmierci w sytuacji, gdyby odmówił wykonywania nałożonych na niego zadań.

Odczytanie 211-stronnicowego uzasadnienia wyroku trwało 15 godzin. Eichmann został uznany za winnego zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni przeciwko ludności żydowskiej oraz przynależności do zbrodniczych organizacji. Wyrok mógł być tylko jeden: kara śmierci.

> Eichmann stał się symbolem bezkarności wielu sprawców Holokaustu, dlatego Mosad przez lata prowadził intensywne poszukiwania zbiega

CAŁY ŚWIAT USŁYSZAŁ

Był to pierwszy wyrok śmierci wydany przez izraelski sąd. Eichmann złożył apelację, a po jej odrzuceniu zwrócił się do prezydenta Izraela Jicchaka Ben Cewiego z prośbą o ułaskawienie. Głowa państwa odmówiła. Wyrok przez powieszenie wykonano tuż przed północą 31 maja 1962 r. w więzieniu w Ramli. Zbrodniarz poprosił jeszcze tylko o kieliszek wina. Ciało Eichmanna zostało skremowane, a jego prochy rozsypane na Morzu Śródziemnym, poza izraelskimi wodami terytorialnymi.

Porwanie i proces Eichmanna miały ogromne znaczenie symboliczne. Był to akt sprawiedliwości, a także moralne przypomnienie o konieczności pamięci i rozliczenia z przeszłością. Po raz pierwszy tak głośno przemówiły ofiary Zagłady, a świat musiał ich wysłuchać. Dało to też kolejny impuls do podjęcia próby ścigania odpowiedzialnych za niemieckie zbrodnie w czasie II wojny światowej. Jednak wielu nie udało się wytropić i osądzić.

CO WIEDZIELI NIEMCY

Najsłynniejszy przypadek to dr Josef Mengele, lekarz SS w Auschwitz, który przeprowadzał nieludzkie eksperymenty na więźniach, zwłaszcza na bliźniętach. Po wojnie uciekł do Ameryki Południowej, mieszkał m.in. w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. Kiedy oficjalnie wystosowano pismo w sprawie ekstradycji „Anioła Śmierci", ten zniknął bez śladu. Pomimo wielu prób jego odnalezienia przez Mossad oraz niezależnych tropicieli nazistów, Mengele nigdy nie został pojmany. Zginął w 1979 r., topiąc się podczas kąpieli w oceanie niedaleko São Paulo. Jego tożsamość potwierdzono dopiero w 1985 r. na podstawie badań DNA. Ukrycie się Josefa Mengele okazało się zgubne dla Adolfa Eichmanna, ponieważ Izrael, nauczony tamtą porażką, postanowił nie czekać na oficjalne rozstrzygnięcia, tylko od razu wziąć sprawy we własne ręce.

Cieniem rzucającym się na schwytanie Adolfa Eichmanna było działanie... RFN. Na początku 2011 r. niemiecka prasa ujawniła, że zachodnioniemiecki wywiad znał miejsce pobytu Eichmanna już osiem lat przed jego schwytaniem w 1960 r. Nazista kontaktował się wówczas z kanclerzem RFN Konradem Adenauerem, którego prosił o umożliwienie powrotu do ojczyzny. Niemcy zataili tę informację.

eprasa.pl 25fefa0eda

30 lat od pierwszego występu na Eurowizji Justyna Steczkowska wraca na scenę europejskiego show. Już 13 maja w półfinałach wykona utwór „Gaja" nawiązujący i do greckiej mitologii, i współczesnej ekologii, i świata fantasy

Z Gają w Bazylei

Fot. Mariusz Majewski/materiały prasowe eurovision.tv

eprasa.pl 25fefa0eda

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Ma być spektakularnie, superprofesjonalnie i na rekordowo wysokim C. Justyna Steczkowska zamierza wykorzystać wszystkie swoje atuty. Skalę głosu, wieloletnie doświadczenie sceniczne, konsekwentnie budowaną oryginalność wizerunku (przypomnijmy, że debiutowała „Dziewczyną Szamana"), urodę i kondycję.

SKUTECZNA YENNEFER

Stawia na polskie talenty. Te budujące kreatywność i sprawczość otaczającego ją teamu, z którym dotarła już do Bazylei, jak również tworzące polską markę fantasy, które światową moc zyskało dzięki serialowi Netfliksa i grom wideo.

To z uniwersum „Wiedźmina" stworzonego przez Andrzeja Sapkowskiego pochodzi piękna i niezwykle skuteczna czarodziejka Yennefer. Świadoma prasił natury (które Grecy łączyli m.in. z żywiołem Gai – Ziemi) i nawiązująca do prasłowiańskich wierzeń, świetnie wpisująca się we współczesne trendy (wspierające m.in. ratowanie naszego globu), jak również czerpiąca z mocy streamingu, który dał światową rozpoznawalność Geraltowi (a wraz z nim jego ukochanej) oraz skutecznie ożywił smocze legendy.

WYSOKO NAD SCENĄ

Prastary jaszczur pojawi się w wizualizacji utworu „Gaja", który Justyna Steczkowska zaśpiewa w pierwszym dniu półfinałów 69. Konkursu Piosenki Eurowizji w Bazylei. Podczas występu (po wielu negocjacjach z organizatorami, którzy przez długi czas nie chcieli wydać zgody na takie działania) artystka wykona (pionierską na tej scenie) akrobację. Będzie śpiewać m.in. podwieszona wysoko na linach.

I choć kobietom nie wypomina się wieku, warto podkreślić, że wokalistka decydująca się na taką ekwilibrystykę ma 52 lata. Już pobiła rekord długości przerwy (trzy dekady), po jakiej wróciła na eurowizyjną estradę (w 1995 r. z piosenką „Sama" zajęła 18. miejsce).

KOLEJNY REKORD

Teraz (także poniekąd za sprawą metryki) budzi zachwyty – zarówno urodą, sprawnością (wokalną i fizyczną), scenicznym profesjonalizmem, jak i swobodą, z jaką odnajduje się w projekcie polskiej prezentacji. Jednak to jej nie wystarcza. Ponoć zamierza pobić kolejny eurowizyjny rekord – tym razem długości wysokiego dźwięku wyśpiewanego podczas występu. W tym celu musi odebrać palmę pierwszeństwa Natalii Gordienko (reprezentantce Mołdawii), która w 2021 r. utrzymała taki dźwięk przez 17 sekund. Czy to się uda?

Półfinały 69. Konkursu Piosenki Eurowizji odbędą się 13 i 15 maja. Polska reprezentantka z numerem drugim wystąpi pierwszego dnia (wielki finał rozegra się 17 maja).

MADE IN POLAND

Nim Justyna Steczkowska wyruszyła w przedeurowizyjną trasę, spotkała się z dziennikarzami. Mówiła m.in., że kiedy ma się 52 lata, wszystko wygląda inaczej niż trzy dekady wcześniej. Przy czym tak długie doświadczenie artystycznego i prywatnego życia może być sporym atutem.

Artystka niezmiennie z uśmiechem podchodzi do tytułu „Matki Eurowizji", którym obdarzyli ją z reguły dużo młodsi współuczestnicy konkursu. Uważa, że w tej edycji jest wiele znakomitych piosenek i są wspaniałe głosy. Jednocześnie podkreśla: – Na Eurowizję trafiają perełki. Nie zawsze wygrywają, bo to jest kwestia gustu.

Przy koncepcji polskiego występu zaznacza: – Będzie się działo dużo, będą unikatowe projekty strojów. Moim marzeniem było, żeby wszystko, co zostanie wykorzystane podczas występu było „Made in Poland". I nic z zewnątrz.

NA PEWNO NASZE

Dlatego kiedy dostawała propozycje, żeby show reżyserowali ludzie spoza Polski, choćby z największym eurowizyjnym doświadczeniem, odmawiała.

– Uważam, że to, co my możemy pokazać, będzie równie dobre, a może nawet lepsze, a na pewno będzie nasze: zakorzenione w naszej energii, w naszej kulturze.

Dodaje: – Patrzy na nas prawie 200 mln ludzi. To jest ogrom. Trzeba zrobić wszystko, by podczas występu myśleli: „Fajna ta Polska, fajni ludzie tam mieszkają, potrafią zrobić świetne show, potrafią tańczyć, śpiewać...". Wszystko to przekłada się potem na kolejne sukcesy, na inwestycje. Może nie ogromne, chociaż... nigdy nie wiadomo.

I posumowuje: – Nam, Polakom często wydaje się, że „trawa u sąsiada jest bardziej zielona". To nieprawda. Jeździłam po świecie od siódmego, ósmego roku życia, kiedy w trudnych czasach koncertowaliśmy z rodziną w różnych europejskich krajach. Napatrzyłam się na zwykłych ludzi, na artystów i różne środowiska. Tak kreatywnych nacji jak Polacy nie znajdzie się wiele. Mamy ogrom talentów. Jesteśmy wystarczająco dobrzy i bardzo kreatywni. Powinniśmy się tym zacząć chwalić.

Fot. Alma Bengtsson

eprasa.pl 25fefa0eda

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Demirski znów wywołuje widmo Szeli

W TVP1 pokazano „W imię Jakuba S." autorstwa i w reżyserii Pawła Demirskiego. Tym razem mamy do czynienia nie z przenoszeniem na ekran spektakli ze scen teatralnych, a z oryginalną produkcją.

Choć sam tekst autorstwa Demirskiego nie jest nowy. W 2011 r. wystawiano go w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Reżyserowała to wtedy jego ówczesna partnerka sceniczna i życiowa Monika Strzępka. Kilka lat temu tandem się rozpadł, a Demirski zaczął szukać spełnienia nie tylko jako autor teatralnych scenariuszy, lecz także jako reżyser.

Tamten tekst był zapowiedzią ofensywy tzw. historii ludowej. Czyli próby napisania dziejów Polski na nowo – z perspektywy klas uciskanych, a przeciw szlacheckiej elicie. Zarazem nawiązanie do dziedzictwa pańszczyzny i Jakuba Szeli, który zabijał dziedziców w 1846 r. w Galicji, to tylko punkt wyjścia. Lewicowiec Demirski szuka paraleli między wyzyskiem pańszczyźnianym a eksploatacją i autoeksploatacją klasy średniej we współczesnej Polsce.

Już w pierwszej scenie para młodych ludzi stara się o kredyt mieszkaniowy, uzyskując mętne wyjaśnienia od reprezentantki banku przebranej w dawny szlachecki kostium. W ich łazience gnieździ się właśnie Szela. Potem na chwilę przenosimy się do Galicji z 1846 r. Szela nachodzi z synem pański dwór, tyle że jego właściciele to postacie z dzisiejszych czasów. Pojawiają się strzępy dyskusji o samej rabacji galicyjskiej. Demirski przeciwstawia racje zbuntowanych chłopów racjom szykowanego powstania. Próbuje przenicować te ostatnie, choć akurat tamta insurekcja, zduszona przez Austriaków chłopskimi rękami, była w założeniu demokratyczna. W innym spektaklu, zrobionym jeszcze ze Strzępką, jako rzecznika równości społecznej Demirski przedstawiał Armię Czerwoną z 1920 r. najeżdżającą Polskę.

Z kolei gdy wracamy do rozpraw ze współczesnością, dostajemy potężną dawkę antykapitalistycznej publicystyki. Żeby ją artystycznie ożywić, autor stawia na dramaturgiczny chaos i rozmaite zabawy formalne. Chwilami pojawiają się kawałki dialogów ze „Śmierci komiwojażera" Arthura Millera, a znakomity aktor Filip Pławiak występujący w kolejnych rolach do końca ma krew na twarzy, choć gra postacie z naszych czasów. Te skoki po epokach i sytuacjach bywają efektowne teatralnie.

Niektóre sceny mi się podobały, może najbardziej Wigilia w miasteczku Wilanów zakłócona najściem chłopskiego ojca pary gospodarza. Gra go Jacek Poniedziałek, występujący wcześniej jako Szela. Akurat w tym zawiera się celna satyra społeczna. Miejscami nawet niepoprawna z punktu widzenia lewicowej ortodoksji, skoro mieszczańskie dzieci na złość chłopu nie chcą chrzcić swojego potomstwa ani śpiewać kolęd. Całości nie sposób odmówić społecznej pasji, wcześniej pojawia się wspomnienie spalonej rzeczniczki lokatorów Jolanty Brzeskiej.

Pochwalić trzeba aktorów. Znakomity jest Poniedziałek, kapitalna Małgorzata Kożuchowska jako dziedziczka, bardzo sugestywni Filip Pławiak, Marcin Bubółka, Monika Frajczyk, Marta Malikowska i Marcin Czarnik. Przypomnienie, że nie wszyscy Polacy wywodzą się ze szlachty, jest celne, chociaż...

Już przed wojną w ludowych czytelniach najpopularniejszą lekturą była Sienkiewiczowska „Trylogia", to zjawisko niekoniecznie negatywne. Na tym polegał akces do polskości, dla Demirskiego godny wyśmiania lub obojętny. Z kolei analogia między dawną i obecną pańszczyzną wydaje mi się naciągana.

W dyskusji po emisji rozmawiano o perspektywie rewolucji. Czy obecna TVP kontrolowana przez formację osłaniającą kiedyś złodziejską reprywatyzację jest do tego najlepszym forum?

Piotr Zaremba

eprasa.pl 2[illegible]40eda

3 MIŁOŚCI

Miłość jest grawitacja

ROBERT TEKIELI

W Europie trwa dorzynanie katolickiej watahy. Syndykat śmierci pochylił się właśnie nad Polską, ostatnim poza centralnymi stanami USA bastionem chrześcijaństwa w niegdyś chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu. Współczesne areopagi chcą dokończyć proces dechrystianizacji.

Christianitas kontra Syndykat. Rosjanie, liberałowie i marksiści zgodnie chcą końca Kościoła. Zachód ma być jednak pokonany od wewnątrz. Bo zdefiniowanie cywilizacji na nowo jest niemożliwe. Nie da się budować jej teraz wokół człowieka, kiedy od swych początków miała w centrum Boga. Więc wieki temu rozpoczęło się gnicie. Dziś zsekularyzowany stary Zachód wymiera.

Człowiek umiera, kiedy nie ma dla kogo żyć. Kręci się po całym globie jak zombie. Tajlandia, Maroko, fawele. Żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek, schroniska dla zwierząt, UNICEF. Chóry chłopięce, Tęczowy Music Box, Dworzec Centralny. Tajemnica zła. Atrakcyjności śmierci. Grzech będący konsekwencją zranień i grzech wymuszany przez prawo czy kulturę. Grzech silniejszy od człowieka i człowiek niemający wsparcia dobrego Boga. Niezdolny do powstania z śmierci grzechu. Śpiewamy: „Zmartwychwstał Pan i żyje dziś, blaskiem jaśnieje noc". Śpiewamy. Ci, którzy mają nadzieję. Otrzymali ją w niezasłużonym darze.

Znajomy zadał opartemu na generatywnej sztucznej inteligencji chatbotowi GPT pytanie o korelację pomiędzy wiarą a szczęściem. Zapytał, czy istnieją jakieś badania na ten temat. I przeczytał:

„Tak, Uniwersytet Harvarda faktycznie przeprowadził badania, które sugerują, że osoby regularnie uczestniczące w praktykach religijnych – w tym chodzeniu do kościoła – są bardziej szczęśliwe i zdrowsze psychicznie niż osoby niereligijne.

Jedno z głównych badań wykazało m.in., że osoby, które regularnie uczęszczają na nabożeństwa, rzadziej cierpią na depresję, są mniej skłonne do nadużywania substancji i częściej deklarują poczucie sensu życia.

Nauka mówi, że szczęśliwsi są ludzie chodzący do kościoła. Więc jak bardzo jesteś skłonny do nadużywania substancji? Jesteś niewolnikiem czasu czy nieba? Człowiek umiera, kiedy nie ma dla kogo żyć. Czy warto zawalczyć o poczucie sensu życia?

Młodzież wychowywana w środowiskach religijnych miała większe poczucie satysfakcji z życia, większy optymizm i większą skłonność do wolontariatu.

Badania te bazują na dużych próbach populacyjnych i danych długoterminowych (np. Nurses' Health Study)".

Sztuczna „inteligencja" firmy OpenAI zdradziła Syndykat. Powiedziała prawdę, ale ten błąd da się wyeliminować. Przecież nowy pieniądz cyfrowych lordów tak samo nienawidzi zasad, jak pieniądz stary. Społecznościowi baronowie tracą identycznie, gdy moralność rządzi konsumencką masą. W USA pieniądz stary to z grubsza pieniądz stuletni. Ta burżuazyjna, libertyńska, liberalna elita przegrała bitwę z Trumpem o władzę nad jedynym nadal globalnym mocarstwem. Bez USAID liberalno/burżuazyjno/arystokratyczne europejskie oligarchie się nie ostaną. Europa jest marginalizowana i sama się marginalizuje. Nie jest w stanie porzucić krępujących rozwój ideologii. Stary liberalny świat umiera. Ich gazety tracą na znaczeniu. Oczywiście w to miejsce nie przychodzi nic lepszego. Ale zmierzch Starego Kontynentu oraz upadek bogów i bożków amerykańskiej finansjery trzeba odnotować.

(Mówimy o tzw. sztucznej inteligencji. Tzw., bo AI jest inteligentna w ten sam sposób, jak rządzona przez

eprasa.pl 25fefa0eda

partię marksistowską Chińska Republika Ludowa jest normalnym kapitalistycznym państwem. „Inteligentne" szukanie w olbrzymich bazach danych to jeszcze nie esprit. Trzeba też pamiętać, że algorytmy są pisane przez ludzi o konkretnych światopoglądach, wyznających konkretną antropologię i nie jest ona chrześcijańska. Dziś nie ma inteligencji poza biologią. Czy będzie? Może tak, może nie. Ktoś, kto mówi, że będzie na 100 proc. albo potrzebuje pieniędzy na granty na rozwijanie swojego biznesu AI, albo ma kosmiczne deficyty nadziei i bardzo pragnie, by istniało UFO albo przynajmniej AI, żebyśmy nie byli we sami wszechświecie).

Nikt zdaje się nie wyciągać wniosków z faktu, że bardziej szczęśliwi są ludzie chodzący do kościoła, od tych, którzy do niego nie chodzą. Co dziwne – przecież ludzie pragną szczęścia. Więc zapytam. Człowieku Zachodu, szczęśliwy, uśmiechnięty mieszkańcu Ziemi Ulro, obywatelu nowego wspaniałego świata, liberalnej, zrealizowanej nad Renem, Potomakiem, Sekwaną i Zatoką San Francisco utopii, po raz czwarty w ciągu ostatnich dziewięciu lat zadam ci te pytania.

Czy budzisz się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem? Czy masz tendencję do niekończenia czynności? Czy w twoim życiu wszystko raczej się rozkłada niż składa, czy seriami dzieją się nieszczęścia, tragedie? Czy nie masz z czego żyć? Czy nie możesz znaleźć radości w życiu, mimo iż po ludzku masz wszystko: pieniądze, sukces, szczęście, ludzi kochających i do kochania? Czy trudy życia sprawiają, że boisz się wstawać rano? Czy spowiadasz się ciągle z tych samych grzechów? Czy czujesz oschłość, mimo iż według wszystkich jesteś blisko Boga, codziennie się modlisz i chodzisz na Eucharystię, pościsz dwa razy w tygodniu za bliźnich i zachowujesz wszystkie przykazania?

Jesteś niewolnikiem czasu czy nieba? Zagubiłeś się w sukcesie? Czy twoje łoże małżeńskie nie ma zepsutej nogi i czy od miesięcy nie stoi oparte lewym rogiem na kupce książek? Czy twój stół, ojcze rodziny, mimo iż duży, ma wątłe i chybotliwe nogi? Czy zwyczajnie nie wiesz, co masz dalej robić z życiem? Czy rozeznajesz skutecznie od lat i nagle mimo stosowania wszystkich sensownych reguł znalazłeś się w martwym punkcie? Czy jesteś szczęśliwy? Czy jesteś szczęśliwa, szczerze?

Czy widziałeś w swoim życiu szczęśliwych ludzi? Nie nakręconych, ale spokojnie szczęśliwych?

Czy to byli ludzie kochający? Bliźnich (Korczak), Boga (Matka Teresa) w Trójcy jedynego, siebie samych? (Korczak kochał też Boga jedynego, tak sądzę).

Czy miałeś łzy w oczach i gulę w gardle, patrząc na parę siwych staruszków trzymających się za ręce? Trzymających się tak od 60 lat?

Miłość jest grawitacja. Nie – jest grawitacją, miłość to grawitacja. Poniżej Pawłowa recepta na szczęście. Powtarza ją za Jezusem: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem". Chrześcijańska Dobra Nowina to Ewangelia Szczęścia i Radości.

A na szerokim świecie historia odrobinę zwolniła. Po podpisaniu umowy minerałowej Ukraina–USA nieomal wzrosło do pewności prawdopodobieństwo, że Stany Zjednoczone będą dalej blokowały zabójcze dla nas rosyjskie próby współdecydowania o systemie europejskiego bezpieczeństwa. I piłka po naszej stronie. Na narracyjnie sympatyczną ideę budowania „zdolności europejskich" nie ma już czasu. Siła militarna będzie potrzebna Europie za dwa, trzy lata, nie za dziesięć. Czas rozpocząć budowanie regionalnych sojuszy państw zagrożonych przez rosyjski imperializm. Szwecja, Finlandia, Polska, Rumunia, Turcja – to kraje zainteresowane żywotnie tym, by postawić mur rosyjskiej siermiężnej pysze, pysze ludzi zakompleksionych jak stąd do Magadanu.

Polsko-ukraińskie jądro tej linii obrony stworzyli swoją agresją Rosjanie. Obecność kopiących pierwiastki ziem rzadkich na Ukrainie amerykańskich inżynierów, ochranianych przez amerykańskich komandosów i głębokie rozpoznanie satelitarne, zabezpiecza polskie interesy. Polska to wrota do Ukrainy odbudowywanej, mam nadzieję, przez USA w kolejnym planie Marshalla. Więc nic o Kijowie bez nas. Czas na nowe pokolenie polityków. W Waszyngtonie szanuje się Erdoğana, a nie szanuje tych, którzy widzą swe szanse jedynie w antyszambrowaniu i służalczych reakcjach na esemesy ambasadora.

Polska uzyskała właśnie odrobinę oddechu, chyba że kanclerzowi Merzowi uda się zmusić ukraińską elitę do powrotu w intelektualne obcęgi Mitteleuropy.

Trzeba też pamiętać, co w 2008 r. Francuzi i Niemcy obiecywali Gruzinom, a w 2014 r. Ukraińcom. Nie zapominać, że bez nordstreamowej polityki Merkel nie byłoby wojny na Ukrainie. Nasi alianci z Europy od zawsze chętnie płacą za swoje bezpieczeństwo Sudetami albo Gdańskiem, Lwowem czy Wilnem.

Żyjemy w czasach, w których nikt nas nie obroni, jeśli sami nie będziemy w stanie się obronić. Na szczęście sytuacja zmusza ukraińskie i polskie elity do działania. Koncept Międzymorza od zawsze był tak naprawdę jedynie ideą gospodarczą. My musimy postawić militarno-gospodarczy mur Północ–Południe.

Rosja nie przegrywa tej wojny, więc nie musi przegrać negocjacji. Dużo zależy od Iranu, stanu prac nad projektem atomowym i determinacji ajatollahów. Sytuacja globalna jest daleka od równowagi, ale w mojej opinii USA przy tym przywództwie nie przegrają wojny z Chinami i jeśli w Europie zwycięży zdrowy rozsądek, za 10 lat znów zapanuje globalny ład przerywany małymi krwawymi wojnami na peryferiach, czas na dobre interesy i inwestycje.

A my, obyśmy już w pierwszej turze wybrali prezydenta bliskiego Niepokalanemu Sercu Maryi i Miłosiernemu Sercu Jezusa.

Nauka mówi, że szczęśliwsi są ludzie chodzący do kościoła. Więc jak bardzo jesteś skłonny do nadużywania substancji? Jesteś niewolnikiem czasu czy nieba? Człowiek umiera, kiedy nie ma dla kogo żyć. Czy warto zawalczyć o poczucie sensu życia?

eprasa.pl 25fefa0eda

Podatek katastralny to koszmarny sen właścicieli domów i mieszkań. Może się skończy na strachu i temat przejdzie jak wiosenna burza wraz z końcem kampanii prezydenckiej. Ale czy na pewno? Rząd zarzeka się, że nie chce takiego podatku, ale wielkie organizacje finansowe twierdzą, że trzeba go wprowadzić ze względu na złą sytuację polskiego budżetu

Mieszkania na wagę złota

STANISŁAW KOCZOT

Podatek katastralny to system opodatkowania domów i mieszkań, w którym wysokość daniny zależy od wartości rynkowej nieruchomości.

W Polsce na razie płaci się tzw. podatek od nieruchomości, którego wysokość zależy od jej powierzchni i od tego, czy służy ona jedynie za mieszkanie, czy jest wykorzystywana do prowadzenia biznesu. Jego górną granicę ustala co roku Ministerstwo Finansów (w tym roku 1 m² mieszkania to 1,19 zł albo 34 zł, jeżeli budynek jest związany z działalnością gospodarczą). Ostateczną stawkę ustalają gminy, nie mogą jednak przekroczyć górnego limitu. W największych miastach – Warszawie, Gdańsku czy Wrocławiu – obowiązują maksymalne stawki.

TEMAT DO ROZMÓW

Podatek katastralny to rewolucja, po której z dotychczasowego systemu kontrolowanego przez państwo zostałyby tylko zgliszcza. Przy astronomicznych cenach mieszkań, w Warszawie sięgających 18 tys. za 1 m² i tylko nieco niższych we Wrocławiu czy Krakowie, danina liczona od wartości nieruchomości mogłaby sięgać nawet kilkunastu tysięcy rocznie. Przy założeniu, że w Polsce taki podatek wynosiłby 1 proc. (w debacie publicznej taka wielkość pojawia się najczęściej), za dom czy mieszkanie warte 1 mln zł trzeba by zapłacić 10 tys. zł, czyli ok. dziesięć razy więcej niż przy obecnych stawkach. Za mieszkanie o wartości 300 tys. zł kataster wyniósłby 3 tys. zł (obecna opłata to ok. 100 zł). Podatek katastralny byłby obliczany co roku, a to oznacza, że przy systematycznie rosnących cenach nieruchomości jego wartość również by rosła.

Danina mocno uderzyłaby po kieszeniach Polaków. Wiceminister finansów Jarosław Neneman zapewnia, że resort nie prowadzi żadnych prac zmierzających do wprowadzenia podatku katastralnego, ale rząd nie mówi w tej kwestii jednym głosem. Minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk powiedział w Radiu ZET, że podatek katastralny jest tematem „na dłuższą rozmowę". „Potrzeba rozmowy w tym względzie" – mówił. „Otwarta na rozmowy" w tej kwestii jest też szefowa Klubu Lewicy Anna Maria Żukowska.

Temat katastru pojawia się też w kampanii prezydenckiej. Karol Nawrocki jest mu przeciwny, kandydaci Lewicy – Magdalena Biejat i Adrian Zandberg – są za.

BUDŻET TRZESZCZY

Zwolennicy chcą podatku od trzeciego mieszkania wzwyż, twierdzą, że ukróci on spekulacje na rynku mieszkaniowym i skieruje pieniądze zamrożone w mieszkaniach w bardziej efektywne inwestycje, np. firmy.

eprasa.pl 25fefa0eda

Przeciwnicy się obawiają, że podatek katastralny obejmie wszystkie nieruchomości, doprowadzi do zubożenia społeczeństwa i pogorszenia stanu mieszkań, gdyż właściciele nie będą w nie inwestować, by nie zwiększać ich wartości. Podatek katastralny to prosta droga do wzrostu cen za wynajem i wywłaszczenia Polaków, których nie będzie stać na utrzymanie mieszkań.

Rząd oficjalnie zaprzecza, by majstrował przy podatku katastralnym, jednak czy jego wprowadzenie nie jest tylko kwestią czasu? Budżet znajduje się w dramatycznej sytuacji, w tym roku deficyt sięgnie 289 mld zł, a prognozowany dług publiczny zbliży się do konstytucyjnego limitu 60 proc. Według wyliczeń Instytutu Finansów Publicznych w ciągu zaledwie dwóch lat koszty obsługi długu w sektorze finansów publicznych wzrosły dwuipółkrotnie, z ok. 30 mld do 79 mld zł. Polska znalazła się w unijnej procedurze nadmiernego deficytu, co oznacza m.in., że ma go ograniczyć w stosunku do PKB, a także zmniejszyć tempo wydatków.

KONIEC ŻARTÓW

Międzynarodowe instytucje finansowe ostrzegają, że żarty się skończyły i Polska musi się zabrać za swoje finanse. Presja jest coraz większa.

W najnowszym raporcie poświęconym Polsce OECD pisze wprost, że powinniśmy przejść na system opodatkowania nieruchomości oparty na jej wartości, znieść limity stawek lub przyjąć jedynie ogólnokrajowe stawki minimalne. Dramatyczny wzrost obciążeń miałby zostać ograniczony przez zmniejszenie daniny dla mniej zamożnych gospodarstw lub wprowadzenie płatności w ratach.

Wprowadzenie podatku katastralnego zdecydowanie zaleca też Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który przypomina, że takie rozwiązanie funkcjonuje w większości rozwiniętych gospodarek.

Rzeczywiście, w Unii kataster to prawie standard, jednak mocno zróżnicowany, często połączony z systemem ulg i zwolnień podatkowych. W Niemczech stawka podatku (Grundsteuer) waha się od 0,26 do 1 proc. wartości nieruchomości zależnie od landu. We Francji taxe foncière jest liczony od potencjalnego dochodu z nieruchomości, tzw. czynszu katastralnego, a nie od wartości. W Wielkiej Brytanii (council tax) średnia stawka to ok. 1 proc. W Stanach Zjednoczonych podatek (property tax) jest obliczany na podstawie aktualnej wartości rynkowej nieruchomości, co np. w Europie wcale nie jest regułą, gdyż w niektórych krajach wyceny pochodzą z lat 90., a nawet 60. ub.w.

POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

Gdyby podatek katastralny został wprowadzony w wersji soft, czyli dla osób posiadających więcej niż trzy mieszkania, miałby marginalne znaczenie dla budżetu. Nie ma oficjalnych danych, jak liczne jest to grono, szacuje się jednak, że jest to niewielki odsetek właścicieli nieruchomości. Minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz w wywiadzie w TVP Info mówiła, że posiadaczy trzech i więcej mieszkań może być 0,8 proc.

Gdyby jednak podatek katastralny zaczynał się od dwóch nieruchomości, sytuacja stałaby się o wiele groźniejsza. Bartosz Turek, główny analityk HREIT, twierdzi, że dotknąłby co najmniej kilku milionów osób.

„Dlatego w mojej ocenie partia, która wprowadziłaby podatek katastralny w Polsce, definitywnie pożegnałaby się z poparciem społecznym. Trudne byłoby nawet wprowadzenie podatku od pustostanów i to pomimo faktu, że narażałoby rząd na mniejsze niezadowolenie społeczne – twierdzi w przesłanej nam opinii. – Warto dodać, że według Eurostatu we własnym mieszkaniu mieszka ponad 87 proc. Polaków. Pod tym względem jesteśmy w europejskiej czołówce. Trudno się więc dziwić, że w krajach, w których własność jest mniej upowszechniona, istnieje większe przyzwolenie na istnienie podatku naliczanego od wartości posiadanej nieruchomości" – uważa Bartosz Turek.

FUNDAMENTY JUŻ SĄ

Na razie temat podatku katastralnego wisi nad Polakami jak gradowa chmura. Czy wiatr polityki ją przegoni, czy jednak zamieni się w groźną nawałnicę?

W Polsce nie ma jeszcze centralnego rejestru nieruchomości z aktualnymi danymi o ich wartości rynkowej, brakuje odpowiedniej infrastruktury w urzędach podatkowych, ale nie znaczy to, że rynek nieruchomości w naszym kraju to pustynia informacyjna. Danych, które stosunkowo sprawnie można przekuć na konkretne przepisy podatkowe, jest coraz więcej. Kwestie własności, podstawowe do wprowadzenia katastru, zostały uporządkowane już kilka lat temu, gdy prawo użytkowania wieczystego zostało przekształcone w prawo własności. Cyfryzacja w urzędach centralnych postępuje błyskawicznie, czego przykładem jest chociażby Ministerstwo Rozwoju i Technologii, które rozbudowuje Zintegrowany System Informacji o Nieruchomościach (na razie nie obejmuje on informacji o wartości nieruchomości).

Bartosz Turek przypomina, że prace nad wprowadzeniem katastru w Polsce zaczęły się jeszcze pod koniec lat 90. ub.w., a rzeczoznawcy majątkowi wysyłają protokoły ze sporządzonych operatów i dzieje się tak już od ponad 27 lat.

Ogrom prac został więc już wykonany, fundamenty postawione, a technologia pozwala przełamywać kolejne bariery organizacyjne. Wystarczy decyzja polityczna, by wprowadzenie katastru nabrało tempa. Potrzeby finansowe samorządów i budżetu państw są przecież olbrzymie.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 25fefa0eda

ELIZA I STACH*

Drogi do miłości

Lato 1939–maj 1945 r. na polskich Kresach i w III Rzeszy (Nadrenia, Westfalia), a po wojnie w 1946 r. – Warszawa i Ziemie Zachodnie. Szeroką panoramę losów oraz wiele wspaniale sfilmowanych (przez tragicznie zmarłego operatora Arkadiusza Tomiaka) szlaków i miejsc pokazuje najnowszy film Radosława Piwowarskiego. Tytułowa pani od polskiego niesiona wielkim uczuciem wyrusza z maleńkim dzieckiem za ukochanym Stachem (w tej roli Vitalik Havryla), by dzielić z nim losy przymusowych robotników. Jej życiowa droga prowadzi najpierw na sielskie i malownicze przedwojenne wschodnie rubieże, a potem przez okupowany kraj do Niemiec. Po wojnie wraca do Polski, ale już innej, także geograficznie.

– Moi dziadkowie mieszkali na Podkarpaciu, ja urodziłam się we Wrocławiu, jednak to najpiękniejsze, sielankowe dzieciństwo wspominam właśnie z tego okresu, kiedy jeździłam do dziadków. I kontakt ze zwierzętami, i szeroką przestrzeń... – deklaruje Sylwia Skrzypczak-Piękoś.

Aktorka, która znakomicie odnalazła się w roli tytułowej bohaterki, wspomina lokalizacyjne zaskoczenia i odkrycia związane z produkcją filmu. Jednym z nich była, leżąca przecież nie tak daleko od jej rodzinnego miasta, Jelenia Góra oraz jej okolice. – Nie spodziewałam się tam tylu wspaniałych i malowniczych miejsc, tylu zamków i pałaców; tego, że jest tam tak pięknie – mówi.

Nie bez powodu Dolinę Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej często porównuje się do francuskiej Doliny Loary. Warto zajrzeć chociażby do Łomnicy, Wojanowa, Bobrowa czy Karpników. Jeśli listę atrakcji znajdujących się wokół Jeleniej Góry rozbudujemy o miejscowości oddalone o godzinę od miasta, to w zasięgu znajdą się jeszcze m.in. zamki Książ i Bolków czy Kolorowe Jeziorka w Rudawach Janowickich. Do tego Góry Izerskie, zarówno po polskiej, jak i czeskiej stronie.

Wracając jednak do miejsc, które stały się przepięknym tłem ekranowej historii Elizy i Stacha: w Muzeum Wsi Kieleckiej – Parku Etnograficznym w Tokarni powstawały zdjęcia filmowych Kresów. Potem ekipa trafiła na Dolny Śląsk. W kamienicach Wrocławia i na Rynku Solnym spędziła intensywny, skondensowany w kadrach tydzień, by potem wyruszyć w malownicze i szerokie plenery wspomnianej Kotliny Jeleniogórskiej.

Piękną „niemiecką" winnicę filmowano blisko Sandomierza. Zdjęcia były kręcone też w Kielcach i Warszawie oraz jej okolicach. – Okazuje się, że w Polsce można zmieścić ogromne obszary, wszystko – konstatuje aktorka.

Jolanta Gajda-Zadworna

** bohaterowie filmu „Pani od polskiego" Radosława Piwowarskiego*

Fot. Kino Świat

SŁODKO-SŁONY

Zielone natki

ANNA MONICKA

Po takim tytule każdy wyobraża sobie posiekane liście pietruszki, a wielu wzdraga się z obrzydzeniem przed „zielonym świństwem" – jak mawiała przez wiele lat moja córka, zakrywając swój talerz dłońmi, żebym tylko nie posypała tym zupy czy drugiego dania. Teraz jednak najwyraźniej wyszła z fazy młodzieńczego buntu, rzuciła się na książki o zdrowym odżywianiu i zaczęła przychylniejszym okiem spoglądać na donice z ziołami, które uprawiam przed domem, ba, nawet sama wyciąga mnie do centrów ogrodniczych, żeby wzbogacić kolekcję o kolejne sadzonki.

Ostatnio widziałam, jak ścina naszą wyjątkowo urodziwą natkę i wrzuca ją do miksera z bananem, pomarańczą i gałązką selera naciowego. Gdy spytałam, kiedy polubiła pietruszkę, odpowiedziała, że w takim połączeniu ma doskonały smak, zupełnie inny niż w rosole, poza tym podana na zimno zachowuje wszystkie wartości odżywcze. – Jakie? – cisnęłam. – Robi wiosenny detoks, wypłukuje wodę i toksyny – poinformowało mnie dziecko.

Pod wpływem córki zrobiłam więc w tym roku wielkie doniczkowe rabaty ze szczypiorami i czosnkami (właśnie kwitną), kilkoma odmianami kopru, szałwiami, bluszczykiem kurdybankiem i selerem. Wszystko po to, żeby miała różne zielone natki.

Koperkowa – nie tylko podbija smak młodych ziemniaków czy krupniku, lecz także wspomaga trawienie, łagodzi kolki i skurcze żołądka. Likwiduje obrzęki limfatyczne i stany zapalne jelit. Kupiłam wyjątkowo aromatyczną odmianę Kozak, która pięknie odrasta po ścięciu. Zaparzam liście jak herbatę.

Selerowa natka zachwyca smakiem. Mam odmianę Malachit – doskonałą do koktajli, zup, surówek i mrożenia na zimę. Ma spore, bardzo delikatne liście, które świetnie pasują jako posypka do grillowanych ryb, a także sałatek owocowych z gruszkami w roli głównej.

Do tłustych potraw warto posiekać malutki bluszczyk kurdybanek – wieloletnią niepozorną roślinę, która pięknie płoży się po ziemi, nawet bardzo suchej i nieurodzajnej. Dziś jest mniej znany niż natki pietruszki czy bazylii, ale to on był uprawiany już w Biskupinie. Wywary z ziółka popijali ponoć także husarze króla Jana III Sobieskiego, żeby strawić ciężkie żołnierskie jadło i mieć zdrowie do wojaczki. My bluszczykiem posypujemy sałatki, zupy i twarożki. Ma ciekawy, pikantny smak.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Podróż w czasie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wiosenna wyprawa w góry jest jak podróż w czasie. Na nizinach przekwitły już śliwki, które kwitną jeszcze przed rozwojem liści. Przekwitły jabłonie i czeremchy, a na czeremchach pojawiły się już nawet zawiązki owoców.

Tymczasem w górach pierwsze kwiaty pojawiły się niedawno. Nie mówię tu o górach wysokich, skalistych partiach Tatr, w których jeszcze leży śnieg, który będzie zalegać jeszcze długo i mimo mało śnieżnej zimy w ocienionych żlebach może dotrwa do jego kolejnych opadów, które mogą nadejść już pod koniec lata.

Właśnie w takie niewysokie, wznoszące się trochę ponad 1 tys. m ponad poziom morza góry wybrałem się w majówkę. Kiedy wspiąłem się ponad iglasty las, na grzbietach otwarły się połoniny, świadectwo dawnego wypasu owiec. Mimo że wyrastających świerczków nie zgryzają już owcze zęby, długo jeszcze pozostaną górskimi polanami, z których rozpościera się szeroki widok na okoliczne wzniesienia, doliny opadające ku nizinom i jeszcze wyższe góry na dalszym horyzoncie, fioletowe, wyraźnie widoczne o poranku i lekko zamglone w pełnym, mocnym słońcu południa.

Dzień był ciepły, suchy i słoneczny. Tuż obok mnie na skraju polany spomiędzy borówkowych krzewinek wyrastała mała, krzaczasta, bezlistna jeszcze wierzba. Wierzby to rośliny pionierskie – jako jedne z pierwszych wyrastają z lekkich, roznoszonych przez wiatr nasion, przygotowując grunt pod las, który się pojawi, jeżeli nie powstrzyma się zarastania polany. To naturalny proces. Większość górskich polan w Polsce (poza niektórymi najwyżej położonymi w Tatrach ponad górną granicą lasu i kosodrzewiną) ma charakter antropogeniczny.

Wierzba była fotogeniczna. Nie miała liści, ale kwitła (co na nizinach miało miejsce co najmniej kilka tygodni temu). W tle za nią rozpościerała się piękna panorama, postanowiłem więc zrobić kilka zdjęć – wierzbowe kotki na pierwszym planie, za nimi góry.

Wierzba zainteresowała nie tylko mnie. Niemal na każdej gałązce były rozpięte małe pajęczyny, na których uwijały się niewielkie pająki. Uwijały, były bowiem bardzo zajęte – jako jedna z niewielu roślin pokrytych kwiatami wierzba przyciągała mnóstwo owadów, tworząc małą oazę życia we wczesnowiosennym świecie.

eprasa.pl 25fefa0eda

OGNIEM NA WPROST

A Moskal się zbroi

Andrzej Rafał Potocki

Na Ukrainie powstał portal „Chcę do swoich". Znajdują się na nim nazwiska 300 zdrajców, którzy kolaborowali bądź szpiegowali na rzecz moskiewskiego okupanta, a teraz siedzą w tiurmie (więzieniu) i czekają na wymianę z wziętymi do ruskiej niewoli Ukraińcami. Jeśli chodzi o czas oczekiwania na wyjazd do Federacji Moskiewskiej, rekordzistą jest Anatolij Illjin, który zbierał informacje o lokalizacji oddziałów Sił Zbrojnych Ukrainy i przekazywał je wrogowi. Czeka on na „powrót do swoich" od roku i 17 dni. Kreml został poinformowany o tym, że każdy z tych 300 zdrajców pragnie opuścić Ukrainę, jednak Moskwa nie chce, by jej agenci wrócili do domu. Siedzą w ukraińskich więzieniach, a ruska propaganda wykorzystuje ich do swoich kłamstw oraz fake newsów. 30 kwietnia 2025 r. odnotowano już 740 tys. wejść na strony z profilami kolaborantów. Portal wzmógł czujność obywateli i 35 potencjalnych kolaborantów jest śledzonych. Portal pokazuje potencjalnym kolaborantom, jak „opłacalna" jest współpraca z Kremlem. Lądujesz w pierdlu, a matuszka Rosija i tak ci nie pomoże.

Wydawany w Nowym Jorku „The Wall Street Journal" informuje o tym, że Federacja Moskiewska od jakiegoś czasu rozbudowuje bazy oraz przesuwa żołnierzy w okolice państw bałtyckich i Finlandii. „Putin rozbudowuje bazy i przygotowuje się do przesunięcia znaczącej liczby żołnierzy w pobliże rejonów granicznych oddalonych od Ukrainy" – twierdzi gazeta, przypominając, że zdaniem wielu obserwatorów jest to część przygotowań Kremla do potencjalnego konfliktu z NATO. Dziennik informuje, że rozbudowywane są bazy wojskowe w Pietrozawodsku leżącym o 160 km na wschód od granicy z Finlandią. Kreml rozszerza rekrutację wojskową, wzmacnia produkcję broni i modernizuje linie kolejowe na terenach przygranicznych. „The Wall Street Journal" przypomina, że eksperci wojskowi Kremla określają działania wzdłuż granicy fińskiej jako część przygotowań do potencjalnego konfliktu z NATO. „Kiedy wojska wrócą (z Ukrainy), będą patrzeć przez granicę na kraj, który uważają za przeciwnika" – powiedział dziennikarzom Rusłan Puchow, dyrektor Centrum Analizy Strategii i Technologii, moskiewskiego think tanku obronnego. „Logika ostatniej dekady pokazuje, że spodziewamy się pewnego konfliktu z NATO" – zaznaczył. Dobrze, żeby niektórzy z polskich polityków – np. Joanna Senyszyn, która twierdzi, że nie istnieją żadne symptomy zagrożenia Polski ze strony Federacji – stuknęli się w głowę i przemyśleli swoje mądrości, zanim wypowiedzą je publicznie.

Żeby dobić całe to towarzystwo pod wezwaniem „nasza chata z kraja", „The Wall Street Journal" zwraca uwagę, że Władimir Putin wydał rozkaz powiększenia armii do 1,5 mln żołnierzy z 1 mln przed inwazją. Moskwa zwiększa również wydatki wojskowe z 3,6 proc. PKB przed 2022 r. do 6 proc. obecnie. Wedle szacunku wywiadów Kreml, który przed atakiem produkował 40 czołgów T-90M, obecnie wytwarza ich 300. Jednak nie trafiają one na front – zostają w Rosji do późniejszego wykorzystania. „Rosyjska armia rekonstruuje się i rośnie w szybszym tempie, niż przewidywała większość analityków" – powiedział amerykański gen. Christopher Cavoli, dowódca sił USA w Europie. „Rosyjska armia jest dziś większa niż na początku wojny" – dodał. Do tego rozbudowywana jest infrastruktura wojskowa wzdłuż zachodnich granic Federacji. Powstają magazyny, a sieć drogowa na północy jest integrowana ze szlakami drogowymi na Białorusi. Emil Kastehelmi z fińskiej Black Bird Group, która analizuje zdjęcia satelitarne ruskich obiektów wojskowych, podzielił się wiedzą o budowie nowej rokadowej linii kolejowej układanej wzdłuż granic z Finlandią i Norwegią oraz na południe od Petersburga do granicy z Estonią. Istniejące linie przecinające region są natomiast rozbudowywane. A u nas u władzy ekipa, która zamiast robić jak najszybsze zakupy broni i amunicji zarówno u Amerykanów, jak i u Koreańczyków, kombinuje, jak tu dogodzić Berlinowi i Paryżowi nabywaniem sprzętu, który dotrze do nas najszybciej za 15–20 lat, bo taka jest wydajność pożal się Boże europejskiego przemysłu zbrojeniowego.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 25fefa0eda

Michał Korsun prezentuje: ***Trump znowu kocha UK***

Wycinki z przeszłości

Ta piękna okładka z 1935 r., prawdziwie wiosenna, także dzisiaj obroniłaby się na każdej półce z gazetami. W środku popularnego tygodnika „Na Szerokim Świecie" znajdujemy także żartobliwe „Drobiażdżki".

• „RZECZOWOŚĆ

Młody człowiek przychodzi do redakcji.

– Przepraszam, czy jest pan kierownik literacki?

– Nie ma, proszę pana.

– W takim razie może pani będzie łaskawa wyrzucić do kosza mój najnowszy wiersz?

• ZAGADNIENIE

– Mamuś, ja wczoraj obszedłem cały cmentarz i przeczytałem wszystkie napisy na nagrobkach.

– No i co, moje dziecko?

– No zupełnie nie wiem, mamusiu, gdzie się chowa złych ludzi?

• MARZENIA

– Gdybym wygrał milion, chodziłbym co dzień do kina.

– A brałbyś mnie ze sobą?

– Ani myślę! Jeżeli jesteś tak leniwy, że nie potrafisz sam sobie czegoś życzyć, to siedź w domu!

• PRÓBA BOHATERA

– Wie pani, panno Zosiu, ja sobie postawiłem w życiu wielkie cele. Przy wszystkim, co robię, najpierw myślę, co zrobiłby na moim miejscu Cezar.

– No, a jak pan myśli, panie Alfredzie, co by zrobił Cezar na pańskim miejscu, gdyby tak był ze mną sam na sam?

(mk)

Z WOLEJA

Barca i minister z innej planety

Ryszard Czarnecki

Gdybanie to nieodłączna część kibicowskiego życia. Możemy więc gdybać, że gdyby FC Barcelona, skoro grała we Włoszech, to na włoski sposób murowała bramkę, a nie prowadząc 3:2, dalej atakowała, to dziś byłaby w finale Ligi Mistrzów pierwszy raz od 10 lat. Gdyby Robert Lewandowski wykorzystał swoją jedyną okazję przed końcem dogrywki, to byłyby rzuty karne, a wtedy nasz Wojciech Szczęsny wiedziałby, co robić i Inter Mediolan nie zagrałby znów po dwóch latach w finale LM. Ale liczy się realny wynik na boisku i dlatego cieszy się połowa Mediolanu (kibice AC Milan wolą nie oglądać zwycięskiego Interu), a nie Katalonia.

Zawsze jestem za klubami, w których grają Polacy. W Hiszpanii przez lata dopingowałem Los Colchoneros, czyli Atletico Madryt (przydomek „materacowcy" od barw ich koszulek sprzed ponad 100 lat, identycznych jak kolory ówczesnych materaców), ale skoro Polacy grają w FC Barcelonie, jestem za Dumą Katalonii. Jednak podczas tego meczu nie musiałem się denerwować, bo przecież we włoskim klubie gra nasz najlepszy pomocnik Piotr Zieliński, a na zmiany wchodzi reprezentacyjny skrzydłowy Nicola Zalewski. W finale na pewno zagrają Polacy.

Jednak klub z Katalonii nie może narzekać, bo ten sezon ma i tak o wiele lepszy od poprzedniego. Wtedy w Lidze Mistrzów doszli do ćwierćfinału, teraz zaliczyli półfinał, zdobyli Puchar Króla (czyli puchar Hiszpanii) i raczej powinni zdobyć mistrzostwo w La Liga.

A teraz rzut „moherowym beretem" na krajowe podwórko piłkarskie i nie tylko. Minister sportu, członek sztabu kandydata na prezydenta prowadzącego w sondażach, upomniał się o złe traktowanie w stolicy kibiców Pogoni Szczecin. Od zawsze głoszę, że wszystkich kibiców trzeba szanować. I jestem w tym wiarygodny, inaczej niż szef resortu sportu, który komentując rok temu skandaliczne działania angielskiej policji i stewardów – zatrzymanie w areszcie dwóch piłkarzy Legii, fizyczna przemoc wobec prezesa klubu i nieuzasadniona agresja wobec 46 kibiców, z których potem 45 wypuszczono – stwierdził: „Jest chyba jakiś problem z kibicami Legii, bo to jest kolejny raz, kiedy nie dostosowują się do standardów obowiązujących w innych krajach". Jeśli minister uważa, że jednych polskich kibiców można bronić, a drugich wspólnie z obcymi mediami publicznie kopać, to jesteśmy z innych planet.

eprasa.pl 25fefa0eda

OD A DO ZYBERTOWICZA

Niszczenie demokracji

Autorzy, przytaczając liczne fakty, pokazali, jak w naszym kraju można „ukraść" wybory, wygrać je i uniknąć przy tym ukarania

W środę 7 maja 2025 r., wracając z pracy, zobaczyłem duży baner kandydata Rafała Trzaskowskiego z napisem: „Wygra cała Polska!".

Ilu Polaków poza zwolennikami Koalicji Obywatelskiej może w to uwierzyć? Ilu da się zwieść? I co zrobić, żeby Polacy szerzej otworzyli oczy? Pewnie nie miałbym od ręki odpowiedzi na te pytania, gdyby nie to, że poprzedniego wieczoru w Krakowie wziąłem udział w premierze książki Andrzeja Gajcego i Wojciecha Muchy zatytułowanej „Kampania: Jak wygrać wybory i nie dać się złapać".

Nikt, kto przeczyta tę dobrze udokumentowaną książkę, nie powinien mieć żadnych złudzeń, kto faktycznie wygra, gdyby Rafał Trzaskowski wygrał prezydencki wyścig.

Dwóch dziennikarzy śledczych przez dłuższy czas gromadziło i analizowało informacje. Powstał przekonujący pogłębiony opis, który pokazuje, jak grupy z dużymi zasobami finansowymi, szerokimi powiązaniami – w tym sięgającymi w głąb świata bandyckiego – mogą zmienić wyniki wyborów, używając metod nielegalnych i mafijnych. Autorzy wskazują na bezradność instytucji państwowych i mediów wobec takich patologii oraz ujawniają luki w systemie wyborczym III Rzeczypospolitej.

Książka odsłania systemowe słabości w tym, co jest rdzeniem demokracji, czyli w samych procedurach wyborczych RP. Autorzy, przytaczając liczne fakty, do których niekiedy sami dotarli szybciej niż ospale działająca policja, pokazali, jak w naszym kraju można „ukraść" wybory, wygrać je i uniknąć przy tym ukarania.

Nie jest przesadą, gdy opis na stronie wydawcy – Nowej Konfederacji – wskazuje, że książka zaprasza czytelników do świata, gdzie demokracja i wola wyborców są drugorzędne wobec grupowych interesów, ogromnych wpływów i pieniędzy. Dowodzą tego dokumenty, liczne materiały oraz rozmowy z informatorami.

Wybory samorządowe w Krakowie w 2024 r. wygrał kandydat Platformy Obywatelskiej Aleksander Miszalski, który w drugiej turze pokonał Łukasza Gibałę. Zwycięzcy pomogły w tym konkretnie opisane przez autorów liczne manipulacje, prawdy wyrwane z kontekstu, półprawdy, bzdury oraz kompletne kłamstwa na temat głównego konkurenta. Wszystko to zostało sprytnie ubrane w takie narracje, by kalumniom – w tym rozprzestrzenianym przez specjalnie założoną stronę internetową działającą poza legalnym funduszem komitetu wyborczego – nadać wiarygodność, co wskazuje na dość profesjonalny charakter nieuczciwej działalności.

Gajcy i Mucha podkreślają, że „niemalże całkowitą »ślepotą« wykazały się zarówno lokalne, jak i ogólnopolskie media. Tak zwana czwarta władza, zazwyczaj tropiąca zaciekle największe afery III RP, tym razem odwróciła swoje oczy od tego, jak w drugim co do wielkości mieście w Polsce dokonano »zamachu« na fundament demokracji, jakim są wybory". Dzięki temu wygrał kandydat, o którym w świetle książki trzeba powiedzieć, że jest uzależniony od potężnych grup interesów, w tym w dużej, może nawet w głównej mierze, środowiska deweloperskiego.

Gajcy i Mucha nie ukrywają, że skoro możliwe okazały się bezkarne przekręty na skalę wielkiego miasta, to musimy się poważnie liczyć z nadużyciami ogromnego kalibru także przy obecnych wyborach prezydenckich.

Skoro nie ulega wątpliwości, że sprawcą opisanych wielkich nadużyć jest środowisko PO, to należy się spodziewać, że gdyby obecnie zwyciężył Trzaskowski, rozprzestrzenienie się „krakowskich" praktyk na skalę kraju mamy zagwarantowane. Prezydentura Trzaskowskiego mogłaby umożliwić kontynuację lub nawet umocnienie opisywanych patologii. Bo co by miało powstrzymać Donalda Tuska, by Platforma systemowo stosowała takie metody w skali całego kraju?

Nie mam wątpliwości, że skutkiem ewentualnego wyborczego sukcesu Trzaskowskiego byłoby dalsze pogłębianie się bezradności policji, prokuratury, wielu mediów wobec łamania prawa przez środowiska polityczne działające w układzie z zaprzyjaźnionymi sektorami biznesu.

To właśnie mogłoby nas czekać. Nie pozwólmy, aby wiceprzewodniczący Platformy otworzył bramy do przyspieszonego, kompleksowego niszczenia demokracji w naszym kraju.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 25fefa0eda

wPolsce 24

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zróbmy wspólne zdjęcie i porozmawiajmy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.

Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjawpolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej upc	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 25fefa0eda

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej upc	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 25fefa0eda